

SYLWIA  
TROJANOWSKA

MALWINA  
KOZŁOWSKA



# Facetom

## WSTĘP WZBRONIONY

SYLWIA  
TROJANOWSKA

MALWINA  
KOZŁOWSKA

*Facetom*  
WSTĘP WZBRONIONY



Książnica



Zapraszamy na [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Projekt serii i okładki  
NATALIA TWARDY

Ilustracje  
© Aglaia/Adobe Stock  
© GarkushaArt/Adobe Stock

Koordynacja projektu  
ALEKSANDRA CHYTRON-KOCHANIEC

Redakcja  
CHAT BLANC – ANNA POINC-CHRABĄSZCZ

Korekta  
MAGDALENA MIERZEJEWSKA

Skład  
LOREM IPSUM – RADOŚLAW FIEDOSICHIN

Polish edition © Sylwia Trojanowska, Malwina Kozłowska, Publicat S.A. MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6563-3

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



**Książnica**

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.  
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00  
e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: [ksiaznica@publicat.pl](mailto:ksiaznica@publicat.pl)

# Spis treści

Strona tytułowa  
Karta redakcyjna  
Dedykacja  
Notka autorska

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Epilog

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Epilog

*Ance – prokuratorce z krwi i kości.  
Oraz kilku porządnym facetom. Cieszy nas, że nie boicie się niezależnych kobiet*

*Wszystkie zdarzenia, postaci i miejsca  
zawarte w niniejszej książce  
są absolutnie i bezdyskusyjnie prawdziwe.  
Poza jednym – w Rzęsinach nie ma jeziora.  
Jednocześnie autorki pragną uspokoić,  
że w trakcie spisywania tej historii  
nie ucierpiał żaden facet (a mógł).*



## Prolog

Według prawa międzynarodowego istnieją trzy najgroźniejsze rodzaje broni, których użycie jest zakazane przez konwencję genewską: kobieta oszukana, kobieta zdradzona i kobieta, której się nudzi. W kuluarach mówi się jeszcze o czwartym rodzaju – kiedy owe trzy kobiety połączą siły i w konsekwencji następuje reakcja jądrowa skutkująca (jak sama nazwa wskazuje) rozszczepieniem się pewnej części ciała wszystkich samców znajdujących się w polu – bardzo szerokim polu – rażenia. Co groźniejsze, żaden z poszkodowanych nie będzie mógł takiemu rozwojowi wypadków zapobiec, bo zwyczajnie nie wyczuje zbliżającego się niebezpieczeństwa – przede wszystkim dlatego, że w kobiecej przyjaźni najważniejsza jest lojalność. Poza tym stara jak świat prawda głosi, że zemsta najlepiej smakuje na zimno, a chłodna głowa i wypoczęta twarz zimnej suki są gwarancją sukcesu. Wyobraźcie to sobie, dziewczyny: Czy może być coś lepszego niż widok pobladłego i wymemłanego z męskości faceta, który wcześniej wycisnął z nas wszystkie soki, wypierdzał nasz ulubiony fotel, z ukochanych książek porobił podpórki pod tablet lub chybotliwy mebel, zdradził nas, sponiewierał, wykorzystał, a potem jak gdyby nigdy nic porzucił i w radosnych podskokach umknął w siną dal ku kolejnej przygodzie? Otóż – może być coś lepszego. Na przykład widok dwóch takich facetów. Albo siedmiu. *Whatever.*

Być może kilka z was zaraz zapyta: Hola, hola, *señorita*, a co z miłosierdziem? Przecież wszystkie podreżniki na temat rozwoju osobistego, wszyscy coachowie, psychologowie i samozwańczy mędracy trąbią wszem wobec, że aby żyć w zgodzie ze sobą, trzeba nauczyć się wybaczać – nawet padalcom, zdrajcom i oszustom... Więc gdzie to uwalniające, prowadzące do samorozwoju przebaczenie? Kochane, oto odpowiedź: w dupie. Miłosierne i wybaczące to my już byliśmy, ale dopadł nas dedlajn.

Zapewne każda z nas ma co najmniej jedną historię, która mogłaby stać się dla innych kobiet lekcją o tym, dlaczego warto być w życiu ostrożną wobec facetów. Ty też masz taką, prawda? I nie, wcale nie chodzi o wielką zawiedzioną miłość, miłość bez wzajemności, nic z tych rzeczy. Wystarczy, że wybierzesz się na randkę w ciemno, facet wchodzi do kawiarni, w ręce trzyma tę waszą umówioną białą różę albo czekoladki, twoją twarz na jego widok rozjaśnia uśmiech szczęścia, w głowie masz wizję ślubu, którego zazdroszczą ci najwredniejsze łajzy z liceum, bryczka, kabriolet, motocykl czy co tam wolisz, aż nagle wszystko szlag jasny trafia, bo oto twoja randka staje na twój widok jak wryta, po czym robi w tył zwrot i wypada z lokalu. Czy wtedy w twojej głowie rodzi się myśl: „Stara, już nigdy nie uwierzę facetowi, który w opisie profilu na Tinderze ma hasło: »W życiu piękne są tylko chwilek«”? Nigdy w życiu, *no way*. Okej, nie ma co ukrywać, koleś faktycznie wpadł na chwilę, ale czy była ona piękna? Dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nas zamiast pomyśleć: „Co za palant! Dobrze, że dają tu dobrą czekoladę”, i od razu zamówić dwie porcje, zacznie się zastanawiać: „Co jest ze mną nie tak?”. Pozostały procent to błąd statystyczny i nie będziemy się nad nim pochylać, bo przecież stało się, jak się stało, i zamiast komplementu od całkiem fajnego faceta słyszysz trzask rozbijanego o posadzkę poczucia własnej wartości.

A co z sytuacją, kiedy świetnie ci się z nim pisze na portalu randkowym, on wysłał ci swoje zdjęcia z pracy, ze spaceru z psem, z picia wieczornej herbaty. Bosko. Sielanka jak ta lala. Już widzisz siebie w jego objęciach na hamaku na rozległym tarasie, a potem... okazujesz się taka podobna do jego żony... Aktualnej, nie byłej. Ten sam kolor włosów, budowa ciała, niemal identyczny kształt ust. Tylko że ty pracujesz w agencji reklamowej i nie masz dzieci, a ona zasuwa w korpo i ma dwójkę. Z nim. Wiesz to, bo koleśowi nie chciało się nawet ukrywać informacji o niej na Fejsie.

A gdyby tak... Istniało miejsce, w którym skrzywdzone kobiety mogłyby się dzielić swoimi historiami i przestrzegać inne kobiety przed niewiernymi, roszczeniowymi i kłamliwymi koleżkami? Miejsce bez-

pieczne, pozbawione ryzyka, że zwierzenia i tajemnice ujrzą światło dzienne, miejsce, do którego dostęp miałyby każda kobieta niezależnie od tego, gdzie mieszka, ile ma lat i który życiowy zakręt bierze? Miejsce stworzone przez kobiety zdradzone, oszukane i... te, którym się nudzi?

Brzmi nieźle, prawda? I bardzo, bardzo realnie. Ale zacznijmy od początku.

# Rozdział 1

*Hiszpański malarz Francisco de Goya, tworząc jedną ze swoich najszynniejszych akwafort z cyklu Kaprysy, zatytułowaną Kiedy rozum śpi, budzą się demony, nie bez przyczyny przedstawił na niej opartego o biurko i pogrążonego we śnie mężczyznę, nad którym krążą sowy i nietoperze. Otóż to. Pokazał śpiącego samotnego faceta. Gdyby miał w podobnej sytuacji przedstawić kobietę, obraz wyszedłby zgoła inny, bardziej skomplikowany i zdecydowanie bardziej dynamiczny. Bo kobiety byłyby co najmniej dwie, a może i trzy, z czego dwie z nich na pewno by nie spały, lecz czuwały. Nie na darmo bowiem natura wyposażyla nas, tę niby słabą pleć, w broń przeciw naszym wewnętrznym demonom. Tę broń zwą kobiecą przyjaźnią.*

Demony nękające Inge Winter nie zaliczały się do tych zwykłych demonów, które dopadają człowieka tuż przed zaśnięciem, kiedy ni stąd, ni zowąd umysł zaczyna wędrować po meandrach pamięci, póki nie dotrze w niebezpieczne rejony, na co dzień z sukcesem przesuwane w głąb świadomości. O nie – demony trzydziestoletniej Ingi Winter należały do demonicznej wyższej klasy średniej; były przenikliwie sprytnie i odporne na każdy prosty trik czy używkę. Inga doskonale zdawała sobie z tego sprawę, bo przerobiła już wiele sposobów na ich ujarzmienie, by koniec końców dojść do wniosku, że nie ma sensu kopać się z koniem i zwyczajnie ten stan rzeczy zaakceptować.

Demony pojawiały się w jej życiu w najmniej oczekiwanych momentach; zwykle kiedy była najzupełniej trzeźwiutka. Nie działały na nie alkohol, tabletki nasenne ani pierwiastek męski i chyba tylko to uchroniło Inge przed wpadnięciem w sidła każdej z tych trzech używek. Demony objawiały się, kiedy mijala samochód o matowym czarnym lakierze, kiedy z tryliarda innych zapachów wyławiała, niczym rekin na łowach, wiązkę cytrusowo-korzennych perfum z nutami piżma (mimo że tych perfum już nie produkowano), kiedy przypadkiem przesuwała opuszkami palców po wełnianym swetrze i wyczuwała jego szorstkość. Było to tym trudniejsze, że przecież nie da się usunąć ze świata wszystkich matowych aut, owocowo-piżmowych zapachów i wełnianej odzieży. Największym demonem Ingi była więc pamięć zmysłowa – wystarczył jeden bodziec, by wpadła w zastawioną przez niego pułapkę: momentalnie zastygała, w jej gardle i klatce piersiowej pojawiał się okropny ucisk, a w głowie chaos myśli. I niezależnie od tego, gdzie się akurat znajdowała, oczami wyobraźni natychmiast przenosiła się do Nowego Jorku, w którym spędziła ostatnich dziesięć lat. I z którego dla własnego dobra musiała uciec.

Zaraz po powrocie do Polski zamieszkała w Poznaniu, w odziedziczonym po mamie, a dotąd wynajmowanym, wygodnym mieszkaniu w kamienicy blisko Starego Rynku, i znalazła pracę, dzięki której nie była wystawiona na zbyt wiele demonologicznych czynników zewnętrznych – mogła pracować z domu i robić to, co potrafiła najlepiej: weryfikować wszelkie, nawet najdziwniejsze, informacje, rozrysowywać drzewa genealogiczne i osie czasu oraz szukać zasadności w ludzkich działaniach. Inga Winter redagowała książki.

A wszystkimu winien był ON.

ON był przystojny, i to cholernie! Namiętny i pochłaniający jak ogień!

ON patrzył tak, że kolana drżały, a kiedy dotykał, każda komórka ciała odpowiedzialna za identyfikację samczych pierwiastków wysyłała sygnał do mózgu, że „oesuuu”. ON miał w sobie to coś, czego nikt – nawet obeznana w meandrach ludzkich zachowań Inga – nie potrafił nazwać.

Ale ten sam ON był też facetem, przez którego nagle, bez skrupułów, musiała wiać z Wielkiego Jabłka. Zdołała spakować raptem kilka sukienek, tuzin najukochańszych książek, portfel z dokumentami i... flakonik (jeszcze nie otwartych) perfum. Teraz zaś siedziała w stolicy ziemniaka, w swoim mieszkanku o ścianach w kolorze butelkowej zieleni, w otoczeniu słowników, kolekcji fikusów i pocztówkowych reprodukcji

jak obrazów Chagalla, przy wielkim biurku, obłożona kartkami z rozrysem linii powiązań pomiędzy bohaterami tłuściutkiej sagi. Czy żałowała? Starła się nad tym nie zastanawiać. Jej ukochany pisarz Tadeusz Konwicki twierdził, że jedną ze sztuk życiowych jest umiejętność nieprzyswajania gówna – istnieje wtedy szansa, że człowiek zachowa czyste umysł i żołądek.



Na jogę postanowiła się wybrać trochę z nudów, a trochę dlatego, że zaczął jej dokuczać kręgosłup, a w zawodzie redaktorki zdrowy kręgosłup, podobnie jak twardy tyłek, był dość przydatny, jakkolwiek na to spojrzeć. Poza tym miała już dość fałdki na brzuchu. Codziennie rano, stając przed lustrem, usiłowała wciągnąć „obcego” – jak czule nazywała nadmiar tłuszczu – niestety bezskutecznie, a zarys żeber nie chciał się, skubany, objawić. Po przejrzeniu oferty poznańskich klubów fitness ostatecznie zdecydowała się na jeden z nich, który specjalizował się, według reklamy, „w odnowie ciała i ducha”, a mówiąc po polsku (choć żadne zajęcia, o dziwo!, nie miały polskiej nazwy), w zajęciach z jogi, pilatesu i stretchingu, i stawiał na małe grupy oraz miał do dyspozycji saunę oraz masażyстів. Wnętrza na zdjęciach z galerii prezentowały się całkiem ekskluzywnie, a że Inga miała chęć na odrobinę luksusu, pomyślała, że skorzysta. Nie zastanawiając się zbyt długo, kupiła karnet open na miesiąc i zaopatrzywszy się w klasyczne legginsy, koszulkę oraz matę, uznała misję za zakończoną.

W wyjątkowo upalne majowe popołudnie wybrała się do klubu. Była – jak zawsze – sporo przed czasem; zdecydowanie wolała patrzeć na wchodzących, niż sama być przez nich obserwowana.

Reklama klubu nie kłamała. Grupa okazała się kameralna, bo ledwie sześćosobowa. W sam raz, by instruktor, na oko czterdziestoletni brunet o smukłej posturze (co według Ingi stanowiło potwierdzenie skuteczności treningów), mógł skupić się na każdej z uczestniczek (akurat w tej grupie były same kobiety) i w razie potrzeby korygować pozycje.

Inga rozłożyła swoją matę z tyłu, pod ścianą, obok niebieskookiej długonogiej szatynki w luźnym szarym tiszercie i dresowych spodniach. Dziewczyna mogła być mniej więcej w wieku Ingi i wyglądała całkiem przyjaźnie. Jej przeciwieństwo stanowiła wyzywająca blondynka po czterdziestce, w krótkim różowym topie z długimi rękawami i wiązaniem na plecach, ulokowana po drugiej stronie szatynki w tiszercie. Minę miała wyraźnie wyniosłą i bystry jak górski potok wzrok, który przydawał jej się, zwłaszcza gdy przechodził obok niej ten smukły jogin imieniem Miron. Tuż przed nosem Ingi rozłożyła się ruda dziewczyna w okolicach dwudziestki, superszczupła i jak się potem okazało, wyjątkowo gibka. Najpewniej musiała być jogową prymuską. Grupę zamykały dwie młode matki – Inga wniosła to po tym, jak przed rozpoczęciem zajęć, jeszcze w szatni, wymieniały się radami na pierwsze ząbkowanie.

Po chwili, kwitnąc już z głową w dole i tyłkiem wypiętym do sufitu, Inga skonstatowała, że obcisły top i szary tiszert całkiem dobrze się znają.

– Przecież ja zaraz zemdleję – szeptała dziewczyna w tiszercie. – Na cholerę mnie dziś tu wyciągnęłaś? I na jaką cholerę ja się na to zgodziłam! Upał za oknem, łeb mi pęka, wszystko mi pęka... A mogłam się zawinać do domu i udawać, że nie istnieję.

Obcisły top zerknął na nią z politowaniem.

– Bejbe, mówiłam ci wczoraj, żebyś nie brała się za wódkę i tequilę jednocześnie. Ale nie, ty się uparłaś! Na mieszaniu alkoholi to akurat ja się znam! Ty już lepiej zostań przy pralinkach Lindta. W mieszaniu smaków czekolady owszem, doświadczenie masz, i to pokaźne!

Szary tiszert sapnął.

– Jezu, czuję w gardle siarczany!

Inga zaczęła się zastanawiać, kim trzeba być z zawodu, żeby móc się bezkarnie upić w dzień roboczy, i to tak, żeby jeszcze przez całutki kolejny dzień leczyć kaca.

Za obcisłym topem ni stąd, ni zowąd zmaterializował się jogin.

– Miłe panie, wyczuwam tu dziś silny niedobór relacji społecznych. A tymczasem pozycja niewłaściwa... Pani Basiu, biodra mocniej wypchnięte w tył, a prawa stopa...

– Mironku, chyba już ustaliliśmy, że żadna ze mnie pani, tylko Basia... – Obcisły top zerknął pod ramię na łydki instruktora. – No to już ustaw mi te biodra. Złap i ustaw. I co tam mówiłeś o mojej stopie?

Szary tiszert zachichotał w głąb siebie i czknął cicho, a Inga poczuła, że bardzo lubi tę dziewczynę. Przynależność do stada miała swoje plusy i Inga właśnie dokonała zaskakującego dla samej siebie odkrycia, że chciałaby być częścią tej oto niewielkiej topowo-tiszertowej grupki. Ot, choćby po to, żeby sobie z kimś pogadać podczas zajęć, które potwornie ją znudziły, zanim w ogóle na dobre się zaczęły. Albo po to, by wyjść z pieczary. Nie można przecież całe życie się ukrywać przed smokiem. Ją też życie wyposażyło w kły i pazury. W razie czego będzie umiała je pokazać i się obronić.



– Jesteś tu pierwszy raz, prawda?

Dziewczyna w szarym tiszercie usiadła obok Ingi na ławce w szatni, żeby zawiązać szerokie aksamitne wstążki błyszczących sztybletów. Basia zniknęła za drzwiami sauny, owinięta jedynie w puchaty biały ręcznik, upewniwszy się, że dziewczyna w tiszercie nie chce z siebie wypocić pozostałości po poprzednim wieczorze.

– Tak – odparła Inga. – I to się chyba dało zauważyć, co?

– No co ty, w życiu! – zaśmiała się tamta, ukazując równiuseńkie białe zęby. – Byłaś lepsza niż siostry jamskie z pierwszego rzędu! A tak w ogóle to jestem Anka. – Wyciągnęła rękę.

– Inga.

– Inga, ładnie. Baśka utknęła z Mironem w saunie, więc poznam was następnym razem. Ale nie myśl sobie – dodała, dostrzegając błysk w oku Ingi – że oni tam coś teges. Mironek to gej jak stąd do Gwiazdy Śmierci. Miał jej po prostu łydkę wymasować, no. Wpadniesz w przyszłym tygodniu, prawda? Na początku zawsze jest nudno, ale idzie się wkręcić. Ja dzisiaj jadę na oparach, bo wczoraj opijałam mały sukces w pracy i tak jakoś... Wiesz, jak bywa.



Prokuratorka Anna Krauze, wśród współpracowników i aresztantów znana jako Proca ze względu na celność pytań, którymi strzelała podczas przesłuchań, wychodziła z założenia, że z każdym człowiekiem należy rozmawiać jak z równym sobie, niezależnie od tego, ile kasy ma na koncie, ile punktów zdobyłby na teście IQ i jakie wartości reprezentował. No dobra, założenia założeniami, ale sama też należała do gatunku *homo sapiens*, więc jak wszyscy miewała słabsze dni. Bywała wtedy zirytowana i sfrustrowana – ba, wręcz wkurwiona – ludźmi, którzy na skutek różnorodnych życiowych perturbacji siadali naprzeciw niej w pokoju przesłuchań i naginali rzeczywistość. Bywała też zmęczona wstawaniem w środku nocy podczas weekendowych dyżurów, kiedy po krótkim telefonie od policji, z kawą w kubku termicznym, jechała na zdarzenia. Ale kochała swoją robotę. Nie mogła tylko pogodzić się z tym, że osiemdziesiąt procent jej czasu wypełniała papierologia. Anka szczerze nienawidziła stosów papierzyśk piętrzących się na stole, krzesłach i w szafach, a od czasu do czasu także na podłodze jej niewielkiego gabinetu, co sprawiało, że była zmuszona lawirować między nimi niczym wytrawna narciarka slalomistka, która zamiast przez trenera jest pospieszana przez terminy w kalendarzu.

- Taki nasz los - powtarzał Zenek Łągiewka, prokurator z ponadtrzydziestoletnim stażem, który odliczał już dni do emerytury i zdecydowanie wolał siedzieć nad papierami niż pracować w terenie. - Jak będziesz miała moje lata - wypuszczał swój ulubiony tekst - to docenisz pracę przy biurku. Ciepło, sucho, kawa pod ręką, jedna teczuska tu, druga tam, a prawdopodobieństwo, że wdempniesz w gówienko, z którego za Chiny Ludowe butów nie doczyścisz, są bliskie zeru. Pyszna nuda, Aneczko! Najpyszniejsza!



Anka z niechęcią przyznawała się do swoich demonów, a zwłaszcza do jednego, który dawał o sobie znać w chwilach glorii i bezapelacyjnego sukcesu. W trakcie aplikacji pani prokurator przeczytała sporo książek z psychologii i doskonale знаła pojęcie syndromu oszusta - gada, który w jej przypadku objawiał się natychmiast, gdy rzeczone sukcesy stawały się rzeczywistością. Mimo że miała bystry umysł, celną ripostę i niewątpliwą urodę, jej poczucie własnej wartości przyjmowało niestety kształt sinusoidy z pikami niewiele powyżej zera. Nad wszelkimi komplementami dotyczącymi dowolnej sfery życia przechodziła do porządku dziennego, w zasadzie nawet ich nie rejestrując, natomiast każde potknięcie interpretowała jako jedyną i objawioną prawdę na temat swojej osoby. Patrząc w lustro, widziała wciąż dwudziestokilkuletnią dziewczynę tuż po studiach, która dopiero rozpoczynała zapasy z życiem i we wszystkim była „nie dość”. Superkobiety po trzydziestce, z ogromną wiedzą i ponadprzeciętną inteligencją, nie zauważała.



Damian, życiowy partner Anki, a od niedawna również jej narzeczony, tak jak ona studiował prawo, ale rzucił je pod koniec trzeciego roku po pewnej pijackiej imprezie, na którą wybrał się po kolejnym, nomen omen, oblanym egzaminie. Nasłuchiwał się wtedy od kolegów, jak to łatwo i szybko można zbić kokosy na deweloperce. A że po trzech latach zdążył już znienawidzić swój kierunek studiów i marzył głównie o robieniu kokosów, a nie wkuwaniu paragrafów, następnego dnia postanowił odmienić swój los i zatrudnił się na stanowisku koordynatora terenowego (cokolwiek to miało znaczyć) u pierwszego z brzegu dewelopera. Posadę dostał za wygląd. Był wysoki i szczupły, z modnie zaczesanymi do tyłu włosami, a wiele koleżanek mówiło mu, że przypomina im Leonarda DiCaprio, oczywiście w wydaniu z *Wilka z Wall Street*. Poza tym nosił się niczym model i potrafił wywierać dobre pierwsze wrażenie, nic więc dziwnego, że szefowa biura, choć nie prowadziła rekrutacji, dała mu fuchę od ręki (za najniższą krajową, ale z perspektywą premii, którą w wyobraźni przeznaczał już na mknącego po szosach ducati i przede wszystkim na kolejne figurki w jego rozrastającej się niczym bluszcz kolekcji Star Wars).

Anka, za wszelką cenę chcąc go wspierać, nie powiedziała mu wprost, że powinien był docisnąć studia do końca, a jeśli chciał odetchnąć od nauki, to przecież mógł rozważyć dziekankę. Damian, uszczęśliwiony nowymi możliwościami, piał z zachwytem nad wizją wielkich pieniędzy, które może i były do zdobycia, ale nie dla niego. Zamiast pracować, wolał raczej popykać z kumplami w jakąś gierkę online albo wyskoczyć na kawę we wspólnym socjalu z koleżankami po fachu. Nie dość, że nie studiował, to jeszcze nie zarabiał. A przynajmniej nie tyle, by pokryć przesadne wydatki na włoskie koszule, skórkowe buty i ekskluzywne perfumy. I tak oto ciężar odpowiedzialności za dopinanie domowego budżetu spadł na Ankę, która po zajęciach na uczelni udzielała korepetycji z francuskiego i łaciny. A że była w tym dobra, wyciągała porządne pieniądze. Kiedy skończyła studia, w karierze Damiana coś drgnęło (przynajmniej w jego mniemaniu), bo zaczął jeździć w delegacje. Ponoć dostawał za to dodatkowe wynagrodzenie, ale Anka nigdy go na oczy nie widziała. Damian karmił ją perspektywami, planami i wizjami, a gdy pojawiał się w domu, serwował jej komplementy, kolacyjki przy świecach i perfekcyjnie sprzątał. A jej, zapatrzonej w niego kobiecie, to wystar-

czało. On nadal nie zarabiał, tylko był, a ona nadal zarabiała, choć wiecznie jej nie było. W rzeczywistości cały jej wolny czas zajmowało ciągnięcie karety, w której wygodnie rozpiął się jaśnie pan Damian Kurski.



Na co dzień Anka szalenie tęskniła za spotkaniami ze swoją siostrą Marianką, która kilka lat temu, powodowana gwałtownym romantycznym uczuciem, wyemigrowała na Karaiby, gdzie jej mąż dostał posadę kierownika w jednym z luksusowych sieciowych hoteli. Widywały się raz na rok, kiedy Marianka wraz z dziećmi ścinała do Polski na święta Bożego Narodzenia. Siostra Anki, niewiele od niej starsza, była przykładem kobiety, która cudownie spełniała się w roli żony oraz matki i której los zesłał mężczyznę niemal idealnego. Lutek, zakochany po uszy w żonie i dzieciach, sztuk dwoje, choć zapracowany, uwielbiał robić rodzinie drobne niespodzianki, na przykład pozostawić na poduszce kwiatek czy ukryć w hotelu książki lub słodycze, do których należało dotrzeć, posiłkując się specjalną mapą skarbów. Ania cieszyła się ze szczęścia siostry, a swojego szwagra szczerze polubiła, i to od pierwszego wejrzenia, kiedy dziesięć lat temu stanął na progu domu ich rodziców i oświadczył, że zamierza się z Marianką ożenić ledwie po dwóch miesiącach znajomości. Kiedy wyjechali, Anka z Marianką rozmawiały na Skypie tak często, jak mogły, minimum dwa razy w tygodniu. Ale i to nie gasiło w sercu Anki tęsknoty za siostrzaną bliskością.

Na szczęście była jeszcze Baśka. Anka poznała ją w osiedlowym fanklubie Bajmu, do którego raz przez przypadek weszła i... przepadła. Niespełna dziesięcioletnia wówczas Baśka wydała się Ance istotą z zupełnie innego świata: piękna, szczupła, wysoka i tak bardzo wystylizowana na Beatę Kozidrak, że kiedy Aneczka, mając wówczas lat dziesięć i pół, zobaczyła ją w dusznej salce Spółdzielczego Klubu Spotkań Kulturalnych, pisnęła z wrażenia, a potem z nabożną czcią wyszeptła: „Pani Beata?”. Baśka przyjęła tę pomyłkę z nieskrywaną satysfakcją i opowiadała o niej wszystkim. Aneczkę zaś wzięła pod swoje skrzydła i traktowała trochę jak maskotkę, a trochę jak młodszą siostrę, której nigdy nie miała. Tłumaczyła jej modowe trendy, puszczała (czasami do znużenia) kawałki Bajmu, a od czasu do czasu czytała także teksty piosenek, poddając je nazbyt głębokiej analizie. Anka, choć zżyta ze swoją siostrą Marianką, była zapatrzona w Baškę. Marzyła nawet, że kiedy dorośnie, będzie taka jak ona: szalowa, wygadana i błyskotliwa. Ich drogi się rozeszły, gdy prezes spółdzielni (który, notabene, wcześniej upierał się, by na szyldzie nie widniało ani słowo „fanklub”, ani „Bajm”, bo i jedno, i drugie kojarzyło mu się z diabelskim nasieniem) bez uprzedzenia odebrał fanklubowi salkę spotkań i oddał ją osiedlowym miłośnikom brydża. Nowa nazwa Spółdzielczego Klubu Rozrywek Intelktualnych nie miała w sobie nic diabelskiego, choć z jednej ze ścian salki zamiast olśniewającej Beaty Kozidrak w koncertowym wydaniu uśmiechała się teraz hojnie obdarowana przez matkę naturę blondynka, ubrana li tylko w złote kolczyki.

Dziewczyny po latach spotkały się ponownie i zupełnym przypadkiem, lecz już nie w osiedlowym klubiku, a na zajęciach jogi. Anka była już wtedy prokuratorką, Baśka natomiast zarządzała filią koncernu farmaceutycznego ze szczytu drabiny zawodowej, na który wspięła się na swych długich i zgrabnych nogach. Szybko znalazły wspólny język i zaczęły się umawiać na wieczorne ploteczki oraz, rzecz jasna, na jogę. Baśka prywatnie, jak sama się określiła, była wolną strzelczynią i miała sporo czasu na takie przyjemności, bo uważała, że życie należy kosztować jak dobrego drinka – tylko w najlepszym towarzystwie.



Siedziały właśnie przy barze w klubie Facetom Wstęp Wzbroniony – knajpce tylko dla kobiet, która była jak żywcem wyjęta z dziecięco-nastoletnich marzeń Anki i Basi. Ktoś, kto stworzył to miejsce, dokładnie wiedział, czego pragną kobiety, wystrój był bowiem smaczny niczym kremowa pianka w dobrze spienionej

latte. Na ścianach królowały plakaty Bajmu, gigantyczne zdjęcia Beaty Kozidrak (wszystkie z autografami), repliki złotych i platynowych płyt oraz cytaty z tekstów piosenek. Z sufitu zwisały różowe kule, wzorowane na tych z dyskotek lat dziewięćdziesiątych, a podłogę wyłożono miękkim linoleum, na którym żadna kobieta w szpilkach nie wywinęłaby orła, a gdyby nawet, miałaby łagodne lądowanie. Stoliki – sztuk zero, a zamiast nich wygodne łóże z ławami i haczykami na torebki oraz dyżurnym lusterkiem, opatrzonym malutkim napisem: „Nie obiecuję Ci, że lepszy będzie świat. Ważny jest oczu Twoich blask”. W toaletach – osiem kabin, by nie trzeba było czekać, lustro na całą ścianę, w podajniku pachnące magnolią różowe mydło; do tego różowiućki rolki papieru toaletowego, a zamiast zwykłych ręczników papierowych – delikatne jak chmurka chusteczki z wdrukowanymi tekstami piosenek Beaty (jedyne ich feler był taki, że ciągle ginęły, i to nie w koszu na śmieci). A! I różowa, różowiućka porcelanka! Przy barze zamiast klasycznych kieliszków do szotów – takie w kształcie litery B; w karcie napojów procentowe i pozbawione procentów drinki: Wiosna w Paryżu, U Stóp Szklanych Gór, Józek... Poza tym całą, calusieńką obsługę klubu stanowili... faceci – bardzo przystojni, bardzo zadbani i bardzo, wręcz piekielnie uprzejmi. Ani jednej kobiety, żadnej, null. One były tu gościniami, królowymi, boginiami. (Ochroniarz Siergiej pilnował, by do środka nie prześlizgnął się przypadkiem żaden podglądacz, a ponoć niejednego próbował). Krótko mówiąc: Facetom Wstęp Wzbroniony było królestwem kobiet.

Baśka, od lat fanka Bajmu i znawczyni wszystkich, absolutnie wszystkich utworów, a także stała bywalczyni klubu, miała złotą kartę uprawniającą do dwudziestopięcioprocentowych zniżek na cały asortyment. Sączyła teraz wino, a Anka drugiego drinka o wdzięcznej nazwie Dwa Serca, Dwa Smutki. Nomen omen, tego dnia żadna z nich nie miała powodu do smutku, za to miały całkiem sporo do obgadania i okazję do świętowania – Anka właśnie zamknęła jedną z najbardziej upierdliwych spraw w dotychczasowej karierze.

– Bo widzisz – tłumaczyła już odrobinę niewyraźnie Baśce – właściwie to nie jest tak, że u nas się sukcesy świętuje... Życie to nie serial *Kryminalne zagadki ejsijaj... Ejajsi...* Nieważne zresztą, wiesz, o czym mówię... My w naszej branży nie odnosimy sukcesów. My się cieszymy, kiedy babka, która nie ma kontaktu z bazą i wszędzie widzi szpiegów sowieckiego wywiadu, wreszcie przestaje nam truć cztery litery...

Baśka cmoknęła z aprobatą.

– No i tak trzeba żyć, bejbe. Dokładnie tak. A tak à propos, tobie już chyba na dziś wystarczy tych dobrych czynnych substancji. Bo jutro się nie zwleczesz na jogę, a do południa podobno masz robotę. Dobrze pamiętam?

Ania całkiem przytomnie popatrzyła na przyjaciółkę.

– Ale ty chyba sobie nie wyobrażasz, że ja jutro wbiję na zajęcia z tym twoim Mironkiem, co?

Baśka przeciągnęła wypielęgnowanym paznokciem w kształcie migdała po brzegu kieliszka i rzuciła powłóczyście spojrzenie około trzydziestoletniemu barmanowi, który natychmiast spąsował.

– Kochana – wymruczała ostentacyjnie, przeciągając samogłoski i nie spuszczać wzroku z barmana. – Wiesz, dlaczego nadal mnie proszą o dowód osobisty, gdy kupuję wino? Bo chodzę wcześniej spać i wiem, czego mi trzeba, żeby zachować jędrność skóry. Najbardziej to aktywności fizycznej wszelkiego rodzaju.

Słyszając to, chłopak za barem z wrażenia upuścił butelkę po cytrynówce.

– Sen i ruch to najlepsze sposoby. Dupa wtedy jędrna jak hiszpańska brzoskwinia. A przecież w tym wszystkim to właśnie o dupę chodzi. Ona jest jak twarz. Każda z nas ma tylko jedną i musi o nią dbać! Więc nie chcę słyszeć, że nie idziesz. A pan – zwróciła się do barmana – zaraz nam tutaj poda mineralną z witaminami dla tych na granicy zgonu. Jezioro Szczęścia bodajże. Dobrze mówię, prawda?

Spezony mężczyzna skinął głową i schylił się po czyste szkło.

Baśka uśmiechnęła się pod nosem, odgarnęła na plecy wypielęgnowane włosy, poprawiła głęboki dekollet kobaltowej sukienki i spojrzała wymownie na przyjaciółkę.





Na pierwszy rzut oka Barbara Kochańska nie obawiała się żadnych demonów. Mawiała nawet, że to demony powinny obawiać się jej – i na tym kończyła temat. Co innego, gdyby ją zapytać, czego najmocniej w życiu nienawidzi – wtedy bez wahania odparłaby, że nudy. Basia uważała, że od nudy (a konkretnie: od ziewania) robią się zmarszczki, że to z nudy ludzie zaczynają czytać albo co gorsza pisać komentarze pod artykułami w internecie i że jak się człowiek nudzi, to zaczyna mieć niezdrowe relacje z jedzeniem.

Przez całe swoje dorosłe życie Basia starała się unikać nudy. Rzadko udawało jej się zagrażać na dłużej jedno miejsce, nieustannie się przemieszczała, i to w towarzystwie wyłącznie ciekawych ludzi. Podróżowała po całym świecie, by doświadczać widoków, muzyki (choć i tak Bajm był zawsze na pierwszym miejscu), smaków i aromatów, a także – czego nigdy nie ukrywała ani się nie wstydziła – męskich wdzięków. Bo mężczyzn w istocie Barbara kochała najbardziej. Zawsze otaczał ją okazały wianek adoratorów, i to bynajmniej nie szarych zjadaczy chleba. To musieli być mężczyźni zamożni, przystojni, intelektualnie podniecający albo tacy, którym Barbara Kochańska z jakiegoś tylko sobie znanego powodu pozwoliła tknąć – by nie rzec: „eksplorować” – swoją strefę przyjemności. W strefie tej bywali również tacy, których kochała (krótko, acz ognistocie), oraz tacy, którzy kochali ją (zazwyczaj bez wzajemności). Na wszelkie uwagi dotyczące jej wyborów w tej kwestii Barbara zwykła mawiać:

– Nic na to nie poradzę. Jestem Kochańska. Muszę kochać i być kochana.

Oczywiście nie wszyscy, których Barbara spotykała na swojej drodze, ją kochali. Silny charakter, pewność siebie i wyniosły styl bycia nie przysparzały jej sympatii – szczególnie w pracy. W firmie farmaceutycznej, w której zatrudniła się po ukończeniu studiów, zrobiła zdumiewająco błyskotliwą karierę i w ciągu pięciu lat awansowała na stanowisko menedżerskie, powodując, że co zazdrośniejsze „koleżanki” rozpuszczały o niej kąśliwe plotki, że wszystko, co osiągnęła, zawdzięcza głębokiemu dekoltoowi, kusym spódniczkom i uwodzicielskiemu spojrzeniu. Basia nigdy, ale to przynigdy nie zdementowała ani jednej z tych pogłosek, bo doskonale wiedziała, że tkwiło w nich ziarno prawdy. A w przypadku jej najbardziej spektakularnego awansu sprzed dwóch lat, do centrali w Paryżu, nawet całe wiadro ziarenek. Nowy szef firmy, Laurent Marbot, proponując jej przenosiny do miasta nad Sekwaną, nie przeanalizował bowiem ani jej biznesowych osiągnięć, ani płynnej znajomości języków obcych, o co zresztą Barbara nie bardzo zabiegała, tylko ją w sobie rozkochał. Myślała, a nawet miała pewność, że ten ognisty stan nie potrwa długo, jak zawsze. I owszem, był krótki, ale wyłącznie dla Laurenta. Basia kompletnie się nie spodziewała, że posiadacz najgorętszych ust *ever*, którymi doprowadzał ją do szaleństwa, oraz tak wszędobylskich i tak sprytnych dłoni, że jedyne, co potrafiła z siebie wydobyć, gdy jej dotykał, to krótkie *deeper, deeper, deeper* ugarniowane gardłowym „r”, po trzech miesiącach upojnej i skąpanej w szampanie relacji porzuci ją dla kolejnej gwiazdki ze Wschodu. Ale tak właśnie zrobił. Basię odstawił na boczny tor, a po jakimś roku z powrotem odesłał do Poznania pod pretekstem konieczności ogarnięcia biznesu.

Wróciła na stare śmieci ze łzami w oczach. Tak! Wielka Barbara Kochańska, harpia biznesu o zawsze wypoczętej twarzy, płakała. Na szczęście krótko. Szybko zdała sobie sprawę, że Paryż może i był wyjątkowy, prestiżowy i ponętny. Że apartament Laurenta z widokiem na wieżę Eiffla nie mógł się równać z żadnym widokiem w Poznaniu. Że Champs-Élysées to nie to samo co Paderewskiego. Zrozumiała też jednak, że w tym sławnym Paryżu nie miałyby tak wielkich szans na pokazanie swoich możliwości jak w Poznaniu.

– To na P i to na P – pocieszała się, pijąc kawę w swoim eleganckim gabinecie.

W wyjściu na prostą pomógł jej też sam Laurent Marbot, bo choć prywatnie postąpił jak ostatnia szuja i wygnał ją z raj, to solennie jej to wynagrodził – szafą paryskich ciuchów, sowitą podwyżką i smakowitym stanowiskiem.



- Barbara Kochańska, dyrektorka operacyjna na region Europy Środkowo-Wschodniej - przedstawiła się z dumą, moszcząc się w swoim wygodnym skórzanym fotelu za osiem tysięcy osiemset dwadzieścia pięć złotych na dziesiątym piętrze biurowca przy placu Andersa.

- Ja chyba nigdy nie przywyknę do tego twojego przydługiego monologu na dzień dobry - stwierdziła Anka, zadzwoniwszy do niej w środę w okolicach południa. - Wiesz, ile każdego dnia marnujesz na to czasu?

- Ja? Ja nie marnuję ani sekundy. Ja celebruję czas chwały, tak jak każe nasza Beata. - Odchrząknęła i dodała śpiewnie: - „Życie tak jak film, szczęścia parę chwil”. To z płyty Blondynka. A poza tym uświadamiam ludziom, że dodzwonili się do kogoś naprawdę, naprawdę, naprawdę ważnego.

- Tak, tak - prychnęła Anka. - Skromna jak zawsze. À propos skromności, ta nowa dziewczyna z jogi wydaje się fajna. Rozmawiałam z nią chwilę po treningu. Jest taka miła, pogodna.

- Ta szara myszka?

- Przy tobie, kochana, każda z nas wydaje się szarą myszką.

- Nie mogę zaprzeczyć. - Basia upiła łyk espresso i uśmiechnęła się z zadowoleniem, bo kawa okazała się diabelnie mocna. Idealnie do siebie pasowały. - Ale co? Myślisz, że ja i ona...? Że ona i my...?

- Myślę, że jest w towarzyskiej potrzebie.

- Skoro tak... Zaufam twojej prokuratorskiej intuicji. Dawaj ją na salony.

## Rozdział 2

*Wychodzenie ze strefy komfortu jest obiektywnie trudne – niezależnie od tego, czy ów komfort polega na leżeniu w leniwie kołysanym przez wiatr hamaku pod jabłonką, czy na smażeniu się na egzotycznej plaży i popijaniu drinka kolorowego jak grzywka kucyka pony, czy na siedzeniu w domu na kanapie, w ukochanym dresie z wypchniętymi kolanami oraz telenowelą w tle. Podobno jednak warto. Fakt, bywa niemiło, nawet boleśnie. Szczołgujemy się z hamaka, zaliczając wywrotkę, dźwigamy z leżaka i uwalamy piaskiem naoliwione ciało, wydostajemy się z kocykowego kokonu na kanapie i marzniemy na kość w drodze do łazienki – tylko po to, żeby pójść naprzód. Po prostu. A nuż się okaże, że za chwilę ktoś poda nam pomocną dłoń i pomoże wstać, otrzepie z piasku lub założy na stopy grubaśne skarpetki. To zawsze będzie wartość dodana.*

– Czyli skoro uwolniłaś się od tego balastu z testosteronu i jesteś pełnokrwistą singielką, to możesz zacząć korzystać z życia, dobrze rozumiem?

Od kiedy poznały się na zajęciach jogi i po tym, jak Inga – choć z pewnymi oporami – przyjęła zaproszenie dziewczyn na drinka w ich ulubionej knajpie, spotkania w klubie tylko dla kobiet, obok jogowych wtorków, stały się ich niepisaną tradycją – „kolacjami czwartkowymi” – którą starały się podtrzymywać, umawiając się przynajmniej raz na dwa tygodnie. Początkowo ich rozmowy krążyły wokół tematów zawodowych, szybko jednak Baśka sprowadziła Inge na właściwe tory, czyli w rewiry życia prywatnego. Inga dowiedziała się chyba wszystkiego o związkach swoich nowych koleżanek, a przyciśnięta do muru ich bezpośredniością i jednocześnie silnym przeczcuciem, że tym dwóm zwiariowanym dziewczynom naprawdę może zaufać, wyjawiała, że wróciła do Polski chwilę po tym, jak rozwiodła się z mężem. Postanowiła jednak nie zdradzać wielu szczegółów. Nie, nie zamierzała kłamać. Anka i Basia po prostu musiały się nasycić tylko częścią prawdy. Przynajmniej na razie.

– Można tak powiedzieć – odparła na pytanie Baśki. – Ale nie czuję się gotowa, żeby wchodzić w nowy związek. W ogóle faceci jakoś mnie odrzucają.

– Aha. – Anka chrupnęła grissini, zanurzywszy pszenny paluszek w tapenadzie z czarnych oliwek. – Trafic teraz na porządnego faceta to jak wyłowić na wyprzedzący ostatnią parę szpilek w swoim rozmiarze. Liczy się szczęście. No nic, najważniejsze, że już wyszła na prostą, jesteś niezależna, zarabiasz i przed nikim nie musisz się tłumaczyć... Możesz robić wszystko. Ja na przykład w ramach rozrywki zapisałam się na zajęcia z malarstwa. Indywidualne, więc nie muszę się martwić o ewentualne dyżury w weekendy, bo ustawiam sobie lekcje pod grafik. Blisko mnie, w osiedlowym domu kultury. To jest totalne oczyszczenie głowy, chill, rock'n'roll i miłość do wszystkich. Może też spróbujesz?

– *A drugs and sex są w pakiecie?* – Baśka cmoknęła.

– *A żebyś wiedziała! Nauczyciel pachnie jak tykwa z yerba mate! Ja jestem co prawda team kawa i perfumy... Ale co się nawdycham... Czuję się jak na wakacjach na Mazurach... Pod namiotem, po studencku... Tak swojsko jakoś.* – Anka się rozmarzyła.

– *A jak ty go znalazłaś?* – zainteresowała się żywo Inga, bo i jej się marzyły takie warsztaty.

Od dziecka lubiła malować. Wszyscy mówili, że ma talent, chwalili, nawet wróżyli karierę. Inga wygrała kilka szkolnych i międzyszkolnych konkursów plastycznych, chodziła na kółko plastyczne i na zajęcia do domu kultury, nabierając pewności siebie w malowaniu. Potem zamarzyła o studiach i nawet się na nie dostała – na dumną poznańską ASP, tylko że wtedy jej życie się posypało. Wtedy zmarła jej mama. Naj-

lepsz na świecie – taka, z którą można pogadać o wszystkim. O chłopakach, gotowaniu, całowaniu, książkach. To była mama od zadań specjalnych. Na przykład kiedy Inga szła na studniówkę i przy wkładaniu sukienki poszedł szew na plecach, bo przytyła, mama wyjęła maszynę i tu przesyła, tam coś wszyła i w kwadrans uratowała Indze wieczór. A innym razem, kiedy Inge zważyło z nóg tanie wino, bez słowa po nią przyjechała, a potem tylko zmieniała jej kompresy na czole, nie biadoląc i nie sprzedając moralizatorskich gadek. I właśnie tuż u progu Ingowego dorosłego życia ta mama zniknęła, a wraz z nią zniknął cały bezpieczny świat Ingi. Wtedy zapadła się w sobie. Nie poszła na studia i co więcej, na długo zniechęciła malowanie i w ogóle wszystko. A potem zniechęca pojawił się Adam, który miał być lekiem na całe zło, a okazał się i lekiem, i złem. Do myślenia o malowaniu wróciła w dniu trzydziestych piątych urodzin, kiedy postanowiła coś zmienić w swoim życiu. Kochała redagowanie tekstów, była w tym dobra, nawet ukończyła z wyróżnieniem kilka znakomitych kursów w tej dziedzinie, od losu zaś otrzymała dar w postaci intuicji językowej i znajomą w jednym z poznańskich wydawnictw, która ułatwiła jej start w branży, ale malowanie... Ono miało w sobie magię, a Indze magia po ucieczce z Nowego Jorku była cholernie potrzebna.

– Wywiesił info na tablicy ogłoszeń w naszym bloku – tłumaczyła teraz Ania. – Ten gość na co dzień prowadzi zajęcia dla dzieciaków w ośrodku rehabilitacyjnym, a po godzinach uczy dorosłych.

– No to może i ja się do niego wybiorę? – Inga sama siebie zdziwiła tą nagłą decyzją.

– Serio? Czy jaja sobie ze mnie robisz? Bo mogę ci zaraz dać jego wizytówkę...

– Serio. – Inga wzięła od Anki kartonik z numerem kontaktowym i schowała do torebki. – Potrzebuję magii – stwierdziła szczerze, po czym dodała: – I... odskoczni od ciągłego ślęczenia nad literami.

– Odszkodni? – Baśka się ożywiła. – Odszkodni? – powtórzyła, po czym wymownie poprawiła biust i pochylała jej przed oczami zieloną oliwką nadzianą na wykałaczkę. – To ja mam dla ciebie idealną odszkodnię. Co myślisz o tym, żebyś umówiła cię na randkę?

– Mnie? W życiu! – Inga poczuła, jak gorąco wypełnia ją po czubek głowy i wylewa się czerwienią na policzki. Głupia nastoletnia reakcja!

Błagalnie spojrzała na Ankę, wołając niemo o ratunek, ale ta tylko pokręciła głową.

– Zgadzam się z Basią. Po miesiącach posuchy warto zrobić ten pierwszy krok. A ty jesteś gotowa. Tylko potrzebujesz marchewki. A my, tak się składa, mamy i marchewkę, i kij.

– A nawet kilka kijów do wyboru! – wtrąciła Baśka, wyraźnie zadowolona z koncepcji bycia swatką.

– Inguś. – Anka zwróciła się spokojnie do przyjaciółki, widząc, że słowa Baśki zadziałały na nią usztywniająco. – Nic na siłę, wiadomo. Ale wiemy z własnego doświadczenia... Znaczą Baśka wie, bo ja od lat w monogamii dojrzewam, że TO bywa całkiem dobrą odszkodnią.

– Całkiem dobrą?! – Baśka prychnęła. – Całkiem dobra to może być lektura książki w hamaku pod palmą albo kolejny seans Dirty Dancing z koleżankami. TO, czyli mówiąc bez ogródek, SEKS, jest bestsellerową odszkodnią, niezależnie od tego, czy jesteś singielką, czy mężatką. Przecież z własnym mężem lub prawie mężem też można mieć fajny seks, prawda, Aneczko?

Ania potwierdziła mrukliwie. Baśka, choć normalnie od razu zapytałaby przyjaciółkę, skąd taka oszczędność reakcji, z satysfakcją skinęła głową, bo oto do sąsiedniej łoży poszedł wysoki i czarnowłosy kelner w typie latynoskiego maczo. Anka rzuciła Indze łobuzerskie spojrzenie, Baśka tymczasem mierzyła go wzrokiem.

– Fajny, co? – zapytała, gdy się oddalił.

Anka pokiwała głową.

– Obiektywnie booski. I to jego: *Señorita, muy bien...*

– Inga, co myślisz? – Baśka spojrzała przenikliwie na koleżankę. – Nada się na przełamanie pierwszych lodów?

– Ale że... Dla mnie?

Anka parsknęła.

– Dla ciebie, dla ciebie. Wystarczy jedno twoje słowo, Baśka wszystko załatwi... No, mów. Pozwoliłabyś mu podotykać tych swoich słowników...?

– Może bym i pozwoliła, byleby ich nie przestawiał... – Inga uśmiechnęła się, widząc rozbawione spojrzenia przyjaciółek. – Ale... Nie, dziewczyny, serio. Ja tak chyba nie umiem. – Wbiła wzrok w kelnera, który kręcił się już przy barze. – Tak po prostu jedna noc i do widzenia? Nie... To nie dla mnie. Albo przynajmniej nie na teraz...

– Dziewczyno! Jak to nie na teraz? A na kiedy? Jak ci osiemdziesiątka stuknie? Wtedy to żaden się za tobą nie obejrzy, a i ty na żadnego nie spojrzysz. A przecież masz potencjał, żeby korzystać z życia. Teraz. Już. – Baśka przewróciła oczami. – Powinnas być dyrygentką w orkiestrze życia! A nie tylko krzeselka dla big bandu ustawiać...

Inga westchnęła, a Basia z Anką wymieniły spojrzenia.

– Kochana – odezwała się Anka – Basia ma rację. Kiedyś musisz się odważyć. I nie chodzi od razu o związek. Niepotrzebna ci kolejna psia kupa rozjechana przez roombę, skoro dopiero co z jedną się uporałaś. Skup się teraz na sobie. Może sobie tylko porandkujecie, pogadacie o duperelach, drinka się napijecie. Tak żebyś się przekonała, czy ci to w ogóle potrzebne.

– No, Aneczka! – Barbara kipiała zadowoleniem. – Nie ujęłabym tego lepiej. Bo widzisz, bejbe – zwróciła się do Ingi – na przykład ja do życia potrzebuję faceta jak tlenu. Wielu facetów, bo i dużo tlenu mi trzeba. – Znów wymownie poprawiła dekolt. – Ance tlenu wystarcza trochę mniej – zaśmiała się – a jednak też go potrzebuje. Ale – zawahała się – może ty jesteś w typie latarniczek, co to raz na rok i też jest w porządku? Znam takie dziewczyny. Całkiem spoko. Każdej według potrzeb...

Inga, totalnie zaskoczona słowami Baśki, nie wydała z siebie nawet cichego westchnienia. Lubiła latarnie, doskonale rozumiała ludzkie zachwyty nad tymi samotnymi budowlami. Mogłaby nawet w takiej latarni spędzić wakacje, może i kilka miesięcy. Nigdy jednak, ale to przenigdy nie chciała być latarniczką na całe życie, a już na pewno nie w sensie intymnej samotności.

– Jednakże, jednakże! – kontynuowała Baśka, celując palcem wskazującym w sufit. – Jak masz ochotę na jakiegoś crepesika, to po prostu go schrup. Życie jest za krótkie, żeby wciąż i wciąż być na randkowej diecie.

– Crepesika? Że niby naleśnika po francusku?

– A może być i po francusku, nie wnikiem. Mówiąc crepesika, mam na myśli jakiegoś przystojniaka.

Baśka sięgnęła po kieliszek. Nie zdołała jednak go ująć w palce, kiedy natknęła się na spojrzenie kelnera o oliwkowej cerze. Zlustrowała go od stóp do głów. Widząc zainteresowanie kobiet, mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ukazując równe białe zęby. Inga spojrzała na Barbarę, unosząc brwi; w odpowiedzi Baśka tylko przewróciła oczami.

– Dobra, dziewczyny. Za co pijemy?

– Za to miejsce – rzuciła Anka.

– Za odwagę – dodała Inga.

Stuknęły się kieliszkami.

– I niech nam wino lekkim będzie.

## Rozdział 3

*Odwaga i brawura to dwie strony tej samej monety. Wiadomo, wcale nie trzeba nią rzucić, bo decyzja o tym, którą ze stron wybrać, w wielu sytuacjach jest oczywista. Czasem jednak wybór okazuje się zbyt trudny, a zdanie się na los chwilowo zbawienne, lecz długofalowo – tragiczne w skutkach. Zwłaszcza gdy wypadnie dotąd kompletnie nam obca brawura i puści do nas oko. A to oko jest całkiem ładne i przedstawia się jako Julio, Olivier bądź George. Zresztą na jedno wychodzi – może być nawet i Broniek.*

Inga zupełnie nie miała ochoty na spotkanie z dziewczynami, ale nie chciała być tą, która nadszarpienie ich tradycję, bo już i tak wymigała się od wtorkowej jogi. Poza tym, znając życie, po półgodzinie zwałyby się do jej mieszkania z dwiema butelkami wina i wystraszoną dostawcą sushi, które niechybnie zamówiłaby Barbara. Inna sprawa, że zawsze było tak, że najpierw nie chciało jej się wychodzić, a potem, już na spotkaniu, bawiła się świetnie. Teraz jednak powodem jej niechęci nie było zwykle lenistwo, a wstyd. Wolałyby porozmawiać z mamą, bo ona zawsze wiedziała, co Inga w takiej sytuacji jest potrzebne. Ale mama przecież odeszła.

Było jej wstyd głównie przed sobą. Na wszystkich szczeblach edukacji – a potem w pracy – starała się być wzorową uczennicą i pracowniczką. W szkole zgarniała same piątki; tak samo miało być w dorosłym życiu. Piątkę chciała dostać nawet z bycia żoną. Rozstanie i rozwód, a potem szybką wyprowadzkę traktowała jak osobistą porażkę – mimo że Baśka i Anka jednogłośnie jej powtarzały, że koniec jakiegoś etapu to początek nowej przygody. Inga po prostu nie lubiła popełniać błędów. Nie farbowała szaromysich słowiańskich włosów niemal do trzydziestki, bo bała się kolorystycznej wtopy, nie umawiała się na randki w ciemno w obawie przed poniżeniem, a gdy w końcu zdecydowała się nakładać makijaż, zaliczyła wcześniej kurs u kosmetyczki, która nauczyła ją podkreślać jej delikatną dziewczęcą urodę. Z obawy przed porażką, po tej najboleśniejszej o imieniu Adam, nie umawiała się nawet na randki. Kiedy więc któregoś dnia dostała od Baśki wiadomość z numerem telefonu zabójczo przystojnego kelnera o oliwkowej cerze i tekstem: „*Girls just wanna have fun*”, poczuła w dole brzucha ucisk strachu. Wiedziała, że powinna w końcu się odważyć i wyjść poza strefę własnego komfortu. Właściwie częściowo już postawiła jedną stopę za linią – zaczęła trenować jogę i poznała nowe koleżanki. No i na biurku, niczym latarnia morska, mrugała do niej wizytówka nauczyciela malarstwa, którą dostała od Anki. Gdyby cztery miesiące wcześniej jakiś głos w jej głowie szepnął, że swobodnie i bez lęku – z pewną wręcz odwagą – będzie się poruszać po mieście, cieszyć towarzystwem, na powrót myśleć o malarstwie i smakować cierpkich win oraz słodkich drinków – pokręciłyby głową, po czym wróciła do pracy nad tekstem. Wtedy jeszcze wolała powiesić w ciepłym kocykiem w pakiecie od świata za drzwiami mieszkania. Teraz, dzięki Ance i Baśce, wskazówka jej życiowego kompasu zaczęła powoli się przesuwać w kierunku rzeczywistości.

Olivier Yaya (kiedy jej się przedstawił, Inga mimowolnie parsknęła śmiechem), sporo młodszy od niej, jak się okazało, Meksykanin, przyjechał do Polski robić karierę w futbolu, ale po dwóch latach powinięła mu się noga, i to dosłownie, więc niestety musiał zrezygnować z marzeń. Żeby zebrać kasę na powrót do domu z podniesioną głową (co w jego stronach oznaczało zarobienie na zakup ziemi), uczył dzieciaki grać w nogę w jakiejś prywatnej szkółce, a popołudniami dorabiał jako kelner w Facetom Wstęp Wzbroniony. Inga musiała przyznać, że należał do kelnerów z kategorii *gourmet*: miał piękne ciało, łobuzerski uśmiech i całkiem niezłą gadkę okraszoną tymi wszystkimi *señorita* i *con mucho gusto*. Inga była pewna, że otrzymywał bajeczne napiwki. Po kilku rozmowach telefonicznych z Baśką, która twierdziła, że wyczuła grunt i że Olivier nie jest zainteresowany związkami, ale chętnie wybierze się z Ingą na randkę (skąd przyjaciółka miała tak obszerną wiedzę, w to już nie należało wnikać), Inga postanowiła być odważna i zdecydowała, że pora wyjść spod

koca, zrobić oko, może nawet założyć pończochy (ot tak, wyłącznie dla siebie!) i spotkać się z przystojnym Meksykaninem. Olivier – gdy wreszcie się przełamała, by do niego zadzwonić – zaproponował łamaną polszczyzną, że spotkają się w tapas barze niedaleko Starego Rynku. Inga uznała, że to świetna miejscówka – bo w razie niewypału będzie mogła szybko ulotnić się do domu.

Olivier okazał się jednak wypałem, petardą, istnym dynamitem, saletrą czy czym tam jeszcze, co wybuchła. A kiedy wyszli z baru, roześmiani i upojeni winem, Inga nie miała już czasu ani ochoty na metafory, myślała tylko o tym, że to bardzo, bardzo miło, że jej mieszkanie znajduje się tak blisko, że Olivier jest bardzo, bardzo miły i że byłoby naprawdę zajebiście miło, gdyby spędzili razem resztę wieczoru. Redaktorską intuicję – i w ogóle wszelką intuicję – wepchnęła beztrzesko na dno torebki, między tusz do rzęs a resztki zdrowego rozsądku, poddając się szalejącej w jej ciele brawurze, która ledwie chwilę wcześniej zajęła miejsce odwagi. Kiedy Inga otwierała drzwi mieszkania, czując na karku namiętne pocałunki, które wywoływały dreszcz między łopatkami, a na biodrach duże dłonie Oliviera, ostatnim wysiłkiem woli podziękowała jeszcze w myślach Barbarze. „Przecież jeśli oboje macie na to ochotę i żadne z was nikogo tym nie rani, to nad czym się tu zastanawiać? *Keep calm and shrup* tego meksykańskiego naleśniczka” – powiedziała jej przyjaciółka na koniec rozmowy telefonicznej.

Inga westchnęła głęboko, pchnęła drzwi do mieszkania i wraz z Olivierem wtoczyła się do środka. A potem nastąpił całkiem udany pokaz fajerwerków.



Kiedy Inga obudziła się następnego dnia rano, nie wiedziała, co się dzieje. Pierwszym widokiem po otwarciu oczu były nagie, szerokie męskie plecy i umięśnione ramiona w kolorze mlecznej czekolady. Uniosła się na łokciu i gdy zawirowania w głowie ustały, spojrzała rozspanym okiem na mężczyznę, który leżał obok niej w łóżku. Baśka może i była postrzelona, ale za to, co zrobiła dla Ingi, należała jej się osobna kategoria w Nagrodzie Nobla – Stosunki Międzyludzkie. Poprzedniego wieczoru Inga przekroczyła bowiem swój prywatny Rubikon, a pomógł jej w tym właśnie Olivier, chłopak poznany ledwie kilka godzin wcześniej. Pachniał inaczej niż Adam, inaczej smakował, inaczej ją zdobywał – i to jej się bardzo podobało. Że był inny.

Zarzuciła na siebie satynową koszulkę i szlafrok i poszła do kuchni, by zaparzyć kawę dla nich obojga. Ekspres był jednym z pierwszych urządzeń, które pojawiły się w jej mieszkaniu tuż po przeprowadzce, zaraz obok dyfuzora olejków eterycznych i samojezdnego odkurzacza. Praktyczność szła u niej w parze z niegroźnym hedonizmem, bo Inga nie wyobrażała sobie poranka bez zapachu parzonej kawy, a wieczoru bez kojącego aromatu jabłek i lubiła chodzić bosą po mieszkaniu.

Zdjęła z półki dwa białe kubki i po chwili ekspres szumiał już przyjemnie, a w kuchni unosił się aromat mielonych ziaren. Nie wiedziała, jaką kawę pija Olivier, więc nalała do dzbanuszka spienione mleko, by w razie czego mógł sobie dolać. Na wiklinowej tacy postawiła dwa parujące kubki, dzbanuszek i cukierniczkę z brązowym cukrem oraz dwie łyżeczki po babci, po czym ruszyła do sypialni.

Łóżko było puste, a z przylegającej do sypialni łazienki dobiegł ją szum prysznica. Czyli Olivier musiał się obudzić, gdy włączała ekspres. No nic, trudno, poczeka, aż chłopak się wykąpie, i wtedy wypiją kawę, nieważne, że już nie tak gorącą. Po niecałym kwadransie drzwi łazienki otworzyły się i stanął w nich jej Meksykanin – umyty, świeży, uśmiechnięty, w ubraniu z poprzedniego wieczoru. Posłała mu uśmiech i uniosła znacząco jeden z kubków z kawą. Olivier pokręcił głową, błyskawicznie wsuwając na nogi jasne trampki.

– Nie mogę, Inhaaa. – Podobał jej się sposób, w jaki wymawiał jej imię. – Za dwadzieście minuty muszę być na boisko. Mam *lección* – dokończył po hiszpańsku.

„Okej” – pomyślała. „Przecież to nic zobowiązującego. Nie musi ze mną pić kawy ani jeść śniadania. Ani już tym bardziej umawiać się na kolejny wieczór. Lub noc”.

– Dzięki za wczoraj – powiedziała tylko. – Było miło.

– Mi też, Inhaaa. *Gracias, mi amor.*

Po tych słowach wypadł z mieszkania. Inga z westchnieniem przysiadła na fotelu i upiła łyk kawy, po czym dołała sobie mleka i wzięła do ręki książkę, którą ostatnio czytała dla relaksu. Gdy poczuła, jak do koniuszków palców u stóp dociera kofeina, wstała, zrzuciła szlafrok i koszulkę i radosnym krokiem pospieszyła do łazienki.

Zanim weszła pod prysznic, mimowolnym gestem, jak co rano, otworzyła jeszcze zabytkową szkatułkę z biżuterią i... oniemiała.

Rubikon wylał z brzegów.



Inga Winter z drżeniem weszła do klubu. Od dwóch dni, czyli od jogi odwołanej na rzecz epizodu z Meksykaninem, mało spała i słabo jadła. I nie chodziło o to, że duchota ostatnich czerwcowych dni była nie do zniesienia. Duchotę to ona by przyjęła z pocałowaniem ręki, na cały czerwiec, lipiec, sierpień i jeszcze pół września. Chodziło o coś innego, znacznie gorszego.

Za barem stał dziś sobowtór Jasona Momoy. Na jej widok lekko skinął głową. Basia siedziała w ich łoży, tuż przy szklanej balustradzie, i scrollowała telefon, cichutko wtórując Beacie w refrenie jednej z jej najulubieńszych piosenek, *Miłość i ja*, kołysząc przy tym stopą w niebotycznie wysokiej szpilce od Louboutina.

– Och, jak dobrze, że już jesteś! – Uniosła wzrok na Inge, gdy ta zawiesiła torebkę na haczyku i wsunęła się za ławę, by usiąść. – Z biura mi tu piszą o jakichś mitingach na jutro, a ja już nie mam siły wymyślać kolejnych wymówek, żeby nie sprawdzać tej pieprzonej poczty i nie spotykać się z tymi cholernie nudnymi ludźmi.

Inga popatrzyła na przyjaciółkę. Ileż by dała, by choć w jednej czwartej być tak pewną siebie jak Baśka. Barbara była bowiem kobietą wykarmioną przez wilczycę, wychowaną przez dżunglę, od najmłodszych lat żyjącą w przekonaniu, że od życia należą jej się – jak zresztą każdemu człowiekowi – tylko najlepsze kąski.

– O, Anka właśnie napisała, że ma obsuwę. – Basia ostatni raz zerknęła na telefon, po czym rzuciła okiem na kartę dań. – To co, zamawiamy wino? Jak pani prokurator się tu doczłapie, procenty już będą czekały.

– Zamawiamy.

Inga przywołała spojrzeniem Jasona Momoe, który w mgnieniu oka zjawił się przed nimi i lekko skłonił.

– Zdecydowały panie o trunku czy mam coś polecić?

– Białego wytrawnego rieslinga poprosimy – oznajmiła Basia. – Butelkę.

– Doskonały wybór, zaraz przyniosę.

Ulotnił się niemal bezszelestnie. Basia przeniosła wzrok na Inge i przyjrzała się jej bacznie.

– No i co tam nabroiłaś, hę?

– Co? – Inga wyraźnie się spłoszyła. – Ja? Nabroiłam? Eeee...

Basia zmrużyła oczy.

– No już, nie udawaj. Przecież widzę po twojej minie, że coś się dzieje.

– Dobra – sapnęła Inga. – Ale może... poczekamy na Ankę? – dodała niezbyt pewnie.

Kelner postawił przed nimi wino w wiaderku z lodem i dwa kieliszki, po czym sprawnym ruchem otworzył butelkę i nalał im odrobinę, by skosztowały. Uznawszy, że jest idealnie kwaskowe i ma odpowiednio niską temperaturę, poprosiły o napełnienie kieliszków i odprawiły kelnera.

– Daj spokój. Zanim Anka się zjawi, zdążymy się zestarzeć. – Basia poprawiła sobie dekolt jasnej bluzki, która w elegancki sposób podkreślała jej piękną biust.

Inga poczerwieniała.

– Bo ten Olivier... Znaczy Yaya...



– Nooo, co z nim? Bo u mnie – Basia konspiracyjnie pochyliła się nad ławą – zrobił całkiem niezłą robotę. I łydki ma jak Ronaldo, jebaniutki.

Inga spojrzała na nią z przerażeniem.

– Jezu, Baśka, ty też z nim spałaś?

Barbara postukała czerwonymi paznokciami w blat, uśmiechając się szelmowsko.

– Zaraz tam spałam. Wymasował mnie! Za wszystkie czasy! Bo on na masażu też się zna. Przecież bym ci nie sprzedawała kota w worku, a że wygląda jak chrupiący crepesik, to... Ale czekaj, czekaj, co znaczy też?

Indze zawirowało przed oczami.

– Nic, zupełnie i absolutnie nic. Spałam z nim! – rzuciła ze złością. – Ale nie to jest najgorsze! Bo on... On... On mnie okradł!

Basia zamrugwała gwałtownie, trawiąc komunikat.

– Co? – wydusiła po chwili.

– Okradł mnie! Ogołocił! Buchnął wisiołek po mamie i oszczędności na czar... na czar... – Ugryzła się w język.

Barbara zmrużyła oczy.

– Chcesz powiedzieć, że ten pieprzony naleśniczek ukradł ci kasę, którą kulałaś na czarną godzinę? I jeszcze wisiołek?

Inga ukryła twarz w dłoniach.

– Baśka, ja nie mogę sobie tego darować. Jak mogłam być taka głupia! Bo wiesz... – Urwała.

Basia przyglądała się wyczekująco nowej przyjaciółce, w myślach tworząc już scenariusz zemsty na crepesie i wyrwania mu prosto z gardła tego, co na pewno do niego nie należało.

– Jak weszłam do łazienki – podjęła Inga, co rusz przelękając ślinę – zorientowałam się, że coś jest nie tak, bo... Zniknął wisiołek ze szkatułki pod lustrem. A jestem pewna... Na tysiąc procent jestem pewna, że poprzedniego wieczoru tam był... A potem jeszcze ta kasa... Moja kasa na nagłe wypadki... I... I... I na...

Z oczu Ingi nagle wylał się ocean łez. Baśka, choć zazwyczaj nie stawała twarzą w twarz z ludźmi w rozpacz, natychmiast się zreflektowała; wstała, podeszła do niej i najpierw kojąco poklepała ją po dłoni, a potem dość sztywnymi ramionami objęła. Nigdy nie czuła się komfortowo w takich chwilach. Potrafiła wystąpić na scenie przed pełną salą ludzi biznesu, zabierając głos w obecności firmowych tuzów, ale z pocieszeniem miała problem, bo jej nigdy nikt nie pocieszał. W dzieciństwie pragnęła, by ktoś otarł jej łzy, kiedy gubiła się w labiryncie samotności, ale wtedy nikogo przy niej nie było. Potem pojawił się Bajm – w piosenkach Beaty odnalazła największego pocieszyciela. W dorosłym życiu zaś, kiedy już nawet miała na kogo liczyć, starannie zadbała o to, by nikt nigdy nie widział jej chwil słabości.

– No już, już... Frajerzy też się czasami zdarzają – powiedziała łagodnie.

– Albo frajerki.

– Zaraz tam frajerki! – Baśka od razu pojęła, że Inga nadal się biczuje. – Tobie po prostu brakuje doświadczenia. Zobaczysz, chwila moment i się wyrobisz! Zadbam o to, bejbe! Nic się nie martw.

Inga parsknęła cicho, pociągnęła nosem i odruchowo przetarła oczy, rozmazując sobie makijaż. Baśka bardzo delikatnie (bo nawet w takiej chwili pamiętała, że zbyt mocne tarcie wrażliwej skóry pod oczami może pogłębić albo – co gorsza – objawić znienawidzone przez nią zmarszczki) usunęła kciukiem spływający tusz.

– No! – stwierdziła z satysfakcją. – Już lepiej.

W podziękowaniu otrzymała uśmiech, a wewnętrzny głos dał jej sygnał, że dobrze wywiązała się z nieśczęsnej roli pocieszycielki. Wygrzebała z torebki paczkę chusteczek do demakijażu i podała je Indze.

– A z tym crepesikiem – dodała już spokojnym tonem, obserwując, jak Inga przegląda się w lusterku i ściera z twarzy ciemne smugi – jakoś to ogarniemy. To znaczy możesz to zrzucić na mnie, bo wiesz... Ja już nawet mam plan. – Stuknęła paznokciem w marmurowy blat i sięgnęła po kieliszek wina, dając znać Indze,

by zrobiła to samo. – Kiedy ty sobie popłakiwałaś, ja składałam wszystko do kupy. Bo po pierwsze, umówiłam się z tym Meksykaninem na drugi masaż.

Inga w zdziwieniu uniosła brew.

– Ale nie potwierdził. Po drugie, od dwóch dni nie ma go w robocie. Tak – Basia zrobiła przeproszający gest – pytałam o niego, bo jak wspomniałam, masuje jak żaden, no i dowiedziałam się, że wziął tygodniówkę i wyparował jak kamfora. Nawet nie odbiera telefonu. Po trzecie, znikając, zagarnął wszystkie napiwki i ludzie są wściekli, a co gorsza, połaścił się na pięć flaszek francuskiego szampana, który kosztował miliony i który miał dziś stanąć na stole córeczki gościa od jachtów. To ostatnie tak wkurzyło menedżera, że poprzyśiął dorwać tego meksykańskiego crepesika.

– Ale jak? – Inga ostatni raz siąknęła nosem i popatrzyła zdumiona na przyjaciółkę.

Basia uniosła ręce.

– Zasadniczo nie chcę wiedzieć. Słyszałam, że ma to ogarnąć Siergiej, ten ochroniarz. A sama widziałaś, że on to raczej nie jest spokrewniony ze Szpilmanem, tylko z Pudzianowskim. Łapska ma jak bochny chleba.

– Ale że ma mu zrobić krzywdę?

– Jak chłopakowi nosek troszeczkę przekrzywi, to mu tylko sznytu doda. I przypuszczalnie nauczy, że z Polakami nie warto zadzierać, co nie?

– Być może – stwierdziła Inga bez przekonania.

W głębi duszy była jednak przerażona. Brzydziła się przemocą i siłowym załatwianiem spraw.

– A... Jakbyśmy go same poszukały?

Basia stanowczo pokręciła głową.

– Słuchaj, niech sobie Siergiej działa, niech szuka. Mówią, że jest skuteczny. Dajmy mu kilka dni, tydzień najwyżej. Jak nie wyjdzie, coś wymyślimy. Anka ma przecież te swoje urzędowe metody, na pewno coś zaradzi.

– Nie dzisiaj. – Pani prokurator zmaterializowała się przy łoży z miną cokolwiek nieodgadnioną. – Nie wiem, do czego jestem wam dzisiaj potrzebna, ale uprzedzam, że jeśli to wymaga logicznego myślenia, składnego formułowania zdań i korzystania z tego, co nazywają szarymi komórkami, to ja dziś, kurwa, odpadam.

– Nie, nie. Moje może poczekać. – Inga od razu się wycofała.

Szczerze mówiąc, poczuła ulgę, że nie będą dalej wałkować tego tematu.

– Aż taki zły dzień? – zapytała Baśka i nie czekając na wyjaśnienia, przywołała kelnera, po czym poprosiła o trzeci kieliszek i nalanie wina.

– Czy mogę zaproponować paniom coś do jedzenia? – zapytał grzecznie mężczyzna.

– Nie! Żadnego żarcia, żadnej przystawki, żadnej sałatki! – Anka fuknęła. – Jestem full and down! Najedzona, nażarta, pełna! Rozumiesz? – Obdarzyła go ostrym spojrzeniem, jakim częstowała ludzi tylko podczas trudnych przesłuchań, kiedy zrzucała powłokę Anny Krauze i stawiała się Procą.

Bogu ducha winny kelner, zaskoczony niewymownie, oddalił się czym prędzej, a Anka jakby oklapła i do-dała żałośnie:

– Od rana karmię się wyłącznie pogardą. Tonami pogardy.

– Co się stało? – zapytała Barbara.

– Ano to – wycedziła Anka przez zęby – że ten mały tępy chujek Damianek mnie zdradza. Ale to jeszcze nie koniec atrakcji. – Zrobiła pauzę dla większego efektu. – Będzie miał dziecko z inną.

## Rozdział 4

*Szok i niedowierzanie to reakcje idealnie pasujące do wielu sytuacji w życiu, zarówno tych szczęśliwych, jak i mniej udanych. Wiadomo, że zawsze lepiej dać się miło zaskoczyć, niż z pesymizmem zaglądać w kalendarz, zaklinając czas, by jutro nadeszło możliwie jak najpóźniej. Niestety los nie daje nam do rąk karty menu, byśmy mogły sobie wybrać, co wolimy na danie główne: sukces zawodowy czy szczęście rodzinne, a na deser zdrowie, zdrowie i jeszcze raz zdrowie, czy może trzaśnięcie obuchem w postaci ciężkiej choroby, zdradę albo natrętną i wścibską sąsiadkę, która podrzuca nam do skrzynki anonimy o niepodlanych kwiatkach na balkonie lub zbyt głośno puszczanej muzyce. Oczywiście – na wiele rzeczy możemy sobie zapracować, na wiele również mamy wpływ. Ale nie na wszystkie, niestety. Choćbyśmy odkryły garniec złota na końcu tęczy, a gołąb codziennie srał nam na ramię. Na szczęście, oczywiście.*

Kiedy pierwszy szok minął, a niedowierzanie ustąpiło miejsca zdrowemu i naturalnemu wkurwowi, dziewczyny zarzuciły Ankę milionem pytań. Ona jednak, po wypiciu duszkiem trzech kieliszków jeden po drugim, zacisnęła usta i nie powiedziała już nic więcej, gdyż po prostu zdrowo się ululała i trzeba ją było przetransportować do mieszkania celem położenia spać. „Ale nie ma opcji, żeby w takim stanie wracała do tego siedliska zdrady i antymoralności” – stwierdziła Baśka. Napisała szybko lakoniczną wiadomość do Damiana, że jego narzeczona zostaje u niej, na co otrzymała równie lakoniczną i zaangażowaną emocjonalnie odpowiedź o treści: „OK, ja i tak na robocie do końca weekendu”. Następnie stanowczo oznajmiła, że wzywa taksówkę i obie – zarówno wstawiona Anka, jak i absolutnie trzeźwa Inga zostają u niej na noc i nikt nie ma w tej sprawie nic do gadania. Inga przyjęła tę propozycję nawet z ulgą. Nie chciała wracać do mieszkania, w którym nadal unosiła się pocrepesowa woń upokorzenia i poczucia winy.



Inga przekroczyła próg apartamentu wynajmowanego przez Basię i znieruchomiała. Dawno, bardzo dawno nie widziała takiego przepychu. Owszem, kiedy jeszcze mieszkała w Nowym Jorku, bywała wraz z Adamem w różnych ekskluzywnych miejscach, również w najlepszych penthouse'ach, u najbogatszych rezydentów Manhattanu. Jednak w przeciwieństwie do męża ona nigdy nie czuła się w nich dobrze. Przytłaczały ją kryształowe żyrandole, marmurowe posadzki, ociekające złotem i platyną ściany, antyczne meble, nawet aksamitne i ciężkie kotary, kontrastujące z tak modnymi betonowymi ścianami. Przytłaczał ją też brak ścian – gigantyczna otwarta przestrzeń, w której trudno się ukryć. Rozejrzała się wokoło i poczuła, że demony, do tej pory uśpione, zaczęły się budzić. Przełknęła ślinę i zacisnęła szczęki.

– Wchodzisz? – zapytała Baśka, a widząc konsternację wymalowaną na twarzy przyjaciółki, posadziła Ankę na sofie, wróciła do Ingi i wciągnęła ją do środka.

Inga nie zdołała zareagować, wykonać kroku wstecz ani cofnąć ręki. I dobrze, bo wewnątrz absolutnie oszałamiającego lokum Barbary poczuła się... zadziwiająco dobrze. Może więc to wcale nie wnętrza ją przytłaczały, a ludzie? Zwłaszcza ci z rozbuchanym ego, robiący wszystko na pokaz, pławiący się w bogactwie niczym piranie w kąpielni pośród świeżego mięska?

– No wiem, wiem. – Barbara nieoczekiwanie zabrzmiała tak, jakby chciała za coś przeprosić. – Pewnie nie spodziewałaś się po mnie takiego bałaganu. Sorry, ale moja Katka wzięła wolne i jest, jak jest. Zaraz to ogarnę.

Inga nie do końca rozumiała, co Barbara miała do ogarnięcia, bo apartament lśnił czystością. Co prawda na kanapie w kształcie litery U leżały jakieś ubrania, a na stoliku kawowym wykonanym z drewnianej kłody dwie szampanówki i pusta butelka po różowym moście, ale to nie był żaden bałagan. Przynajmniej nie dla niej.

– Położysz Anię? Ja przygotuję dla niej Jezioro Szczęścia. Znaczący eliksir bogiń, żeby rano nie zaliczyła zgonu.

– Jasne. Bez problemu – rzuciła Inga, choć nie wiedziała, gdzie w tym wielkim dwupoziomowym penthosie znajdowała się sypialnia.

– Sypialnia dla gości jest tam. – Barbara jakby czytała w jej myślach. Machnęła ręką w kierunku korytarza. – Następny pokój za jacuzzi. Powinno być zaścienione, bo nikt tam ostatnio nie spał, ale jakby co, to w komodzie...

– Poradzę sobie – przerwała jej Inga, łapiąc Ankę pod ramię. – Trochę się znam na kładzeniu ludzi do łóżka. – Uśmiech pojawił się na jej twarzy, choć ze słów bił chłód.

To była krótka droga, raptem kilkanaście kroków, ale wystarczyła, by przed oczami przemknęło jej kilkanaście lat życia z Adamem. Wtedy, w Nowym Jorku, nie było tygodnia, by nie prowadziła go do sypialni, kiedy zwał się w ich apartamencie pijany w sztok w środku nocy. Ale o ile Anka była spokojna, senna, o tyle w odurzonym alkoholem (i kto wie czym jeszcze) Adamie budził się zwierz. Napalony, natarczywy, agresywny.

Z Anią poradziła sobie bez problemu. Pomogła jej się rozebrać i bez mycia, bo przyjaciółka za nic nie chciała przystać na kąpiel, położyła ją w przesadnie wielkim łóżu, na którego widok pomyślała, że musi być w rozmiarze super maxi extra king size, czy jakoś tak.

– Załatwione – stwierdziła, wchodząc do bijącej bielą jadalni, w której na centralnej ścianie, w złotych ramach, wisiał szalowy plakat Beaty Kozidrak w skórzanym kostiumie.

Basia skinęła głową.

– Niech się zdrzemnie. Potem ją obudzimy.

– Może lepiej niech śpi do rana. Sen to w końcu dobre lekarstwo na wszystko.

– Najlepsze nawet, ale jeśli Anka rano ma być w stanie normalnie funkcjonować, musi jeszcze wypić eliksir. A ty masz chęć na drinka? Wino? Szampana?

– Żadnego alkoholu już nie wcisnę. Herbatę może?

Basia uniosła brwi.

– Serio? Herbatę? Nawet nie wiem, czy coś takiego jak herbata u mnie jest, bo nie pijam. Tylko kawa, woda i procenty.

– To może być woda.

– Jaka? Źródłana, hipoosmotyczna, niskosodowa...?

– Zwykła, najzwyklejsza – rzuciła Inga, bo rzeczywiście było jej wszystko jedno, a poza tym nie wiedziała, co dokładnie kryło się pod pojęciami hipoosmotyczna i niskosodowa. Pijała wodę źródlaną albo mineralną. I tyle.

Basia sięgnęła po dwie smukłe szklanki, a z wysokiego kredensu wyjęła litrową butelkę ze złotym napisem Cristal.

– Jak mieszkalam w Paryżu, po każdej imprezie taką pijaliśmy. Nie jest może najsmaczniejsza, ale dobrze nawadnia. A przy tym to doskonałe antidotum na zmarszczki. Te kurewki zachowują się tak, jakby tylko czekały na chwilę alkoholowego zamroczenia, żeby objawić się światu, a nas upokorzyć. Trzymaj, bejbe, i do dna.

– Pięknie się tu urządzałaś. – Inga upiła kilka łyków faktycznie niezbyt smacznej wody, rozglądając się po wnętrzu.

– To nie moja zasługa, ale rzeczywiście jest bosko. – Basia dotknęła kilku przycisków na panelu w białej. Nagle w jasnej jadalni pociemniało i zrobiło się nastrojowo, a z głośników zaczęły dobiegać pierwsze takty

O Tobie Bajmu. – Wszystko zautomatyzowane. Nawet nie muszę spuszczać wody, bo maszyna robi to za mnie.

– Ekstra.

– Czy ja wiem? Potem, jak idę do biura, muszę się pilnować. Rozumiesz? – Wymownie spojrzała na przyjaciółkę, po czym dodała nieco zblazowanym tonem: – Taka automatyzacja cholernie rozleniwia, ale bez niej już nie wyobrażam sobie życia. A ty?

– A ja? – Inga wzruszyła ramionami. – Moje mieszkanie nie ma takich udogodnień, przecież wiesz.

– No tak, ale w tym Nowym Jorku to chyba miałas, prawda? Ja, kiedy mieszkałam tam przez chwilę... – Basia zaczęła snuć opowieść, której Inga już nie słuchała, bo jakoś tak naturalnie przeniosła się do penthouse'u Adama, do złotych klamek w drzwiach, przy kredensach i szafkach oraz do tych kamer i zautomatyzowanych systemów, które pozwalały mężowi śledzić całe jej życie.

Wzdrygnęła się, co nie uszło uwadze Basi.

– Sorry. Zapomniałam się z tym Nowym Jorkiem.

– Nie, nie, nic się nie stało.

– Przede mną nie musisz udawać. Może teraz mam słodkie życie, ale nie zawsze tak było. I wiem, doskonale rozumiem, co znaczy popieprzony facet. Miałam kilku takich, co to uwielbiali mnie kontrolować i chcieli, bym dla innych wbijała się w czador, a przy nich paradowała nago. Ale powiem ci jedno, można się od nich uwolnić. Ty od swojego Adasia też się wyzwolisz i przestaniesz nerwowo reagować, kiedy ktoś zaledwie wspomni Nowy Jork. Uwierz mi, da się. – Na moment zamilkła, spojrzała w stronę głośnika, bo i on przez chwilę milczał, kiedy jednak wybrzmiało z niego: „Ile jesteś wart, z kim o swe życie grasz”, kontynuowała: – Ile minęło od rozstania? Dwa lata, dobrze pamiętam?

Inga potwierdziła i natychmiast upiła łyk wody.

– To pewnie jeszcze czasami czujesz zapach jego potu na swoim ciele, co?

Inga drgnęła, ale nie odpowiedziała, nie musiała, a Baśka nie cisnęła, bo doskonale знаła odpowiedź.

– A zatem, kiedy wyczujesz na sobie zapach jego potu, to nie panikuj, tylko sięgnij po La vie est belle i skrop się tak obficie jak nigdy przedtem. A potem zadzwoń do niejakiej Barbary Kochońskiej i umów się na kieliszek wina.

– Albo dwa. – Inga uśmiechnęła się nieśmiało.

Barbara z uznaniem pokiwała głową.

– Albo dwa. A! – Wstała i podeszła do torebki, która wisiała na specjalnym haczyku w holu. Wyciągnęła z niej komórkę. – Zapomniałam ci powiedzieć, że dostałam info od Siergieja.

– Tego ochroniarza?

– Uhm. No więc Siergiej napisał, że już ma zamiar na crepesika, że działa i żebym się nie martwiła, bo... – Opadła na kanapę i przesuwiała palcem po ekranie komórki. – Mam! Przeczytam ci: „Basjunia, nie nerwujśja o gnoja. Ja już go prawie złapał. Wszystko mu wyrwe, łapy też i ryj obije. Wróce z kasa, szampan i ten łańcuch. Z gardła mu wyciągne, jesli trza. Nie nerwujśja”.

Inga spojrzała na nią przerażona.

– A jeśli Siergiej na serio mu coś zrobi? Może napisz, żeby odebrał, co nasze, ale go nie bił...

– No i widzisz! – Barbara wstała i poszła po drugą butelkę wody. – Na tym polega twój problem. Faceci robią cię, jak chcą, oszukują, okradają, dają mentalny łomot, a ty zamiast myśleć o sobie i o tym, jak się na koleśiu odegrać, jeszcze się o niego troszczysz. Tak nie można. Tak się dzisiaj nie żyje!



Na zakończenie wieczoru Basia pokazała Indze jeszcze swoje królestwo, czyli pokój, który napawał ją dumą. Jak stwierdziła, doznawała w nim absolutnej i wyjątkowej pozacielesnej rozkoszy. Kliknęła kilka razy w nie-

wielkich rozmiarów pulpit przy drzwiach i ze sprytnie ukrytych u sufitu głośników poniósł się głos Beaty i słowa idealnie pasujące do chwili: „Jest noc po ciężkim dniu...”.

– Tutaj moje ciało drży od muzycznych wibracji, ale to nie ono jest wtedy najważniejsze, a dusza. Sztuka to w moim życiu jedyny pokarm, przy którym nie liczę kalorii. Musi być ich dużo i muszą być doskonale zbilansowane.

Inga objęła spojrzeniem pomieszczenie. Było nieduże, ale bardzo przytulne. Z sofą, która wyglądała na miękką, wprost zachęcającą, by się w niej z rozkoszą zapaść, i szezlongiem w kształcie leżącej litery S. Podłogę wyłożono mięciutką wykładziną z długim, laskoczącym w stopy włosem, a ściany ozdobiła tapeta w drobne prążki. Poza tym nie wisiał tu (o dziwo!) ani jeden plakat Bajmu, a reprodukcje dzieł Tamary Łempickiej.

– To mój ulubiony. – Barbara wskazała na Autoportret w zielonym bugatti. – Kiedy na niego patrzę, czuję się trochę jak ona, jak królowa art déco. W oczach błysk nonszalancji, na ustach pewność czerwieni, pod palcami moc silnika.

– Piękny – stwierdziła nagle wzruszona Inga.

Ona też uwielbiała sztukę.

– No jasne, że piękny. Inaczej bym go nie kupiła. Nie lubię wydawać pieniędzy na byle co, nawet jeśli to tylko reprodukcja.

Inga przeniosła wzrok na wymyślny kredens, na którym znajdowały się ramki ze zdjęciami. Podeszła bliżej, by się im przyjrzeć.

– Poznałaś Beatę? – podekscytowała się, widząc na jednej z fotografii Baśkę wespół objętą z najwspanialszą śpiewającą blondynką, jaka chodziła po tej ziemi.

Barbara niedbale machnęła ręką.

– Wkręciłam się na kilka koncertów i tak wyszło.

– Zazdroszczę. Jaka ona jest?

– Obiektywnie boska.

– Obiektywnie boska – powtórzyła Inga powoli, oglądając zdjęcie za zdjęciem. – A wiesz? Udzieliła mi się ta wasza fascynacja Bajmem. Tyle lat nie słuchałam niczego polskiego, od czasu do czasu tylko jakichś licealnych staroci w klimacie poezji śpiewanej, a teraz słucham płyty za płytą. Mam ogromne zaległości. Zresztą, nie tylko w muzyce. Chyba w życiu w ogóle.

– Nic się nie martw! Pomożemy ci nadrobić.



Następnego ranka Inga zajrzała do sypialni, w której spała Ania, by upewnić się, że z przyjaciółką wszystko w porządku. Sama miała ciężką noc. Długo nie mogła zmrudzić oka; jej myśli krążyły wokół Oliviera. Nie chciała, naprawdę nie chciała, by Siergiej zrobił mu krzywdę. Była wkurzona na Meksykanina jak diabli i wiedziała, że musi odzyskać pieniądze oraz łańcuszek, ale żeby od razu wyrwać mu łapy? Nie, tego mu nie życzyła. W końcu te same łapy sprawiły, że po raz pierwszy od wielu lat poczuła się... dobrze.

Patrząc na spokojną twarz Ani, pomyślała, że życzy przyjaciółce, by nie przechodziła rozstania z Damianem tak ciężko jak ona z Adamem. By nie budziła się z torsjami i ciemnym bólem głowy, nie miała ponurych myśli i poczucia, że nie nadaje się kompletnie, ale to kompletnie do niczego. By nie bolało jej całe ciało, nawet wtedy, gdy się nie odzywała i nie ruszała najmniejszym palcem. Zapragnęła, by Ania przeszła rozstanie z przystojnym Damianem tak jak jej pewne siebie koleżanki: lekko i szybko. Bezboleśnie się nie da, bo każdego boli, ale dobrze, jeśli boli krótko. Tego Inga chciała dla Ani, bo polubiła ją jakoś tak szczególnie. Nie żeby miała coś do Baśki, uwielbiała ją, ale czuła, że Basia jest ulepiona z innej gliny, a one z Anią jakby z tej samej.



- Śpi – stwierdziła Inga, kiedy Baśka pojawiła się w salonie, w pełnym makijażu i długiej jedwabnej podomce w stylu japońskim.

- Za godzinę wyrwie ją ze snu budzik, który Anka zapewne zbagatelizuje. Budzik zadzwoni drugi raz, a potem trzeci. Dopiero wtedy Anka się zerwie, pospiesznie wyszykuje i przyleci tu jak oparzona po łyk kawy i kanapkę. U niej zawsze to wygląda tak samo – wyjaśniła. – Dlatego tym razem docucimy ją po pierwszym budziku i każemy zjeść pożywne śniadanie. Napój bogiń, który wlałyśmy w nią w nocy, na pewno zadziałał, ale nic tak nie stawia na nogi jak dobre żarcie. Najpierw jednak lecisz się wykapać do wanny z hydromasażem. Masz dwadzieścia minut.

- Nie potrzebuję, wezmę szybki prysznic.

- Nawet nie żartuj! Idziesz do wanny na bąbelki z dobroczynnymi olejkami, a potem wskakujesz we wdzianko, które ci przygotowałam. No już! Woda stygnie! – Baśka ruchem ręki odesłała Inge, a sama poszła do kuchni.

- Nie powiem, było ekstra! – stwierdziła Inga po kwadransie, a może po dwudziestu minutach, kiedy wróciła do kuchni pachnąca, odświeżona i w lejącej lnianej sukience w kolorze chabrowym, w której mimo zmienawidzonej oponki na brzuchu czuła się pięknie i ponętnie.

- Mówiłam – stwierdziła Baśka znad patelni, na której właśnie smażyła omlęty.

Inga spojrzała na marmurowy blat. Podłużny wazon z tuzinem tulipanów, trzy czarne talerze ze złoconiami, równo ułożone sztuczce, eleganckie napkiny i półmiski pełne warzyw, wędlin, serów oraz pieczywa tworzyły menu, jakiego nie powstydziliby się butikowy hotel.

- Kiedy ty to wszystko zrobiłaś?

- Lata doświadczeń. – Gospodyni wrzuciła ramionami. – Wyjmij jeszcze z lodówki sok pomarańczowy. Anka lubi.

Baśka kończyła smażyć ostatni omlęty, kiedy nagle ją olśniło.

- Tak sobie myślę... Za jaja bym tego Damianka powiesiła, gdyby w ogóle je miał!

- Musi mieć, skoro udało mu się zapłodnić jakąś nieszczęśnicę... – zauważyła przytomnie Inga, stawiając na blacie dzbanek z soki i słoiczek musztardy dijonnaise. – Ciekawe, czy wiedziała, że Damianek to taki chojrak i że ona jest tą drugą...

- Jeśli wiedziała, to są siebie wariaci! A obok Damianka powiesiłabym crepesika. To byłby niezły widok.

- Nie chciałabym na to patrzeć.

Na wspomnienie Oliviera coś ścisnęło Inge za gardło.

- A ja jestem pewna, że takiego widoku byś nie przepuściła. Bo może jeszcze nie wiesz, ale i ty masz w sobie pierwiastek mściwej zołzy. Każda z nas ma. Ten, kto nas stworzył, dał nam go na wszelki wypadek. Bo wiedział, że kiedyś, gdzieś, w określonych okolicznościach może nam się przydać. U niektórych to tylko pierwiastek, u mnie cała tablica Mendelejewa. W tobie też go obudzimy, nie martw się. A tymczasem... chodźmy po Ankę.



Ania od razu poczuła, że ktoś zsuwa z niej puchową zbroję pościeli. Uniosła jedną powiekę i zobaczyła nad sobą zatroskane twarze przyjaciółek.

- No dalej, pszczołko. – Ciepły, miodowy ton Barbary brzmiał u niej nienaturalnie. – Wstawaj. Śniadanie czeka. Wysokobiałkowe omlęty, żeby nam mięśnie urosły. Chociaż i tak są pewnie większe niż te cherlawe

witki padalca Damianka. No już, chodź. Weź szybki prysznic i przyleć do nas.

Ania wstała wyraźnie niechętnie, spoglądając na swoje wczorajsze ciuchy złożone równo na krześle. Popatrzyła po sobie – dziewczyny musiały ją poprzedniego wieczoru nie tylko rozebrać (co jeszcze pamiętała), ale i przebrać – sama na pewno tego nie zrobiła, bo film jej się urywał w okolicach picia nektaru – i teraz zamiast obcisłej ołówkowej spódnicy i bluzki z surowego jedwabiu miała na sobie satynową koszulkę na ramiączkach i szorty. Nienawidziła budzić się w ciuchach z poprzedniego dnia i była wdzięczna Baście i Indze, że o tym pomyślały. Za nektar bogiń także, choć mimo wszystko czuła się beznadziejnie. Miała opuchnięte oczy i bladą twarz, a ze stresu bolał ją brzuch.

– Śniło mi się, że dryfuję na plecach na płaskiej jak ściana tafli jakiegoś jeziora. Albo morza. A nade mną rozpościera się błękitne niebo. Nie chciałam się budzić. – Opadła z powrotem na łóżko i wybuchnęła płaczem.

– No już, już, a tak świetnie ci szło! Wstawaj, raz-dwa. Najpierw jedna noga, potem druga. – Barbara nie miała litości. – I pod prysznic. No dalej, śniadanie czeka. I sok pomarańczowy. I kawę zrobimy. Taką jak w naszym klubie, a może i lepszą.

Anka ponownie się podniosła i z rezygnacją poczłapała do łazienki. Po chwili dziewczyny usłyszały szum prysznicza. Baśka wyszła na chwilę, by wrócić z malinową sukienką kopertową. Umieściła ją na wieszaku na drzwiach szafy i gestem dała Indze znać, że Anka dalej sobie poradzi.

Rzeczywiście sobie poradziła. Po kilku minutach zjawiła się w salonie jakby odnowiona, uczesana w koński ogon, pachnąca perfumami i ze szminką na ustach dopasowaną kolorem do sukienki. Pod oczami lśniły złote płatki liftingujące.

– Dzięki, dziewczyny. Nie wiem, co by było, gdyby nie... – Nie dokończyła, bo znów zaczęła pociągać nosem.

Inga bez słowa zaprowadziła ją na kanapę i podała chusteczki ze stolika kawowego. Śniadanie najwyraźniej musiało poczekać.

Baśka dołączyła do nich po chwili, niosąc na tacy karafkę z sokiem pomarańczowym i szklanki.

– Zjemy później, ale soku napijesz się teraz. A jak się napijesz, to nam wszystko opowiesz.



Wszystko zaczęło się od Tomka, policjanta, u którego Anka miała dług wdzięczności. Pewnego dnia zadzwonił do niej z pytaniem, czyby nie pomogła jego kumpeli, która odziedziczyła po ojcu kamienicę razem z długami i chciała się jej zrzec. Pamiętał, że Anka była dobra w te klocki, co więcej, lubiła prawo spadkowe, więc na pytanie Tomka odpowiedziała bez namysłu: „No jasne, niech się do mnie odezwie”.

Dziewczyna zadzwoniła do niej jeszcze tego samego wieczoru. Po krótkiej rozmowie doszły do wniosku, że sprawa jest na tyle skomplikowana i długa, że najlepiej byłoby się spotkać i pogadać na żywo. Umówiły się w kawiarni na Młyńskiej, gdzie serwowano zabójczo smaczne croissantsy i najlepszy sok pomarańczowy w całym Poznaniu.

Rozmówczyni o imieniu Karolina była całkowitym przeciwieństwem Anki – drobna i małowówna, raczej w typie cichej myszki niż ognistej petardy. Kiedy za sunącą chodnikiem na wysokich obcasach Anką oglądali się mężczyźni, Karolina raczej przemykała niezauważona, z płócienną torbą na ramieniu, w szarych stonowanych ciuchach i kłapkach na płaskiej podeszwie. Niemniej rozmówczynią – kiedy już dogłębnie omówiły kwestię odrzucenia spadku, a Anka obiecała pomóc w sporządzeniu odpowiedniego pisma – okazała się nad wyraz ciekawą i czytaną, a do tego, co Anka szczególnie sobie ceniła – szczerą i zabawną. Szybko poczuły więź i naturalną kolejną rzecz przesyły na „ty”.

– To, ile ciuchów magazynujesz na krześle, nie ma nic wspólnego z tym, jak radzisz sobie z życiem – odparła Karolina, kiedy zeszły na luźne tematy i Anka wyznała, że nienawidzi sprzątać i że jej narzeczony



wiecznie suszy jej o to głowę.

– Otóż to! Ja mam po prostu inne priorytety. – Anka wysączyła do końca sok. – Wolę sobie uciąć regeneracyjną drzemkę albo wziąć jakieś czytało. Nie po to kupiłam odkurzacz mopujący, żeby codziennie na szmacie jeździć... Wiadomo, że lubię, jak jest czysto, ale żeby czerpać przyjemność z samego procesu? Na szczęście raz na tydzień wpada do nas pani Ela, ta kobieta to czyste złoto. Przecież ja bym w życiu tak nie wyblyszczyla kabiny prysznicowej jak ona...

Karolina westchnęła.

– Ja niby lubię sprzątać, Karolek też, ale on tak rzadko bywa w domu, że wszystko jest na mojej głowie. A że pracuję zdalnie, to możesz sobie wyobrazić, jak wygląda nasze mieszkanie, kiedy po kilku dniach siedzenia w pieczarze kończą mi się zapasy... Trudno się wtedy odgruzować. Niby zarabiam dobrze i mogłabym sobie pozwolić na taką panią Ele, ale to sprzątanie domu trochę mi czyści również głowę...

Karolina miała znacznie bardziej elastyczną robotę od Procy – pisała scenariusze do seriali telewizyjnych i Anka absolutnie jej tego zajęcia zazdrościła, podobnie jak Indze redagowania książek. Nie żeby narzekała na swoją pracę – choć czasami miała ochotę rzucić ją w cholere i zaszyć się w amazońskiej dżungli, z dala od cywilizowanego świata – po prostu uważała, że w wolnych zawodach jest coś niebywale romantycznego, jakaś iskra boska, hippisowski *freedom* lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Ta nuta szaleństwa i swoboda w kształtowaniu czasu była czymś, czego jej wśród ton papierzyśk brakowało.

Podczas drugiego spotkania Karolina ni stąd, ni zowąd zwierzyła się Ani z problemów w związku. Karolek, jak czule nazywała swojego chłopaka, z którym widywała się od dwóch lat, a zajmowała wspólne lokum od roku, często wyjeżdżał w delegacje i raczej bywał w domu, niż w nim mieszkał. Na początku Karolina akceptowała taki stan rzeczy, ale ostatnimi czasy coraz częściej się o to kłócili, bo ona marzyła o uwiciu spokojnego gniazdka, najlepiej takiego z dziećmi. Przecież z tego powodu wzięła dom na kredyt. Z powodu albo raczej dla dzieci. Karolek niby nie był temu przeciwny, choć gdy kupowała nieruchomość, oznajmił, że on kredytów nie uznaje i jeśli Karolina chce, to proszę bardzo, on jej ręk nie zwiąże, ale sam nie zamierza się zadłużyć. Dzieci? Czemu nie? Kiedy jednak podejmowała rozmowę, znów kierował ją na temat pieniędzy i tego, że najpierw trzeba odłożyć kasę, bo potomstwo to jednak sporo kosztuje.

– Oczywiście, że kosztuje! – wzburzyła się, opowiadając o tym Ance. – Doskonale to rozumiem, ale ja zawsze chciałam mieć dzieci i nigdy nie patrzyłam na nie przez pryzmat pieniędzy. Wiesz, te pucołowate poliki, małe stópkki i wszędobylskie, klejące się łapki... U mnie w rodzinie jest dużo takich maluchów. Dla mnie to bezcenne.

– Mój narzeczony nawet i chciałby mieć dziecko, ale też jest non stop w rozjazdach. A ja jak na początku chciałam, tak teraz się waham, bo nie zamierzam wychowywać dziecka sama – wyznała szczerze Anka. – Ale skoro ty nie masz wątpliwości, musisz poważnie pogadać z Karolem i tyle. Może on się po prostu boi, że kiedy dziecko przyjdzie na świat, skupisz na nim całą uwagę, a on sam zejdzie na dalszy plan. Wielu facetów ma takie obawy...

– Ale chyba nie Karol. On się o takie rzeczy nie boi. O forsie mówi. Że nie podołamy tym wszystkim kosztom. Że dziecko to skarbonka bez dna, a my nawet złotówki w tej skarbonce jeszcze nie mamy. A przecież mamy dom, to już dużo. Ja mam dobrze płatną pracę, starcza i na raty, i na rachunki, i na życie... I jak dotąd nic nie zapowiada, żebym ją miała stracić, choć Karolek narzeka, że mój serial jest taki sobie i że pewnie niedługo nas zdejmą.

– Straszny z niego pesymista.

– Czasami tak, ale tylko czasami, bo tak ogólnie to jest cudowny. – Karolina się rozmarzyła. – I byłby idealnym ojcem. Niechby tylko po nim wzięły urodę...



- No dobrze, ale co Karolina i te jej rozterki na temat dziecka oraz cudownego Karolka mają do ciebie? - zapytała Inga, wysłuchawszy opowieści Anki.

Ania bez słowa poszła do sypialni po telefon, a gdy wróciła, podała go dziewczynom.

Oczom Ingi i Baški ukazała się wiadomość z poprzedniego dnia, z godziny dziesiątej trzydzieści, a jej nadawczynią była Karolina. „Kochana! Nawet nie wiem, jak to napisać, ale... STAŁO SIĘ! Będziemy mieli dziecko!!! Rozumiesz? To chyba jakieś zrządzenie losu, bo przecież brałam pigułki... I, o Jezu, jeszcze mu nie powiedziałam... Ale wyjeżdżamy w ten weekend i to chyba będzie najlepszy czas. Jezuuu, tak się cieszę!”

Dziewczyny, kompletnie nie rozumiejąc, spojrzały pytająco na Ankę. Ta zabrała im telefon, chwilę w nim poklikała i podała ponownie. Tym razem na ekranie pojawiło się zdjęcie z portalu społecznościowego Karoliny: stolik w kawiarnianej restauracji, dwie filiżanki kawy i śniadanie - koszyczek z pieczywem, patera wędlin, serów i owoców - najwyraźniej zaprosiła Karolka na solidne śniadanie. Fotografia została zrobiona z jej perspektywy - naprzeciwko, tuż za jedzeniem, widniały męskie dłonie. Inga pomyślała, że ten cały Karolek jest jak ona - nie lubi pokazywać twarzy w internecie.

- No i co? - Dalej nie rozumiała.

Spojrzała na Baškę. Ta pokręciła głową.

- Anka, ja mam świadomość, że widzisz w tym zdjęciu coś, czego my naszymi za mało skacowanymi oczami dostrzec nie zdołamy. Oświeć nas, proszę.

Anka aż się zapowietrzyła.

- Nic nie widzicie? Naprawdę nic was nie zastanawia? - Zmarszczyła brwi i odebrała dziewczynom telefon, by powiększyć fotografię. - A teraz?

Basia z Ingą spojrzały raz jeszcze na zdjęcie, kompletnie ogłupiałe.

- No dobra. - Ania potarła sobie skronie. - Spójrzcie na rękę Karolka. Ma na palcu czarny sygnet z tytanu. Z grawerem. Jak sobie jeszcze powiększycie, to możecie nawet przeczytać, co tam jest napisane. „AD 2007”.

- No i?

- No i sama mu go kupiłam. A ten grawer to data naszego poznania.

- Twojego i... eee... Karolka?

Anka przewróciła oczami.

- Żadnego, kurwa, Karolka! To nie żaden pieprzony Karolek, tylko Damian! Od wczoraj mój ex!

## Rozdział 5

*Życie gniecie, nie ma co do tego wątpliwości. A nawet: „Życie mnie mnie!”, jak pisał Sztudynger. Czasem miętoli nas miło niczym miękką piłeczkę antystresową; innym razem mocno, lecz dla naszego dobra uciska jak masażysta obolałe mięśnie po ostrym treningu. A czasem wali bez opamiętania, jakby katował tłuczkiem schabowe na niedzielny obiad, na który wprosiła się teściowa. Żeby chociaż zapytało nas o zdanie – bo wiadomo, preferencje są różne – ale nie... Ono samodzielnie wybiera, komu wręczy bilet ulgowy na pociąg w pierwszej klasie, a komu nie zagwarantuje nawet miejsca siedzącego. Pół biedy, jeśli trafisz wtedy na miłe towarzystwo na korytarzu lub na brak towarzystwa, w zależności od potrzeb. Gorzej, gdy pozostaje ci tylko miejsce tuż przy toalecie, z niedomykającymi się drzwiami, to akurat pociąg dalekobieżny, a celem twojej podróży jest przystanek końcowy...*

– Powiem ci, że imię Karolek to nawet bardziej do Damiana pasuje! Taki z niego komediowy lovelasik – stwierdziła Inga, sącząc ostatnie łyki kawy po tym, jak Anka pokrótce wyjaśniła im kwestię podwójnej tożsamości Damiana. – Ale czy wpadłabym na to, żeby zwracać się do faceta jego drugim imieniem? No nie. Na pewno nie.

– Bo nie znasz chociażby królowej Irenki – mruknęła Anka. – Szanowna mamusia księcia Damianka od zawsze tak do niego mówi. Uważa, jak ty, że to imię bardziej mu pasuje, ale twierdzi tak wyłącznie dlatego, że to ona je wybrała. Tatuś wolał Damiana, a że to on szedł zarejestrować dziecko... Irenka nigdy się z tym nie pogodziła. Wiesz, jej synek miał nosić imię po papieżu Polaku. A wyszło jak wyszło. Parszywy chujek pewnie powiedział tej biednej dziewczynie, że woli, jak się na niego mówi Karolek...

Po śniadaniu w domu Barbary, ustalwszy, że biedna, a teraz na dodatek ciężarna Karolina nic nie wie o podwójnym życiu swojego Karolka (inaczej najpewniej powiedziała o tym Ance), a Anka na razie nie będzie robiła żadnych gwałtownych ruchów, dziewczyny uznały, że trzeba się dowiedzieć, dokąd Karolina i Damian zamierzają wyjechać na weekend.

– Pojedziemy za nimi i przyłapiemy tego tępego niedźwiadka na gorącym uczynku – zawyrokowała Barbara.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? Że wparujemy do ich pokoju, kiedy oni będą... – Na samą myśl Ance podniosło się ciśnienie. – Tak po prostu wparujemy i krzyknijemy: „Takię wała, pieprzony dziadu! Koniec haremu”?

W głębi swej wkurwionej duszy pragnęła czym prędzej wrócić do mieszkania, wyrzucić z szaf wszystkie ubrania Damiana prosto do czarnych worków na śmieci i wystawić je za drzwi. Nie chciała już dłużej na nie patrzeć, nie zamierzała otaczać się niczym, co przypominałoby jej o już byłym narzeczonym – co do tego nie miała żadnych wątpliwości – i o zdradzie. Czyli czekał ją gruntowny remont całego mieszkania. Może nawet spalenie wszystkich mebli podczas pełni i okadzenie każdego kąta. No trudno. Cel uświęca środki.

– A co, zamierzasz się spotkać sam na sam z biedną ciężarną Karoliną i powiedzieć jej, że Karolek to nie żaden ideał, tylko parszywy chujek wożący się na plecach ślepo zakochanych dziewczyn? – Barbara rzadko gryzła się w język. – I niby jak ona na to zareaguje? Już chyba lepiej, żebyście obie miały wtedy wsparcie, prawda? A my je damy! I przy okazji połączymy pozytywne z przyjemnym... – Uśmiechnęła się złośliwie. – Czyli skonfrontujemy się z Damiankiem.

Ania patrzyła niezdecydowana na przyjaciółki, przygryzając dolną wargę. Inga nabrała głęboko powietrza.

- A może zrobisz tak: napiszesz do Karoliny, pogratulujesz jej ciąży i niby mimochodem zapytasz, dokąd się wybierają? - zaproponowała. - Ona oczywiście poda adres, a wtedy my pojedziemy za nimi.

- Moim autem - podchwyciła Basia. - Jest duże, więc weźmiemy, co nam tylko przyjdzie na myśl. Łopaty, widły, gar, smołę, pierze. Ewentualnie paralizator. I załatwimy Damianka jak należy.

- Paralizatorem?

- Jeśli będzie trzeba...?



Anka szła do pracy, myśląc nad planem, który Inga jej wyluszczyła. Zastanawiała się, jak powinna sformułować wiadomość do Karoliny: prosto z mostu czy raczej A, E, bułkę przez bibułkę. „O, gratulacje, jaki fajny pomysł z tym wyjazdem, też chyba niedługo wybiorę się na urlop, bo przecież ileż można na dupie siedzieć, a przy okazji: dokąd, kurwa, jedziecie, jeśli można wiedzieć?!” Dotarłszy przed drzwi budynku prokuratury, zdołała ustalić tylko tyle, że zajmie się tym po południu. Tak! To był dobry pomysł.

Przed windą natknęła się na Zenka Łągiewkę, który - jak to miał w zwyczaju przed pracą - ssał miętówkę.

- Chcesz jedną? - zagadnął na dzień dobry, uprzednio chwaląc malinową sukienkę, w której się zjawiła.

- A wiesz, że dzisiaj chętnie?

Wsiadli do windy, a Łągiewka wyciągnął w jej stronę torebkę z cukierkami.

- Ciężka noc - stwierdził raczej, niż spytał.

- Aż tak widać? - Anka spojrzała w lustro i dostrzegła zaczerwienione oczy.

- Co? A nieeee... Nie o ciebie mi chodzi. U mnie ciężka. Takie tropiki, że nie ma czym oddychać. Spać nie mogłem, więc wziąłem zimne piwo i usiadłem na tarasie. Myślałem sobie, że jak wypiję, to się ochłodzę, a jak się ochłodzę, to w końcu zasnę. - Głośno ciumknął miętówkę. - No i zasadniczo miałem rację, bo zasnąłem. Ale nie w swoim miękkim łóżku, pod cieniutką kołderką, na poduszczyce, a na tym tarasie, pośród pelargonii, których, jak wiesz, nie cierpię, bo jak siedzę sobie na tym moim krzeselku, to mnie w szyję drapią. Na dodatek zasnąłem z butelką na kolanach. Pustą. Rano się budzę, bo cosik mnie w boku kłuje, jak tego Janosika normalnie. Pierwsze, co sobie pomyślałem, to że znowu jakaś rwa, ale wyobraź sobie, że nie. Otwieram jedno oko i widzę moją sąsiadkę na tarasiku obok, bo my takie przepierzenie między loggiami tylko mamy. Babeczka miła, uprzejma, czerniną od święta częstuje, jesienią podrzuci nalewkę. Otwieram drugie oko, patrzę, a ona mnie kijem od mopa dźga. Rozumiesz? Kijem od mopa! Całkiem mnie to ocuciło, ruszyłem się, a ona... Aneczka! Jak ona wrzasnęła! Jak krzyknęła! Mało zawału nie dostałem.

- Co krzyknęła? - Anka poczuła się zaintrygowana.

- „O kurwa, Zenek, a już myślałam, żeś kopyta wyciągnął!”

Anka wybuchnęła śmiechem, aż łzy jej pociekły po policzkach. Zenek patrzył na nią nieco skonsternowany, aż w końcu sam zaczął się śmiać.

- Uwierz, że wtedy nie było mi do śmiechu.

Anka poklepała starszego kolegę po ramieniu.

- Zenek, ty weź spisuj te swoje blokowe historie. Jak w końcu pójdiesz na emeryturkę, wydasz książkę i wreszcie porządne pieniądze na tym zrobisz.

- Śmiej się, śmiej - skwitował, wychodząc z windy. - Ale jakby ciebie ktoś kijem od mopa dźgał i prawie byś przy tym zeszła, tobyś chciała mu się odpowiednio odwzajemnić. Bynajmniej nie mopem.



Anka rzadko marzyła o nudzie w robocie, ale teraz pragnęła jedynie ciszy. Kalendarz był jednak nieubłagany – na ten dzień miała zaplanowanych mnóstwo spraw i na dodatek przesłuchanie.

Do sali szumnie nazywanej gabinetem, w której poza papierkową robotą rozmawiała z zatrzymanymi, weszła z myślą, że chce to załatwić szybko i bez problemów. Sprawa z Damianem potwornie ją przytłoczyła; w piersi rozlały się poczucie poniżenia i klasyczne przygnębienie wymieszane z wściekłością. Do tego jej głowę świdrował potworny ból, na który nie pomogła żadna z kolejno przyjętych trzech tabletek. Po przejrzeniu akt poziom zdenerwowania Anki jeszcze wzrósł, kiedy zdała sobie sprawę, że facet, którego za chwilę funkcjonariusze tu doprowadzą, ewidentnie zasługuje na to, by go przymknąć na wiele długich lat. Miała świadomość, że z takim nastawieniem nawet nie powinna podchodzić do przesłuchania. Nie miała jednak wyboru. Wstała, by uchylić okno, i w tej samej chwili za jej plecami otworzyły się drzwi.

Mężczyzna, którego wprowadzono do sali, wyglądał jak wyjęty z żurnala. Gładko ogolony i z zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami, w bardzo eleganckiej granatowej marynarce, jasnej koszuli, czarnych spodniach przed kostkę i karmelowych mokasynach prezentował się naprawdę dobrze – nie licząc rąk skutych kajdanami. Mógł mieć około trzydziestki. Kiedy spojrzał na Procę, uśmiechnął się i znacząco uniósł brew. Anna widziała już w swojej karierze wiele przyprawiających o dreszcze obrazów i raczej niewiele ją ruszało, a ten widok – gdyby nie okoliczności – mógłby być nawet przyjemny, jednak ją dziwnie obrzydził. Trafił jej się jeden z tych uwodzicieli przekonanych, że ich urok osobisty pokryje cały syf, który znajdował się w aktach.

Przywitała się serdecznie z policjantem doprowadzającym zatrzymanego i poprosiła, by go rozkuł i został w sali. Kiedy mężczyzna teatralnie masował sobie nadgarstki, Proca stanęła za swoim krzesłem i wskazała facetowi miejsce naprzeciwko siebie, po drugiej stronie stołu. On jednak nadal się nie ruszył, a kiedy nakała wprost, werbalnie, by siadał, odparł, że mężczyźnie nie przystoi siedzieć w obecności stojącej kobiety. To już poirytowało Ankę do reszty.

– Mówi pan o zasadach dobrego wychowania, ale nie przeszkodziły one panu w dotkliwym pobiciu żony i złamaniu jej trzech prawych żeber? – wypaliła zimno. – A może eleganckie maniery zachowuje pan wyłącznie na specjalne okazje, na przykład spotkania zarządu w rezydencji firmy pańskiego ojca, co? Proszę siadać albo funkcjonariusz posadzi pana siłą.

Mężczyzna wyraźnie się zdziwił, ale chyba nie zamierzał rezygnować z maski cwaniaczka. Odsunął krzesło i usiadł, nie zapomniawszy jednak rozpiąć granatowej marynarki.

– Dowód osobisty poproszę.

Po chwili na stole przed nią leżał niewielki kawałek plastiku, z którego wyczytała, że doprowadzony to rzeczywiście niejaki Jarosław Haber. Bez słowa podsunęła mu kartkę z pouczeniem i spisem praw i obowiązków oraz długopis.

Haber przesadnie długo wczytywał się w zapisy, chrząkał i pomrukiwał, jakby chciał zrobić na złość policjantowi i prokuratorce. Tacy jak on świetnie się orientowali w zapisach prawnych, a z tego, co Proca wyczytała z akt, damski bokser nie tak dawno temu ukończył aplikację radcowską. Zapewne dlatego przyszedł bez adwokata, taki był pewny siebie... W końcu wziął do ręki długopis, obracał go przez chwilę w palcach, po czym uniósł wzrok na Ankę.

– Przepraszam, ale od lat nie używam już długopisu. Czy pani prokurator zechce użyczyć mi swojego pióra? – Jego spojrzenie padło na parkera leżącego obok akt.

Policjant siedzący w rogu sali popatrzył zdziwiony na Ankę, jednoznacznie unosząc brwi.

– Długopis w zupełności panu wystarczy. Do pobicia żony nie potrzebował pan specjalnych narzędzi. – Anka czuła, jak się w niej gotuje.

– To na razie tylko zarzuty, pani prokurator. A pani, mam wrażenie, zdążyła już wydać wyrok. – Jarosław Haber najwyraźniej poczuł się zaatakowany.

Proca zbyła ten komentarz milczeniem.

– Wzrost i kolor oczu?

Mężczyzna uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony.

- Metr dziewięćdziesiąt trzy, kolor oczu zielony. Zupełnie jak u pani. I taki sam jak atrament do pani pióra...

- Te, koleś, nie jesteś na szybkiej randce, więc hamuj nawyki - odezwał się groźnym tonem siedzący z tyłu funkcjonariusz.

Jarosław Haber kolejny raz uśmiechnął się pod nosem i potarł kciukiem podbródek, spoglądając przenikliwie na Ankę.

- Data i miejsce urodzenia. - Proca starała się zachować spokój, ale było jej coraz trudniej.

- Dwunasty maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, Kraków. Zdaje się, że dobrze pani zna to miasto, prawda? Ale jestem przekonany, że nie tak jak rodowity krakus... Mogę pani polecić kilka miłych miejsc na relaks u stóp Wawelu.

Anka odłożyła pióro i złożyła dłonie w piramidkę.

- Mam wrażenie, że się nie rozumiemy, panie Haber. Nie siedzi pan tutaj za kradzież cukierka i to nie jest, i nigdy nie będzie - zawiesiła głos, patrząc lodowato na mężczyznę - odpowiedni moment na prywatne wycieczki. Radzę panu zachować powagę i nie komentować pytań, tylko na nie odpowiadać.

- Radzi mi pani? - Haber skrzywił się i roześmiał nieprzyjemnie. Najwyraźniej postanowił porzucić pozory, które dotąd starał się zachować. - Lepsze od ciebie dziwki w zeszłym tygodniu miałem w łóżku. Więc mi tu nie pierdol o dobrym wychowaniu, bo widać, że dawno nikt cię nie wybolcował. Rób swoje, bo mi się spieszy. Myślisz, że jak taka sama suka jak ty nakłamała psom, że ją pobiłem, to ktoś jej uwierzy? Gównu macie, nie dowody. Palcem jej nie tknąłem. Puszczą się na prawo i lewo, to w końcu któryś z jej fagasów tak ją urządził. Nie ja - wycedził, pochylając się niebezpiecznie ku Ance.

Funkcjonariusz chrząknął znacząco.

Anka nie wytrzymała. Przed oczami stanęły jej zdjęcia Ewy Haber z obdukcji - pęknięta i obrzmiała dolna warga, opuchnięte sinofioletowe oko, liczne krwiaki po prawej stronie korpusu. A ten jeszcze z niej kpi, kłamie prosto w oczy i jak gdyby nigdy nic przyznaje się do tego, że zdradza żonę? Chwyciła kubek z kawą i chlusnęła mężczyźnie prosto w twarz. Kawa nie była gorąca, ale facet i tak zerwał się jak poparzony. Funkcjonariusz natychmiast pojawił się przy nim i złapał go za nadgarstki.

- Czego, kurwa, gdzie z tymi łapami, ślepy jesteś?! - wrzasnął Haber. - Nie widzisz, co ta suka zrobiła?! To był nowy vuitton! Odpowiesz mi za to, ty...! - zapowietrzył się, kiedy policjant pociągnął jego ręce w tył i zakuł go w kajdanki.

Anka ostatkiem sił powstrzymała się, by nie splunąć mu w twarz. Na miękkich nogach ruszyła w kierunku drzwi, a gdy zatrzasnęła je za sobą, poczuła, jak z całego ciała odpywa jej krew - zupełnie jakby szczykowało się do ucieczki.

- Jebać gównu! - zaklęła pod nosem. - Jebać zdradzające gównu...



Po wyjściu z prokuratury usiadła na ławeczce na pobliskim skwerze i głęboko westchnęła, dziękując w myślach losowi za Zenka Łągiewkę. Jeszcze raz przeanalizowała w głowie sytuację z ostatnich dwóch godzin.

Po incydencie z kawą, Haberem i marynarką Vuittona szef wezwał ją na dywanik. „Co ty sobie myślałaś? Nie sprawdziłaś, kim jest jego ojciec?! Akurat jego musiałaś oblać, jego?” - to były najszybsze z pytań, jakie rzucał w jej stronę. Ze zwieszoną głową i w malinowej sukience, która idealnie komponowała się z kolorem jej policzków, zmierzała do (jeszcze) swojego gabinetu (bo szef zagroził dyscyplinarką), kiedy natknęła się na Zenka Łągiewkę. Starszy prokurator bez słowa złapał ją pod ramię i zaciągnął do swojego pokoju, posadził na chwytym krześle pamiętającym czasy wczesnego Gierka i powiedział:

- Stary pogada, postraszy i zapomni. Nie martw się i nie bierz sobie jego słów do serca. Wiesz, jaki jest.

Anka markotnie kiwnęła głową na znak, że wie.

- Mnie się też dostawało. Raz nagadałem jednemu przesłuchiwanemu, politykowi, wyobraź sobie, od najgorszych, a jak się ciągle tym immunitetem zasłaniał, to nie wytrzymałem i śwignąłem w niego olówkiem, takim porządnie naostrzonym. Byś słyszała, jak jęczał: „Zamach! To był zamach! Pan jest ruski szpieg!”. - Łągiewka zachichotał na to wspomnienie. - Ale najpoważniej, Aneczka, to się zrobiło, jak jednemu znętowi prawie odgryzłem ucho. Cudem mnie od niego oderwali. Fuksiarz miał cholernie grubą skórę - zaśmiał się przasnie. - Jezuuu! Pamiętam je do dziś, te wielgachne uszy! A więc no, nie martw się Starym i... bądź z siebie dumna. Ja z ciebie jestem! Ten Haber to skurwiel, wszyscy o tym wiedzą. Zasłużył sobie. Tylko kawy żał.

Anka jeszcze przez chwilę posiedziała na ławce, patrząc na przechodniów, którzy spieszyli w różnych kierunkach. Na dłużej zatrzymała wzrok na młodych matkach z wózkami, rozmawiały o właściwej konsystencji dziecięcej kupy po pierwszych stałych posiłkach. W tamtej chwili Anka też chciałaby móc zamartwiać się kupą, a nie czuć się jak kupa.

Zadzwoiła do Baški, a kiedy ta nie odebrała, szybko wybrała numer Ingi i opowiedziała jej o fatalnym przesłuchaniu.

- Jestem taka głupia! - podsumowała. - Fakap w robocie i fakap w życiu prywatnym? No ileż można?

- Zaraz wyjdiesz na prostą, zobaczysz.

- W robocie może i tak, bo Stary to rzeczywiście furiat, ale z Damianem koniec - stęknęła Anka. - Jak mogłam być tak ślepa! Baška ma rację. Kurwa, tyle czasu i ja niczego nie zauważyłam? Jestem pewna, że Krolina nie jest pierwsza. Przecież on od zawsze tak sobie wyjeżdżał! Od... Od... No od zawsze!

- Przyjadę do ciebie, dobrze? - Inga wiedziała, że gdyby sama była na miejscu przyjaciółki, potrzebowałyby teraz czyjeś obecności, a przecież były do siebie bardzo podobne.

- Poproszę... - Ance zadrżał głos.

- I napiszę do Basi, okej?

- Tak, tak. Do Basi - rzuciła półprzytomnie.

Inga rozłączyła się i zaczęła pakować torbę.

## Rozdział 6

*Spodziewaj się niespodziewanego – takie ostrzeżenie powinno się pojawiać na wszystkich możliwych kartkach okolicznościowych, niezależnie od okazji – no, może nie licząc zawiadomienia o pogrzebie. A już najlepiej, gdyby przypominało o sobie codziennie, ot tak, ze zwykłej przyzwoitości... Bo – jak już ustaliliśmy – życie zaskakuje nas w najmniej oczekiwanym momencie, w najdziwniejszych miejscach i kiedy jesteśmy kompletnie bezbronne, a ono najczęściej jest wtedy uzbrojone w rurę grubościenną o sporej przepustowości. Wiecie po co.*

Inga po półgodzinie zjawiła się na osiedlu Anki w swojej ukochanej sukience w kwiaty jabłoni i na wszelki wypadek z niewielką torbą podrózną w bagażniku. Zaparkowała, jak poprzednio, pod długim i wysokim blokiem, przez poznaniaków zwanym potocznie deską.

Wstukała kod do klatki i jej oczom ukazał się szary korytarz ze starą, charakterystyczną dla peerelu podłogą z lastryka. Ściany dosyć niedawno odmalowano; były czyste, w odcieniu całkiem przyjemnego błękitu. Inga minęła zakręt i aż podskoczyła, wydając z siebie ciche, lecz słyszalne „och!”, przestraszona nagłym widokiem mężczyzny z blond kucykiem, stojącego do niej tyłem, który wyjmował pocztę ze skrzynki na listy. Słyszając ją, odwrócił się i uśmiechnął. Inga trochę się sploszyła. Burknęła ledwie „dzień dobry”, ganiąc się przy tym w myślach, że zachowuje się jak dzikuska. Nic jej przecież nie kosztowało odwzajemnić uśmiech, zwłaszcza że facet miał naprawdę sympatyczną twarz i zwyczajnie wydawał się w porządku.

– Dzień dobry! – Mężczyzna skierował się w stronę windy. – Na które piętro pani jedzie? Bo ja na piąte.

Inga weszła do kabiny, która wyglądała obskurnie i śmierdziała czymś, co przywodziło na myśl nadgnięte kiszzone ogórki oraz duszne babcine perfumy. Podłoga się kleiła, a na lustrze widniała wlepka z biało-niebieskim logotypem Lecha Poznań i zamaszystym podpisem: „Legia kroi nożem spaghetti”.

– Na ósme.

Mężczyzna solidnie nacisnął ósemkę, po czym znowu spojrzął na Inge.

– Mój kumpel z dzieciństwa mieszkał na ósmym. Często tam bywałem, ale teraz... – Znowu się uśmiechnął. – Teraz rzadko tam zajeżdżam. Ładny macie stamtąd widok.

– Aha... – odparła Inga nieprzytomnie, bo tylko na tyle było ją stać.

Na pierwszym piętrze winda się zatrzymała i do środka z impetem wparowała starsza kobieta, wpychając ich oboje w głąb, to znaczy dość boleśnie wciskając Inge w blondyna z kitką.

– O Jezu... – jęknęła Inga, próbując nieudolnie oprzeć dłonie na klatce piersiowej mężczyzny, lecz jedna z nich jakoś tak przypadkiem znalazła się na wysokości jego pępka. – Przepraszam, nie chciałam.

– Nie ma sprawy – powiedział łagodnie.

– O! Pan Jakubek! – zauważyła starsza pani, wychylając się zza Ingi. – Że też pan windą jeździ! Rozumiem, że ja, człowiek leciwy. Sił na piesze wycieczki u mnie już niewiele, ledwo na jedno piętro starcza, ale wy, młodzi, moglibyście się jeszcze po schodach przebiec, zamiast windę okupować!

Mężczyzna uśmiechnął się do Ingi porozumiewawczo, jakby wiedział, że znajdzie w niej sprzymierzeńca.

– Pani Sierczyńska to na tych schodach by nas jeszcze wyprzedziła!

– A pan Jakubek jak zawsze w dobrym nastroju i żarty mu w głowie – odparła pani Sierczyńska, ale słychać było, że komplement mężczyzny sprawił jej wyraźną przyjemność. – Trójeczkę pan wcisnął, panie Jakubku?

– Oczywiście, trzecie wciśnięte. W sumie dobrze, że panią widzę, bo i tak miałem do pani zajść. O drożdżówki z truskawkami się uśmiechnę na wtorek.



– Uśmiech ładny, to nie ma co się z nim chować. – Sierczyńska zachichotała jak nastolatka. – A że upiekę, to wiadomo! A ile?

– Osiem. Dla całej ferajny, jakby dało radę.

– A co ma nie dać, pewnie, że da... Dwanaście zrobię, bo pan to jakiś mizerny mi się widzi...

Inga przysłuchiwała się tej wymianie zdań, myśląc o tym, że w kamienicy, w której mieszkała, nie знаła nikogo prócz dozorczy, o sąsiadach z naprzeciwka nawet nie wspominając. A tu proszę, niby wielka płyta, a ludzie traktują się tak jak w niewielkim miasteczku. Uniosła spojrzenie i napotkała błyszczące szarostawowe spojrzenie blondyna z kitką. Speszyla się ogromnie, czując, jak na policzki wypływa jej rumieniec. Spuściła wzrok.

– No a pani to ja nie znam! – zagadnęła staruszka, łypiąc na Inge. – Nowa w naszym bloku?

– Ja... Ja... – Inge zaskoczył ten nagły wywiad. – Ja... Do przyjaciółki w potrzebie.

– A mocna ta potrzeba? – dopytała pani Sierczyńska, wyraźnie zaciekawiona i niechybnie gotowa, by również wziąć udział w sąsiedzkiej odsiecz. – Bo może i my byśmy się przydali? Ja mam doświadczenie życiowe, pan Jakubek siłę w mięśniach, no i – rozpromieniła się – najbardziej rozbijający uśmiech w całym bloku, a może i na całym osiedlu?

– Nie, nie trzeba. Ale dziękuję.

– Szkoda – rzuciła Sierczyńska nieco zrezygnowanym tonem. – Ale w razie czego proszę po nas przybiec. Ja mieszkam na trzecim, tuż obok zsypu.

Winda zatrzymała się, drzwi zgrzytnęły i po chwili starsza pani wysiadła.

– Lubi wiedzieć, co się dzieje – wyjaśnił Jakub, zupełnie jakby Inga tego nie dostrzegła. – Ale dobry z niej człowiek. Tak jak z ciebie – przeszedł gładko na ty.

Inga w zdumieniu uniosła brwi. Nagle wszystkie przeczytane dotąd mądre zdania, skrzydlate słowa i jej niewątpliwa wewnętrzna erudycja gdzieś zawieruszyły, zapewne w tym samym miejscu co pewność siebie. W milczeniu gapiała się na blondyna, wykonując ramionami – i głową chyba też – jakieś nieskoordynowane mikroruchy.

– Ratunek dla przyjaciółki... A podobno to wrogów trzeba trzymać jak najbliżej siebie. Chociaż ja uważam, że to ściema. – Uśmiechnął się i Inga zauważyła, że kiedy to zrobił, pod jego lewym okiem pojawiła się łobuzerska zmarszczka. – Najfajniej jest trzymać blisko siebie tych, którzy są nam życzliwi. Nie sądzisz? – zapytał, nie odsunawszy się od niej nawet na milimetr, a ona nieśmiało skinęła głową.

Winda zatrzymała się na piątym piętrze.

– Znikam. Nieco bardziej spodziewanie, niż się pojawiłem. Cześć, ratowniczo o oczach w kolorze liści jabłoni, i do zobaczenia! – rzucił i wyszedł, zostawiając Inge w przedziwnym oszołomieniu.



Ania otworzyła jej ubrana w spodnie dresowe i obcisłą koszulkę na ramiączkach. Zawsze po powrocie z pracy przebierała się w luźne ciuchy, twierdząc, że ci, którzy chodzą po domu w dżinsach, tylko się oszukują i nie należy im ufać. Inga uznała, że przyjaciółka wygląda znacznie lepiej niż rano, choć po wykonanym na szybko makijażu do pracy zostały nieznaczne smugi pod oczami. Czyli musiała płakać. „Damian, ty dupku!” – pomyślała, wchodząc do niewielkiego, ale bardzo przytulnie urządzonego mieszkania.

Lubiła siedzieć u Anki, choć jak dotąd rzadko tu bywała, bo zwykle spotykały się na mieście. Weszła do salonu, którego jedną ścianę w całości pokrywały półki z pasją kolekcjonowanymi przez Damiana figurkami, hełmami i mieczami z uniwersum Star Wars (Inga nie rozumiała tego hobby, wiedziała tylko, że jest kosmicznie drogie), a drugą, zdecydowanie milszą dla jej oka, regały z książkami. Patrząc na te ostatnie, od razu poczuła się jak u siebie. Anka klapnęła na wielki fotel i niedbałym ruchem ręki wskazała Indze drugi.

– To może zaparzę nam herbatę, co? – zaoferowała się Inga. – I pogadamy.

Anka, wyraźnie przybita, tylko wzruszyła ramionami, więc Inga poszła do kuchni wyłożonej białymi i błękitnymi kafelkami. Na jasnych drewnianych półkach piętrzyły się puszki z herbatami. Inga przebiegła wzrokiem po nazwach i wybrała zieloną z jaśminem. Osobiście wolała z dodatkiem opuncji, ale Anka twierdziła, że zielona herbata z opuncją śmierdzi trupem (i zapewne doskonale wiedziała, co mówi; z nich dwóch na trupach chyba znała się lepiej). Nastawiła wodę i wyjęła z szafki przezroczysty dzbanek oraz dwie filiżanki malowane w niebieski grecki ornament i żółciutkie cytryny.

W drzwiach kuchni pojawiła się Anka.

– Zamówimy coś do jedzenia – stwierdziła Inga, widząc jej smutną twarz. – Powinnaś coś zjeść, bo omlet ledwie skubnęłaś. Na co masz ochotę?

– Ja nic nie przelknę. – Anka niemrawo potoczyła wzrokiem po pomieszczeniu, pociągając nosem. Jej spojrzenie padło na zlew zapelniony talerzami i kubkami. – Jezu, muszę jeszcze wypakować zmywarę i włożyć brudne naczynia... – jęknęła.

Inga kategorycznie pokręciła głową.

– Nic nie musisz. Ja to ogarnę, a ty wracaj do salonu. Przyniosę nam herbatę i zamówimy jakieś tajskie. Bez gadania.

Anka poczłapała z powrotem na swój fotel, a Inga lotem błyskawicy, nim woda w czajniku osiągnęła odpowiednią temperaturę, opróżniła zmywarę i wpakowała do niej brudne naczynia ze zlewu. Na koniec przejechała jeszcze wilgotną ściereczką blaty, po czym ruszyła do salonu z tacą, na której parowała herbata w dzbanku i brzęczały greckie filiżanki. Postawiła to wszystko na kwadratowym dębowym stoliku, usiadła w fotelu i zanurzyła stopy w miękkim dywanie. Jeszcze stojąc przed drzwiami, całą siłą woli postanowiła, że zapyta przyjaciółkę o tajemniczego blondyna – teraz jednak tamto postanowienie szybko wyparowało. Były przecież sprawy ważniejsze niż wysoki mężczyzna w kucyku, o szarostalowych oczach, który mówił tak pięknie, że...

– Pad thai z kurczakiem czy krewetkami? – zapytała rzeczowo, otrząsając się z zamyślenia. – A może wolisz zupę?

– Niech będą te krewetki. – Anka westchnęła, spoglądając posępnie na dzbanek. – Ale nie obiecuję, że zjem.

Inga wybrała w aplikacji najbliższą tajską knajpkę, która miała w miarę przyzwoite opinie, i zaczęła klikać w menu.

– Rozmawiałaś już z siostrą? – zapytała mimochodem.

– Jeszcze nie. Muszę się trochę uspokoić. Gdyby zobaczyła mnie w tym stanie, gotowa wsiąść na mopa i tu przylecieć, żeby zmyć mokrą plamę, która zostanie po Damianku. Tfu, Karolku!

Parasknęły śmiechem, choć Ania niemal przez łzy.

Inga ogarnęła jedzenie (wzięła podwójną porcję, na wypadek gdyby Baśka wpadła na głodzie), odłożyła telefon i ostrożnie ujęła dzbanek z gorącą herbatą.

– No i muszę ochłonać po wpadce w robocie – dodała Ania. – Jak mogłam tak się dać sprowokować...

– To przez Damiana.

– Masz rację – przyznała cicho Anka, a po chwili jakby się otrząsnęła. – Masz rację! – powtórzyła już pewnym tonem. – Gdyby nie on, wzięłabym tego faceta na zimno. Jak zawsze. Przecież już nieraz takich przesłuchiwałam. I nieraz chciałam w nich pierdolnąć kawą, ale jakoś się powstrzymywałam. – Z głośnym świstem nabrała powietrza, po czym równie głośno je wypuściła.

Nagle wstała, przeczesła ręką włosy, przetarła usta, a potem wbiła spojrzenie w Inę.

– Wiesz co? Nie pozwolę, żeby Damian mi spieprzył karierę. Wystarczy, że już spieprzył mi życie.

Inga ucieszyła się, że w Ankę wstąpił – przynajmniej częściowo – dawny waleczny duch. Ona po kilku dniach od rozstania z Adamem była wrakiem. Nawet teraz czuła w sobie cień tamtych wydarzeń.

Rozdzwonił się prywatny telefon Anki.

– To Baśka – oznajmiła, rzucając okiem na wyświetlacz. – Czekał, odbiorę. Halo?

Z telefonu rozbrzmiał alt Barbary, gdy Ania włączyła tryb głośnomówiący.

- No co tam, bejbe? Udupiłaś zboka?

- Którego?

- A jest jeszcze jakiś poza Damiankiem?

- Wyobraź sobie, że tak.

Baśka, jak nie ona, wyczekująco milczała. Zamiast niej słyhać było odgłosy ulicy w tle.

- Dałam ciała w robocie - podjęła Anka z goryczą. - Pozwoliłam się sprowokować jednemu znętowi i oblałam go kawą.

Barbara wydała z siebie pomruk zachwytu.

- Najwyraźniej sobie zasłużył.

- No tak, ale to bez znaczenia. Pewnie wniesie skargę. Mam tylko nadzieję, że nie wylecę za to z roboty. Byłabym pierwszą, którą usunęli za zniszczenie marynarki od Vuittona.

Barbara znowu mruknęła z zachwytem.

- Noo, teraz mi zaimponowałaś. Dobra, zaraz u ciebie będę, tylko ogarnę taksówkę.



- To nie twoja wina, tylko tego twojego Damianka! - stwierdziła Baśka, wysłuchawszy pełnej wersji wydarzeń. - Gdyby nie wkurw na niego i żal, rozpieprzyłabyś tego znęta po swojemu, jak legendarna Proca.

- Już na to wpadłyśmy. I ja, i Inga.

- Ale wiesz co? Nic się nie martw. - Baśka nonszalancko machnęła ręką i skubnęła krewetkę. - Takiej młodej prokuratorce z wynikami nikt nie wywali. Za jedną kawę?

- Która wylądowała na cholernie drogiej marynarce Vuittona. Poza tym... To było bardzo nieprofesjonalne.

- A tam! Jestem pewna, że marynarka Vuittona nigdy nie wylądowała na okładkach „Polityki” i „Pani Domu” jednocześnie. A ty po wyjaśnieniu tej sprawy z zabetonowanymi zwłokami w Warcie i owszem. Masz wyniki jak nikt i dlatego jestem pewna, że cię nie wywalą. Zresztą, teraz nie powinnaś myśleć o robocie...

- No właśnie! - przytaknęła Inga. - Teraz to z Damiankiem trzeba zrobić porządek. Bezapelacyjnie i z klasą.

- A skoro o klasie mowa - Basia uniosła palec wskazujący - to mam pewien plan - stwierdziła tajemniczo, po czym dumnie dodała: - Zajebisty plan!



- Będzie go bolało jak diabli - podsumowała Inga, kiedy Basia wyjawiała im swój pomysł.

- I dobrze - mruknęła Anka. - Skoro mnie boli, jego tym bardziej powinno.

Barbara z satysfakcją spojrzała na przyjaciółkę, ciesząc się w duchu. W końcu zobaczyła w niej Procę (a tę wersję Anki lubiła najbardziej).

- To pisz do tej Karoliny i liczymy na to, że dziewczyna będzie grała według naszych reguł.

Karolina, ku zadowoleniu Baśki, była współpracującą, choć wciąż niczego nieświadomą zawodniczką i po krótkiej wymianie wiadomości dziewczyny wiedziały już wszystko. Okazało się, że ona i Karolek - Ance nie chciało przejść przez gardło imię Damian - w najbliższy weekend wybierają się do jakiejś agroturystyki, gdzieś na Pogórze Izerskim. Kiedy Inga wbiła w wyszukiwarkę nazwę miejscówki, jej oczom ukazał się duży dom otoczony ogrodem, z urokliwym miejscem do odpoczynku pod starą jabłónką i płynącą w dole wąską

rzeczką. Wzdłuż fasady budynku rosły gęste rzędy wiejskich kwiatów, których nazwy Inga wymieniałaby bez zająknięcia, i to w porządku alfabetycznym. Anka rozpoznała wśród nich jedynie malwy, lwie paszcze i bratki. Barbara na kwiaty ani w ogóle na ekran nawet nie spojrzała. Jediną jej reakcją na ekscytację dziewczyn agroturystycznym rajem było pełne niezrozumienia mruknięcie. Ona stroniła od takich miejsc, wypierała je ze swojej świadomości, jakby pobyt tam wiązał się dla niej z karą, a nie obietnicą przyjemności.

– Czyli co, jutro jedziemy? Podrzucić mi linka do tej miejscówki, to ustawię sobie na mapie, żebyśmy nie pobiłdzyły – poprosiła Inge. – I zrobię rezerwację. Na jedną noc. Na więcej się nie piszę.

Inga kliknęła coś w komórce.

– Poszło. Sprawdź, czy masz już u siebie.

Podczas gdy Inga z Anką emocjonowały się sielskością otoczenia, Barbara w milczeniu i lekkim osłupieniu wgapiła się w ekran komórki.

– Jesteś pewna, że to dobry adres?

– Tak.

– Możesz to sprawdzić jeszcze raz?

– Ale po co? Jestem pewna.

– Bardzo cię proszę, sprawdź! – Zasadniczy ton Barbary zdumiał dziewczyny.

Inga kliknęła coś w komórce i po chwili z satysfakcją potwierdziła.

– Tak jak mówiłam – odchrząknęła i zmienionym tonem odczytała: – Witajcie w agroturystyce Jaskier. Zapraszamy was do Rząsin położonych na malowniczym Pogórze Izerskim. Jeśli potrzeba wam ciszy... bla, bla, bla... na podwórku za domem... bla, bla, bla... kury zielononóżki i przyjaciel domu, pies Jaskier. Serdecznie zapraszamy.

– A zatem Rząsiny... – powtórzyła Barbara z przekąsem. – Rząsiny...

– Baśka, a tobie co? – Anka spojrzała na przyjaciółkę badawczo. – Byłaś kiedyś w tych Rząsinach? Czy to raczej pierwsze objawy udaru?

– Co? Ja? – Basia zmarszczyła czoło. – Nie, nic. Bo tak sobie myślę, że może to jednak słaby pomysł z tym wyjazdem. Nie wiadomo, jakie tam są warunki i w ogóle. Może lepiej zrobimy to tu, w Poznaniu? Tu mamy większe możliwości, żeby ugotować Damiana niż w jakiejś agroturystyce na końcu świata. Tam to tylko dom i kwiaty, i kury.

– I pies.

– No właśnie, i pies, który pewnie ma pchły. Może dajmy sobie spokój, co? Poczekamy, aż oni stamtąd wrócą... Lepiej się przygotowujemy... – zająknęła się.

– Baśka! – Anka przerwała przyjaciółce, bo miała już pewność, że coś jest bardzo nie tak. – Cholera jasna! Co ty masz do tych Rząsin? Czy to miejsce prowadzi jakiś twój dawny kochaś, że nie chcesz tam jechać?

– Kochaś?! – burknęła Baśka. – No weź mnie nie obrażaj! Ja nie gustuję w ludziach, co biegają boso po rosie, wachają stokrotki i podbierają jajka zielononóżkom.

– To o co ci chodzi?

– Po prostu nie lubię agroturystyki – odparła twardo Baśka, nagle odzyskując rezon. – Nie lubię i dotarło do mnie, właśnie przed momentem do mnie dotarło, że wcale nie chcę tego zmieniać, bo i tak wiem, że nie polubię. Agroturystyczne wypady, wczasy obok stajni czy wakacje pod namiotem nie są dla mnie. Koniec kropka.

– Ale przecież nikt ci nie każe tam ślubu brać. Sama powiedziałaś, że jedna noc i ani dnia dłużej – odezwała się Inga. Nerwowo zakładała za ucho pasmo włosów, a one, jak na złość, cały czas opadały z powrotem na policzek. – Jedna noc! I to wcale nie dla rozrywki... Choć w sumie nie należy jej wykluczać – mruknęła. – Ale mamy wyższy cel: pomóc Ance odegrać się na Damianie. Nie rozumiem, o co ci chodzi. Najpierw sama proponujesz wyjazd, wymyślasz plan, a potem wycofujesz się rakiem.

Barbara wstała i podeszła do okna. Przebiegła wzrokiem po smolistych dachach niskich bloków naprzeciwko. W jednym z okien dostrzegła grubiusieńkiego golasa z pióropuszem na głowie, który przeżył się

w otwartym oknie niczym Herkules, choć do postury herosa było mu daleko, bardzo daleko. Normalnie parsknęłaby śmiechem, przywołała przyjaciółki, a może nawet pomachała do delikwenta i wysłała mu lotnego całusa. Tym razem jednak nie zareagowała, obojętnie przerzuciła wzrok na sąsiednie okno, a potem jeszcze następne. W ostatnim dostrzegła starszą kobietę, która karmiła gołębie. Widok ją zahipnotyzował tak, że nie mogła oderwać wzroku; staruszka sypała ziarno z niewiarygodną łagodnością, uśmiechając się przy tym kłując. Jak to możliwe, że Barbara nigdy jej tu nie widziała?

Odchrząknęła i spojrzała na dziewczyny.

– Dobra, koniec mazgajenia się. Jedziemy do Rzęsin, ale najpierw... Marianka. Musisz jej opowiedzieć o Damianku. I we wszystko ją wtajemniczyć.

Ania przewróciła oczami.

– Tak, tak – dodała Inga. – Nadszedł czas bolesnej prawdy, słodkiej zemsty i waporyzującej pogardy...



Marianka początkowo nie rozumiała całej historii, sądząc, że ktoś podszywa się pod Damiana, a jej młodsza siostra wraz z narzeczoną padła ofiarą jakiegoś spisku. Kiedy jednak Anka wyłuszczyła jej wszystko po kolei, zwykle spokojna niczym kwiat lotosu na gładkiej tafli jeziora siostra aż się zatrzęsała z oburzenia.

– A taki milutki był! Pamiętam, jak podczas ostatniej Gwiazdki opowiadał, jaki to wam dom wybuduje. A w tym domu zrobi dla was pokoje hobbystyczne: tobie bibliotekę, a sobie taki do grania i tych wszystkich hełmów i mieczy. Kłamca! – Nagle zza pleców Marianki wychynęła ni stąd, ni zowąd rozczochrana głowa jej młodszej latorośli.

– Kto kłamsia, mama? – zawołał wyraźnie uradowany Jasiek, opluwając przy okazji kamerkę kawałkami czekoladowego ciasteczka.

– Wujek Damian – odparła rzeczowo Marianka. – Bardzo źle zrobił, bo okłamał ciocię Anię.

– To musi psieplosić – stwierdził chłopczyk. – I kupić ciekolade – dodał takim tonem, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem.

– Wiesz, synku, czasem czekolada i przeprosiny to za mało. Najlepiej po prostu nie kłamać...

– Cili musi psieplosić i kupić autko.

Anka i Inga parsknęły śmiechem.

– Tak, wyścigówkę – odparła Anka. – Żeby mieć czym przed ciocią spierdolić – dodała o wiele ciszej.

Marianka najwyraźniej dosłyszała ten komentarz, bo zabawnie zmarszczyła nos, ale musiała uznać, że w obliczu takich okoliczności nie należy karcie młodszej siostry za deprawowanie dziecka. Zamiast tego szybko odprawiła Jasia na poszukiwania starszej o pięć lat siostrzyczki, która najpewniej zaszyła się gdzieś w hotelu z książką i paczką suszonych owoców. Inga, obserwując to wszystko, poczuła silne ukłucie w sercu. Od zawsze marzyła o dzieciach, a kiedy wyszła za męża za Adama, przez jakiś czas sądziła, że jej marzenie w końcu się spełni. Ani okoliczności, ani dotycząca jej męża brutalna prawda, która po kilku latach wyszła na jaw, nie pozwoliły jednak jej nawet wyobrazić sobie siebie jako matki. Teraz rozumiała, że owo ukłucie wywołała zazdrość – uczucie mało szlachetne, ale równie prawdziwe jak wszystkie inne. Dała więc sobie do niej prawo.

– Ostatnio strasznie się kłóć, a Misia woła na Janka „zmora wieczora”. Ale czasem też są do rany przyłoż... Może akurat dziś jest ten dzień? – Marianka westchnęła z rozmarzeniem. – No dobrze, czyli co dalej? Jutro jedziecie do Rzęsin, demaskujecie Damiana i chłopak zalicza wylot? – upewniła się.

Anka ujęła w dwa palce orzech nerkowca z resztek swojego pad thaia i wsunęła go do ust.

– Taki jest plan.

## Rozdział 7

*Rzeczy oczywiste nie są już takie oczywiste, kiedy przestajemy o nich mówić. Gdy więc wracają do nas po jakimś czasie, przybierają kształt prawdy objawionej, nagłego olśnienia, zapalającej się żarówki, a nasze usta układają się w słowo: „Eureka!”. A przecież już kiedyś raz w nie uwierzyliśmy... Szkoda, że nie istnieje lista takich oczywistych rzeczy, które każda z nas powinna powtarzać sobie co dzień, aż do znudzenia – po to, by stały się dla nas oczywiste już na zawsze. Na przykład to, że – uwaga – przetrwasz. Przetrwasz to, co cię teraz boli i gniecie. Przetrwasz ten lęk, niepowodzenie i stratę. Każdą jedną życiową skuchę. Bo każda jedna w końcu pójdzie się gonić.*

W drodze do Rzaśin miały niemal doskonałe nastroje, zwłaszcza Inga. Uśmiechała się sama do siebie, podśpiewywała pod nosem, a gdy usłyszała płynące z radia *I Will Survive* Glorii Gaynor, obudziła w sobie kolejne dawno uspione dziecięce marzenie o karierze wokalistki. Już nie nuciała pod nosem, ale głośno i wyraźnie wyśpiewywała kolejne linijki piosenki, którą знаła na pamięć. Kiedy ostatnio miała w sobie tyle luzu, by odważyć się na głośne śpiewanie w obecności kogoś jeszcze i poza własnym prysznicem? W obecności męża? Może i powinna, jednak nigdy nie udało jej się przełamać.

Coraz pewniej wtórowała Glorii Gaynor, kołysząc się w rytm energetycznej muzyki. Zamarła dopiero w chwili, kiedy zdała sobie sprawę, że to piosenka o niej. O niej! Skąd Gloria Gaynor znała ją – Inge Winter? Skąd wiedziała, że rozstanie z Adamem ją zrujnowało, sprawiło, że codziennie wyla, bała się, a nawet chciała umrzeć? Jej małżeństwo okazało się kompletnym fiaskiem, lecz przez jakiś czas, przynajmniej na początku, przecież nie było złe.

– Co jest? – zapytała Barbara, która z ciekawością, a nawet podziwem przysłuchiwała się Indze i zerkała na nią w lusterku wstecznym.

– Eee... Nic, tylko... W sumie to nic.

– Jak to nic? Przecież widzę. Nagle się zawiesiłaś, a tak dobrze ci szło. Nie powiem, miło się ciebie słuchało.

– Ta piosenka... Ona jest trochę o mnie... – Inga zebrała się na szczerość. – O mnie i Adamie.

– Ale i o tym, że ostatecznie przeżyjesz, co? – Barbara odniosła się do tekstu dobrze sobie znanej piosenki. Słuchała przecież nie tylko Bajmu.

Inga skinęła głową. Raz, drugi, trzeci. Potem zamilkła. Wszystkie zamilkły, pozwalając Glorii dośpiewać solo piosenkę do końca.

Zbliżyły się do Rzaśin pogrążone we własnych myślach, kiedy Inga nagle i z nadzwyczajną werwą wypaliła:

– Tak, masz rację! Przeżyję! Przeżyję jak cholera!

Barbara przyłożyła rękę do piersi i głośno odetchnęła.

– Jezu drogi, ty mnie tak nie strasz, bo jeszcze serce mi stanie i co ja wtedy zrobię? Zwłaszcza że planów mam sporo.

– Wtedy to już zasadniczo nie zrobisz nic – odparła nieco beznamytnie Anka. – Wtedy to już trup.

Barbara nie skomentowała. Na sam dźwięk słowa „trup” dostawała gęsiej skórki, w przeciwieństwie do Anki. Ta o denatach i denatkach mogła gadać bez przerwy. Kiedyś spotkały się na szybkiej kawie i zamiast plotkować o ostatnich ciuchowych łowach Barbary prosto z Paryża (tym bardziej że niełatwo było ustrzelić odważne czerwienie z Maje Paris), gadała z kimś przez telefon. „Macie tam trupa, rozumiem. Aaa, znaczy zgniłka? Sprzed ilu dni?” Baśka wtedy zachodziła w głowę, po co komu takie informacje. Trup to trup. Co to

za pytanie: sprzed ilu dni. Ale Anka lubiła o te trupy wypytywać, a Barbarę w tym czasie trafiał szlag. Raz nawet powiedziała, żeby przy niej o żadnych umarlakach nie wspominała, ale Ankę ta niechęć do trupów zawsze bawiła, a przyjaciółka nigdy jej nie wytłumaczyła, że to nie żadna niechęć, bo niechęć to można mieć do ciuchów w kolorze opalonego beżu czy szraczkowatej zieleni, tylko trauma z dzieciństwa. Powinna tego nie pamiętać, miała wtedy trzy lata, ale ona, choć dałaby miliony za fragmentaryczną amnezję, pamiętała. Trupa swojej matki pamiętała. Nikomu jednak się do tego nie przyznała, nigdy.

– Poradzę sobie bez niego... – mówiła Inga. – Właściwie to chyba jestem gotowa na otwarcie nowego rozdziału w życiu. Tylko muszę być bardziej rozważna, a to takie trudne. Ale... czuję taką siłę, no wiecie... I nie chcę, żeby przeszłość jeszcze kiedykolwiek stanęła mi na drodze do szczęścia. Nie chcę! Albo... Albo chcę!

– To chcesz czy nie chcesz? – dociekała Anka.

Inga gwałtownie potrząsnęła głową.

– Ostatnio redagowałam taką książkę psychologiczną i tam pisali, że ludzki mózg nie przetwarza słowa „nie”, więc żeby coś się wydarzyło po naszej myśli, trzeba mówić tak, aby nie było „nie”. No wiem – natknęła się na uniesione brwi Anki – trochę to pokręcone, ale chodzi o to, by nie mówić o tym, czego się nie chce, tylko o tym, co się chce. A więc: ja chcę, aby duch Adama zniknął z mojego życia! Tak! Ma zniknąć!

– Kropka. Amen – dodała Anka, a Inga poczuła, jak po jej ciele przebiega dreszcz, ale nie taki zimny, zwiastujący coś nieprzyjemnego, tylko miły i odprężający.

– Noo – odezwała się Barbara. – To skoro już niektóre z nas poczyniły ważne deklaracje, a pozostałe były tego świadkami, to może przyszedł czas na jeszcze jedno istotne wyznanie, nie sądzisz, Inga? Nie chciałaś czasem powiedzieć czegoś Ance?

Z Ingi natychmiast wyparowało całe odprężenie i poczuła, jak się czerwieni.

– Yyy... – Nagle skurczyła się w sobie. – No... Bo... Ja i Olivier... Bo my...

– Chodzi o tego Meksykanina, tak? – pojęła błyskawicznie Anka. – No i co? Smakował ci? – Zachichotała.

– No tak nie do końca. Bo zamiast crepesika wyszedł zakalec – zebrała się na odwagę Inga i choć wstyd, całkiem nieuzasadniony, wypełniał ją od czubka głowy po koniuszki palców u stóp, opowiedziała przyjaciółce historię: od randki, całkiem fajnej, przez kradzież – zupełnie niefajną, po plan Barbary, który zakładał obsadzenie Ukraińca o posturze niedźwiedzia w roli głównej.

Kiedy skończyła, Anka przez chwilę nie mówiła kompletnie nic. A kiedy już się odezwała, w jej głosie po-brzmiewała złość.

– Co z nimi wszystkimi nie tak?! Serio, aż tak trudno zachowywać się przyzwoicie i, uwaga, nie kraść, nie wykorzystywać i nie zdradzać? No ja pieprzę! Czy to jakiś zagubiony gen się w nich uaktywnił? Inteligentny wirus z detektorem potencjalnych palantów? – Potrząsnęła z oburzeniem bujnymi włosami. – I co, Siergiej napisał coś więcej?

– Nie, na razie nie. Ale znając jego skuteczność, do końca weekendu będzie po sprawie – mruknęła jakoś niewyraźnie Barbara.

Inga złapała w lusterku wstecznym jej spojrzenie i dostrzegła w nim pewne napięcie. Już chwilę wcześniej, gdy opowiadała o Olivierze, zauważyła, że przyjaciółka błądzi myślami gdzie indziej – bo ani nie dorzucała typowych dla siebie uszczypliwości, ani nie podsyciła gwałtownej reakcji Ani. Ona sama czuła teraz ulgę, ale Barbarze wyraźnie było do takiego stanu daleko. Zbliżyły się do Rząsin, a Barbarę myśl o tej miejscowości dziwnie usztywniała. Ją, kobietę, która była na pozór nieustraszona, usztywniała myśl o łamiących języki obcokrajowców Rząsinach... „Ciekawe dlaczego?” – zastanowiła się Inga. Po wczorajszych reakcjach przyjaciółki wywnioskowała, że odważna i nieujarzmiona Kochańska obawiała się Rząsin, choć dla dobra Anki postanowiła stawić im czoła. A skoro postanowiła, to o zmianie decyzji nie mogło być mowy, bo przecież Barbara nie zmieniała zdania.

– Dobra, dziewczyny – odezwała się. – Od teraz ustalamy żelazną zasadę: żadnych palantów! Znikają z naszego życia raz na zawsze!

– Brawo, Inguś! A jak zapomnimy o tym, co powiedziałaś, to mamy tu kogoś, kto nam o tym przypomni.

– No jasne. Barbarę Kochańską.

Ostatnie dwa słowa wymówiły niemal synchronicznie, a potem Ania raz jeszcze puściła I Will Survive. Tym razem odśpiewały piosenkę wspólnie, przynajmniej w części refrenu, w której powtarzała się tytułowa fraza, resztę partii zastępując mormorandowym „nanana”.

Przez tę jedną chwilę wszystkie poczuły się lekko, jakby przebój Glorii Gaynor nie był tylko zwykłym utworem, a dopalaczem wywołującym gwałtowny wyrzut dopaminy i endorfin.



Mijając drogowskaz, który dobrodusznie informował, że w Rząsinach znajdują się za pięć kilometrów, wszystkie były w niezłych nastrojach. Anka na chwilę zapomniała o zdenerwowaniu i o tym, że lada moment spotka się z Damianem vel Karolem i będzie musiała rzucić mu w twarz długą, przemyślaną i wyrytą na pamięć perorę. Paplała z uszczęśliwioną Ingą o fabule ostatnio zredagowanego przez nią kryminału. Baśka była usztywniona, ale co dla niej typowe, starała się nie dać tego po sobie poznać.

– Jak przyjedziemy do tego pensjonatu, załatwimy, co będzie trzeba z Damiankiem, a potem was zostawię na godzinę albo dwie, dobra? – odezwała się w pewnym momencie.

Anka z zaciekawieniem spojrzała na przyjaciółkę.

– A z jakiego to powodu? Masz schadzkę?

– Pani Krauze – prychnęła Barbara udawanym oficjalnym tonem. – Proszę na mnie nie stosować tych swoich prokuratorskich technik, tylko zostawić je sobie na Damianka.

– Musiałś mi przypomnieć?

– Sama się prosiłaś. I wiesz co, tylko na tej ciężarnej niczego nie stosuj, okej? Nie chciałybyśmy przecież, żeby się zestresowała i żeby dziecku coś się stało.

Anka spojrzała na nią gwałtownie.

– Jezu, Baśka, ja o tym kompletnie nie pomyślałam! I co teraz? Przecież nie możemy jej narażać...

Basia potrząsnęła głową.

– Lepiej, żeby się dowiedziała i miała wsparcie w życzliwych kobietach, niż gdyby ją zostawił z brzuchem albo w połogu dla jakiejś trzeciej. Poza tym z tego, co mówiłaś, to nie jest głupia dziewczyna, więc szybko zrozumie, że palanta czym prędzej trzeba pogonić. – Zerknęła we wsteczne lustro. – Chodzi wyłącznie o to, by Damian nie skrzywdził już więcej żadnej z was. Obie wiecie, czym jest kobieca solidarność... No bo, umówmy się, Damianek księciem na białym koniu to nie był...

– Żeby chociaż miał porządnego konia – westchnęła Anka. – No co?! – Poczzerwieniła, czując na sobie rozbawiony wzrok dziewczyn. – Ja tu o samochodzie, a wy... Jezu, czy wy musicie zawsze tylko o jednym?

– Nie musimy, ale chcemy...

Po chwili ich oczom ukazała się zielona tablica obwieszczająca, że oto trafiły do Rząsin. Droga wiała się miło, a wzdłuż niej po obu stronach wyrastały domki z ogrodami. Nawigacja Google wskazywała, że do agroturystyki Jaskier należało skręcić tuż przed kościołem pod wezwaniem Matki Boskiej Ostrobramskiej.

– Zawsze mnie ciekawiło, jak się żyje w takich maleńkich wsiach... – powiedziała Inga. – Chociaż może i nie takich znów maleńkich, bo widzę, że mają tu bibliotekę – rozglądała się po okolicy – wiejski dom kultury... A kiedyś ponoć i dom dziecka był. Tak pisali w internecie.

– Bo to bardzo aktywna miejscowość. Też sobie o niej trochę poczytałam... I może nawet bym coś z tego zapamiętała, gdyby... wiadomo. Inne okoliczności. – Ania była już mocno podenerwowana.

Po prawej stronie wyłoniły się zadaszony przystanek autobusowy i miejscowa tablica ogłoszeń, na której wisiało kilka nadgryzionych zębem czasu nekrologów. Baśka wykonała manewr i skręciła w lewo, w szutrową drogę prowadzącą nieco pod górę. Po chwili znalazły się przed bramą, nad którą widniał szyld „Agroturystyka Jaskier”.



- Gotowa? - zapytała Inga, zwróciwszy się do Anki.  
Proca westchnęła głęboko.  
- Nie bardzo. Teraz zaczynam żałować, że nie wzięliśmy ze sobą żadnego szpadla.



Bramę otworzyła im drobna blondynka w szarych dresowych spodniach i jasnoróżowej koszulce z wizerunkiem uśmiechniętego psa i napisem „Psijemnego dnia”. Wokół jej nóg płątał się nieduży białobruny kundelek w kolorowej obróżce z adresatką. Zaraz za nią wznosił się dwupiętrowy dom ze spadzistym dachem, otoczony wielobarwną kwiatną rabatą. Wyglądał tak jak na stronie w internecie i jak zapamiętały go dziewczyny.

- Dzień dobry! - zawołała kobieta, gdy Baśka opuściła szybę. - Panie do mnie, prawda?  
- Tak, tak! - Basia wychyliła się przez okno. - Wczoraj rezerwowałam dla nas pokoje na nazwisko Kochańska.  
- Cudownie, zapraszam!

Barbara zaparkowała na posesji tuż obok żółtego garbusa na podpoznańskich rejestracjach, a Anka skostatowała, że to najpewniej auto Karoliny. Początkowo zastanowił ją brak służbowego auta Damiana, ale od razu pomyślała, że cwaniak, zapewne z oszczędności, naciągnął Karolinę na podwózkę jej samochodem. Kiedy wysiadły, pies podbiegł do nich i zaczął je intensywnie obwąchiwać.

- Jaskier, do mnie! Przepraszam, nie wszyscy goście lubią tę jego bezpośredniość. - Kobieta podeszła do dziewczyn i wyciągnęła dłoń na powitanie. - Jestem Kornelia i pomagam właścicielce prowadzić to miejsce - przedstawiła się, a one odwzajemniły się tym samym. - Jeśli wam to nie przeszkadza, możemy sobie mówić po imieniu. Mojego męża poznacie później, bo akurat pojechał do Jeleniej Góry. To co, może na początek pokażę wam pokoje, a gdy wróci Grześ, zajmie się bagażami?

Inga z Basią popatrzyły na Ankę, która wzruszyła ramionami.

- Co nam szkodzi, prawda? Poznańskie gołąbki są już na miejscu - skinęła głową w kierunku żółtego garbusa - i pewnie donikąd nie odfruną...

Kornelia uniosła brwi.

- Ooo, to wy się znacie? Znaczący wy i Karolina z...? - Zawiesiła głos. - Z Karolem.

- Poniekąd - odparła Basia. - A co tam?

- Nie powinnam nic mówić - odparła dyplomatycznym tonem Kornelia, usiłując uspokoić rozochoczonego obecnością nowych gości Jaskra, który skakał teraz wokół niej. - Ale Karolina jest w ogrodzie za domem. Sama. Tego, z którym przyjechała, już nie ma. Może... Hmm... - Chrząknęła zakłopotana. - Może do brze by było, gdybyście do niej poszły?



Krajobraz za domem był sielski. Po lewej stało kilka kurników i ogromna królicza woliera, przed którą z wolna przechadzały się tłusciutkie szczęśliwe kury. Jeśli przeszło się przez szeroki zielony trawnik w kierunku gęsto rosnących drzew, docierało się do całkiem stromego zejścia nad potok, którego szmer podobno słychać było po otwarciu okien. Tego jednak dziewczyny jeszcze nie zdołały doświadczyć, bo ruszyły prosto w kierunku starej jabłonki, pod którą na jednym z foteli wypoczynkowych siedziała Karolina i głośno płakała.

Anka na ten widok zmiękła i po raz setny przeklęła w myślach swojego (obecnie już ex) faceta, a pod nosem, jak jej się wydawało - cicho sarknęła: „Chujek Damianek”.

Najwyraźniej jednak nie dość cicho, bo Barbara, która szła obok niej, mruknęła z satysfakcją.

Karolina na widok dziewczyn przestała płakać i oniemiała z otwartymi ustami, co nie przeszkodziło jej jednak co chwila donośnie pociągać nosem.

– A... A-Anka...? C-co... Co tu robisz? – wyjąkała w końcu, wytarłszy nos w jedną z miliona zużytych i porzuconych pod nogami chusteczek.

– Powiedzmy, że czułam, że przyda ci się wsparcie. – Anka usiadła na sąsiednim fotelu i dała znak Barbarze i Indze, że chyba powinna porozmawiać z Karoliną w cztery oczy.

Na ten widok dziewczyna zaprotestowała gwałtownie.

– Nie, nie... Zostańcie wszystkie, proszę. Nie chcę teraz być sama.

Inga i Basia klapnęły posłusznie na kanapę.

– Dlaczego płaczesz?

Karolina pociągnęła nosem raz jeszcze i spojrzała na Anię załzawionymi oczami. Wyglądała fatalnie.

– Powiedziałam mu... Powiedziałam Karolkowi o ciąży. I on... On... On się wściekł. Krzyczał, że nie jest gotowy, że jak mogę być taką egoistką... że... zrobiłam to specjalnie. Chodził tutaj, machał rękami, darł się, aż kury płoszył... A potem kazał mi wybierać. On albo dziecko...

Inga przymknęła oczy. To było bardzo w stylu jej byłego męża. Lubił wyolbrzymianie, teatralne gesty i najbardziej wściekał się, kiedy Inga, uczestnicząc w tych pseudodramach, zachowywała stoicki spokój. Teraz w wyobraźni ujrzała scenę w ogrodzie, a na niej, niczym bohatera tragicznego z greckiego dramatu, osaczony przez fatum w postaci kobiety i niechcianego dziecka – Damiana o twarzy Adama, udręczonego, wkurzonego i... wystraszonego. Ten ostatni obraz nawet jej się spodobał.

– Więc kazałam mu się nad sobą zastanowić, ochłonać... A on, zamiast zrobić to tu, przy mnie, odwrócił się i wyszedł. No, może nie tak od razu, bo najpierw zapytał, czy będę potrzebowała samochodu. Nie wiedziałam, dlaczego o to pytał, ale w tym całym szoku powiedziałam, że tak, że będę potrzebowała. I całej szczęście, bo on najwyraźniej chciał nim wrócić do Poznania. Rozumiecie to? Moim samochodem. A tak... musiał pociągiem. To znaczy musi, bo... chyba jeszcze jedzie. Grzegorz, mąż Kornelii, zawiózł go na dworzec... – Głośno chlipnęła. – A... A kiedy wychodził, to jeszcze powiedział, że właściwie to między nami koniec i że chce dowodów, że dziecko jest jego, a nie kogoś innego. – Karolina zabuczała jak ranne zwierzę.

Anka przysunęła się do niej i mocno ją przytuliła. Damiana natomiast najchętniej walnęłaby prosto w twarz. I to z pięści.

– Jest coś, co chciałam ci o nim powiedzieć.

Karolina, nie patrząc na nią, mruknęła wyczekująco i otarła z policzków łzy. A Anka, choć początkowo chciała być delikatniejsza (bo zasadniczo było jej żal Karoliny), wypaliła prosto z mostu:

– Twój Karolek to tak naprawdę Damian i teoretycznie – głośno przełknęła ślinę – już tylko teoretycznie jest moim narzeczonym.



Reakcja Karoliny na wiadomość o tym, że Damian naiwnie niczym czterolatek chciał zjeść ciastko i mieć ciastko, wywołała w przyjaciółkach szczerze zdumienie. Dziewczyna, kiedy zobaczyła kilka wspólnych zdjęć Ani i Damiana, nie tylko nie wpadła – jak szacowały – w czarną rozpacz, ale wręcz się wściekła, i to tak, że Anka musiała ją uspokajać.

– Wierz mi, ja też bym mu jaja ukręciła – zapewniła.

– I jeszcze język bym mu wyrwała za te wszystkie kłamliwe obietnice! – wrzasnęła Karolina. – Co on sobie myślał? Że może tak bezkarnie rozpieprzać życie innych?

Anka potwierdziła w myślach.

– Że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw?

Znowu pełna zgoda u Anki.

– Przecież nas obie oszukiwał i mamił – zakończyła Karolina.

– Oni to mają we krwi. Te zdrady, pierdu-pierdu gadki i maślane oczka – stwierdziła Barbara, sprawiając, że Anka spojrzała na nią groźnie. – No co? Zawsze ci mówiłam, że Damianek mi nie halo.

– Teraz akurat mogłabyś sobie podarować, wiesz?

– Przecież to święta prawda.

– Ale czasami nikt o prawdę nie prosi – skwitowała całkiem słusznie Anka i znowu spojrzała na Karolinę.

Podawała Karolinie wodę, a potem pokazała jej resztę zdjęć z Damianem. Dziewczyna z niedowierzaniem kręciła głową, po czym, ku uciesze pozostałych, zgodziła się, że Damianowi vel Karolowi należy się zemsta. Na zimno i w galarecie. Ewentualnie formalinie.

– No ale jaki trzeba mieć tupet, żeby się spotykać z dwiema pannami w jednym mieście! – Baśka przewróciła oczami. – Przecież mógł się nadziać na jedną z was, będąc z tą drugą...

– Nie do końca. – Karolina upiła łyk wody. – Bo ja nie mieszkam w samym Poznaniu, tylko pod. Kiedy u mnie pomieszkiwał, to chciał, żebyśmy albo gdzie wyjechali, albo siedzieli w ogródku...

– No właśnie. A jak wracał z wyjazdów, to nie robił nic innego, tylko zamierał przed kompem i trząsał w strzelanki... Nie było szans, żebyśmy się gdzie spotkały. Chyba.

– Ja tam twierdząc – odezwała się Inga – że szansa była. Ale Damian myśli wyłącznie jednotorowo. A poza tym nie ma żadnych refleksji pobocznych. Ani jednej. Kompletnie zero didaskaliów w mózgu, co najwyżej zajebicie ogarnięty kalendarz. My byśmy krążyły po tych wszystkich bocznym uliczkach, a on wio!, prosto autostradą do nieba.

– Ale chwila – zreflektowała się Barbara, zwracając się do Karoliny. – Nie poznałaś nigdy szanownej mamusi ani tatusia Damiana Karola? I co z tym nieszczęsnym sygnetem? Nie zapytałaś go nigdy o to? O tę datę?

Karolina wzruszyła ramionami.

– Jego rodziców nie poznałam, bo mi powtarzał, że jeszcze przyjdzie na to czas... Więc nie naciskałam. A co do sygnetu, to wcale nie musiałam pytać, sam mi powiedział. – Widząc ich zdumione spojrzenia, wyjaśniła: – Już na pierwszej randce mi się pochwalił, że ten sygnet to pamiątka po ukochanym dziadku, a ta data to rok jego śmierci.

– Biedny dziadek Waldek – westchnęła Anka. – Gdyby wiedział, że wnusio uśmiercił go za życia, prędzietko pociągnąłby go za sobą. Waldemar nie bierze jeńców, ani w picciu, ani w życiu... Sprawy Damiana na kwaśne jabłko i tylko patrzył, czy równo puchnie...

– My wymyślimy lepszy i bardziej satysfakcjonujący sposób niż przemoc fizyczna – odezwała się Inga. – I powiem wam, że to nawet lepiej, że Damian stchórzył i nie wie, że wy wiecie. Nie domyśla się, biedny, czyje lwy podrażnił.

## Rozdział 8

*Istnieją w życiu pytania, na które – choćbyśmy nie wiadomo ile mądrych naukowych książek przeczytały – nie znajdziemy satysfakcjonującej, ugruntowanej na doświadczeniu odpowiedzi. Na przykład: Dlaczego pająki lubią spacerować po naszych twarzach, kiedy śpimy? (Jeśli o tym nie wiedziałaś, to teraz już wiesz...) Albo: Czy istnieje racjonalny powód, dla którego żurek je się na Wielkanoc, a barszczyk czerwony w Wigilię? (Why not both, na litość boską?) I z jakiego powodu modelki na wybiegach śmigają w udziwnionych strojach, których my nigdy nie założymy, skoro mogłyby w tak bardzo nam bliskich dresikach i bamboszach? I ostatnie, ale chyba najważniejsze: Czemu tak cholernie boimy się okazywać miłość tym, na których nam zależy...?*

– Nie czekajcie na mnie z kolacją. Może wrócę za godzinę, może za dwie. Jeszcze nie wiem – powiedziała Barbara, kiedy sytuację udało się względnie opanować, po czym zostawiła dziewczyny w ogrodzie pod jabłonią i udała się w stronę sąsiadującego z pensjonatem domku nad jeziorem.

– Baw się dobrze! – zawołała za nią Inga.

– Raczej nie idę się bawić, ale dzięki – odparła Barbara i niezbyt pewnym krokiem, jak nie ona, odeszła.

Dziewczyny jeszcze przez chwilę rozmawiały, a potem przybiegł do nich Jaskier. Inga uśmiechnęła się na jego widok. Zwierzak wyraźnie poczuł się zaproszony do interakcji, bo zamachał ogonem, po czym zakręcił się wokół jej nóg i nagle chapsnął jej ażurowy botek (lubiła zrzucać buty i siedzieć na bosaka), po czym zwiął.

– O nieee! Cholera jasna! Jaskier, oddawaj go! Już! – Inga zerwała się z miejsca i pognąła za psem.

Jaskier jednak był wyraźnie wyćwiczony w podstępach i szeroko pojętych wioskowych rozbojach, bo pędził jak szalony. Inga mknęła za nim co tchu, ale po chwili straciła go z oczu. Zdezorientowana przystanąła w półcieniu tuż pod ukwieconą wisterią, która pięła się po pergoli przy domku z niewielkim tarasem i widokiem na jezioro. Tuż obok otwartego okna na parterze, z którego dobiegał szloch.

Rzuciła okiem do środka i... zamarła, zupełnie zapomniawszy o skradzionym bucie. Oto bowiem w przytulnie urządzonej saloniku na kwiecistym dywanie klęczała Basia. Ale nie u kolan jakiegoś przystojniaka (to nie zdziwiłoby Ingi ani trochę), tylko siwiusieńkiej, acz eleganckiej staruszki, która dobrotliwie głaskała ją po głowie i powtarzała:

– Drobinko moja kochana, moja Drobinko najdroższa.

A Barbara Kochańska, kobieta z żelaza, wykuta w ogniu piekielnym, płakała. Głośno, zupełnie nie zwracając sobie głowy tym, że może jej się rozmazać makijaż. Zatraciła się kompletnie w tym płaczu, jak jeszcze przed momentem Karolina, kiedy opowiadała o zdradzieckim Damianku-Karolku. Czego jak czego, ale takiego widoku Inga nie spodziewała się ani trochę. Jeszcze kilka chwil wcześniej była skłonna ryzykować stwierdzenie, że Baśka wybrała się na schadzkę. Jakąś ognistą, może nawet zakazaną! Spotkanie z mężczyzną żonatym albo pod koloratką... Teraz zrobiło jej się głupio, ale nie zmieniło to faktu, że nadal stała jak zakłęta, wgapiając się w salonowy obrazek.

– Marzyłam o tym, że w końcu wrócisz, że będę mogła przed spotkaniem z Ostatecznym jeszcze raz ciebie zobaczyć – mówiła staruszka. – I jesteś! Jesteś, Drobinko. A to dowód na to, że ten Ostateczny mimo wszystko jest dobrotliwy. Nagadałam mu, nagadałam, to pewnie w końcu stwierdził, że wysłucha. Bo ileż można ciągle o tym samym! Nawet Ostateczny ma swoje granice cierpliwości.

Basia podniosła na nią wzrok.

– Przepraszam, Zosiu! Przepraszam, że nie potrafiłam wcześniej. Powinam, ale nie potrafiłam.

– Nie tłumacz się, Drobinko. Ja rozumiem. A poza tym wytęsknione spotkania smakują najlepiej. A to przecież takie jest! Wytęsknione jak stąd do Fatimy! Albo nawet do uświęconej Jerozolimy!

Barbara z namaszczeniem ucałowała kolana kobiety, a potem znowu oparła na nich głowę. Po plecach Ingi przebiegł dreszcz, bo było coś niezwykłego w tym poddańczym geście. Niezwykłego i absolutnie poruszającego. Przypomniała sobie swoją babcię. To ona we wczesnych latach życia Ingi zajmowała się wnuczką, a przed snem zawsze całowała ją w czoło. Inga wiele by dała, by móc raz jeszcze się do niej przytulić i by babcia zanuciła jej jedną z tych pięknych dawnych piosenek, na przykład: „Jesienne róże... Róże żółte, herbaciane...”. To było jednak już niemożliwe. Babcia zmarła, kiedy Inga była w Nowym Jorku – i ani nie zdążyła się z nią pożegnać, ani nie dotarła na pogrzeb, bo... Coś ścisnęło ją w gardle. Mocno zwarła powieki, by się uspokoić.

Kiedy je otworzyła, Basia i Zosia nadal czule rozmawiały, aż w końcu staruszka zaproponowała:

– Chodź, usiądziemy na tarasie i pogapimy się na jezioro. Kiedyś lubiłaś.

– Ale teraz nie lubię. Od czasu wyjazdu starałam się nie bywać nad żadnym jeziorem.

– Co za szkoda, Drobinko! Co za szkoda! Ale to oznacza jedno: mamy co nadrabiać. Chodź, nie daj się prosić!

Staruszka podniosła się z wigorem. Poprawiła na biodrach długą sukienkę, a potem spojrzała na pokazanych rozmiarów srebrny wisior. Uśmiechnęła się i przytuliła go do policzka. Inga domyśliła się, że to musiał być prezent od Barbary, a po chwili zyskała potwierdzenie.

– Zawsze miałaś dobry gust, Basieńko.

– Dziękuję, Zosiu.

– Tym razem to ja dziękuję. Dawno nie dostałam tak pięknej niespodzianki.

Barbara skromnie machnęła ręką, po czym podeszła do ściany i zatrzymała wzrok na zdjęciach w ramach. Powiedziała coś, czego Inga nie dosłyszała, ale co wyraźnie rozbawiło gospodynię. Przez chwilę jeszcze rozmawiały, a potem Zosia wyszła na taras.

– Aaa! Weź mi, Drobinko, ze stolika te moje śmierzdziele. I nie zapomnij o lufce. Nawet nie pytaj, czy nadal palę albo dłacze go. Wiem, że nie popierasz, podobnie jak doktor Mechowska, ale skoro palę od lat dwustu i nic mi nie jest, to kolejne czterysta też będę. Z radością i namaszczeniem.

Barbara pokiwała głową z taką miną, jakby słyszała te słowa nie raz, i poszła po papierosy. Po chwili obie siedziały w przytulonych do siebie bujanych fotelach na drewnianym tarasie, a Inga, wycofawszy się za róg, truchlała, bo od kobiet dzieliły ją raptem trzy kroki. Czuła się okropnie, podglądając tak intymne momenty, ale coś nie pozwalało jej tak zwyczajnie odejść; nogi miała jak z ołowiu. Stała więc w bezruchu, jakby była jedną z gałęzi wiekowej wisterii. Ledwo oddychała, by nie zostać usłyszaną, nie reagowała na liście, które poruszane wiatrem, laskotały ją w szyję. Nie drgnęła nawet, gdy poczuła, jak po jej policzku coś maszeruje. To coś piekielnie ją niepokoiło, bo oczami wyobraźni już widziała tłustego pajaka o grubym odwłoku i odnóżach zakończonych czarnymi jak smoła kolcami. Brr... Kochała zwierzęta, ale z pewnymi włochatymi wyjątkami.

– Czasami, kiedy tu siadywałam – staruszka zapaliła papierosa i powoli wypuściła dym – to przypominałam sobie ciebie, jak biegałaś po brzegu naszego jeziora. Taka malutka byłaś i trochę niezdarła. Ale nigdy wystraszona. Jak żabę widziałas, to ją łapałaś i mi przynosiłaś, zaskrońca też się nie bałaś. Mówiłaś, że na obiad, że z polowania wracasz. Chciałaś być potrzebna i troszczyłaś się o mnie.

– W szczególności o to, by nikt ci nie zagrażał.

Staruszka zachichotała nieco szorstkim i przydymionym śmiechem.

– Nigdy nie zapomnę, jak nakryłaś mnie z Olgierdem w sypialni.

Basia pokręciła głową.

– Myślałam, że robił ci coś złego i... No, zresztą pamiętasz.

– Pamiętam, pamiętam. Co to był za widok, niech skonać! Tak się zamachnęłaś na niego tą miotłą! Byłaś za mała, więc nawet nie trafiłaś w głowę, tylko przejechałaś mu nią po plecach. No i całe szczęście, że nie

uderzyłaś w węże, bo też by była strata. Bo Olgierd to miał prawdziwego... pytona – rozmarzyła się.

– Zosiu...! – zawołała Barbara niby z oburzeniem, choć w rzeczywistości chyba dusiła w sobie śmiech. – Nie chcę o takich rzeczach nawet słuchać!

– Ale że co? – Zosia się roześmiała. – Zawstydziałaś się? Ty, Drobinko? Przecież nigdy wstydliva nie byłaś. Wiem, bo cię uczyłam, że nic, co ludzkie, nie może nam być obce. Nie powinno być! Natura wyposażyła facetów w węże i choćby nie chcieli, to z naturą nie wygrają. Mają węże. Koniec. Kropka. Sama wiesz, że nie ma się czego wstydzić, skoro są przydatne... – wypuściła z ust duży kłęb dymu – również dla nas, Drobinko. Życie jest jedno, a skoro tak, to grzechem by było z niego nie korzystać. Nie wiadomo, gdzie nas Ostateczny pośle. Może tam, gdzie węży brak?

– Jesteś niemożliwa, Zosiu!

– Basińko – staruszka zgasiła niedopalonego papierosa w popielniczce – jestem taka sama jak ty.

Inga poczuła, jak coś, co przed momentem znajdowało się na jej policzku, wpadło jej na usta. Tego było już za wiele. Z wrzaskiem strząsnęła z siebie owo coś, co owszem, okazało się pajakiem, ale nie włochatym i kolczastym, lecz zwyczajnym kątnikiem, i to pospolitych niewielkich rozmiarów. Odetchnęła z ulgą, zginając się wpół i opierając dłonie na kolanach.

– Inga? Inga?! – usłyszała nagle nad sobą wściekły głos. Ooo, teraz dałaby wiele, żeby chwilę wcześniej to był włochaty, jadowity i śmiertelnie groźny ośmionóg. – Co... Co ty tutaj robisz?!

Inga podniosła się i stanęła oko w oko z Barbarą, która wbiła w nią spojrzenie ostre niczym milimetr sześcienny caroliny reaper albo jakiejś innej piekielnej w smaku papryczki.

Inga natychmiast poczerwieniała, czując, jak fala gorąca zalewa jej policzki, szyję, a potem całe ciało. Podglądanie nie leżało w jej charakterze, nie potrafiła ani nie lubiła tego robić. W swoim życiu podglądała, a właściwie śledziła – i to nie osobiście – tylko jedną osobę. Tylko tego, który włożył na jej palec piękną, wysadzaną diamentami obrączkę. Adama.

– Wiem, jak to wygląda, ale nie chciałam, nie planowałam, tyle że ten Jaskier... – tłumaczyła się gęsto. – On zabrał mi but i ja go goniłam, i... No i tak wyszło. Przepraszam.

W Barbarze wyraźnie się zagotowało. Inga dostrzegła napięcie na jej twarzy i trochę się przeraziła.

– Przepraszam – powtórzyła pospiesznie.

– I słusznie, bo masz za co. To, co widziałas, nie było dla twoich oczu. Ile słyszałaś?

– Nic... Nic nie słyszałam. Tylko widziałam – skłamała naprędce, nawet dziarskim tonem, przez co z Barbary jakby uszło powietrze.

– Na pewno? – dopytała.

Inga nie zdążyła potwierdzić, kiedy u boku Barbary pojawiła się Zosia.

– Drobinko, a czy to takie ważne? Słyszała czy nie słyszała... Uznajmy, że nic się nie stało. Przecież tu żadnych wielkich scen nie było. Raptem sympatyczne i tęskne. Bo gdyby to schadzka była, zakazana chociażby, z jakimś żonatym z naszej wioski albo tym młodym, niemożliwie przystojnym klerykiem. – Inga zadrżała, bo poczuła się tak, jakby staruszka знаła jej myśli. – To już gorzej by było, bo takie sytuacje świadków nie lubią, ale nasza...? No, nic nie szkodzi, prawda, Drobinko?

Barbara nie odpowiedziała, zaciskając usta. Inga także milczała.

– Inga, tak?

Potwierdziła ruchem głowy.

– Może na kompecik się skusisz?

– Nie, dziękuję. I... I jeszcze raz przepraszam – wydukała Inga i oddaliła się pospiesznie w kierunku pensjonatu.



Baśka wróciła nie po godzinie ani po dwóch, jak zapowiadała, ale po ponad trzech, i to zupełnie odmieniona. Uśmiechnięta od ucha do ucha, na bosaka i w Inianej sukience do kostek, a nie w tej boskiej czerwonej od Ralphi Laurena, w której przyjechała. Dziewczyny patrzyły na nią z niedowierzaniem.

– No i co tam? Nudziłyście się beze mnie? – rzuciła, spoglądając wymownie na Inge, która zdobyła się na nieśmiały uśmiech. Nadal czuła się niezręcznie. – Coś widzę, że pani redaktor najbardziej. Przyniosłam ci twoją zgubę. – Podała jej skradziony przez Jaskra botek. – Zwiedził z tym sierściuchem pół Rząsin.

– A wyobraź sobie – odezwała się Anka – że nikt się nie nudził. Kiedy planuje się samczy mord, to w więdzmim kotle iskrzy i wrze.

– Fiu, fiu! Czyżbyście postawiły na Damianku krzyżyk?

– I na Damianku, i na Karolku. Obydwa wcielenia Kurskiego zostały już symbolicznie uśmiercone. Teraz jesteśmy na etapie układania mowy pogrzebowej.

– Mowy pogrzebowej?

Z przeciwnej strony nadeszła Zosia. W rękach niosła tacę z dzbankiem kompotu i szklaneczkami.

Dziewczyny jak na zawołanie odwróciły się w jej stronę, a w ich głowach pojawiła się synchronicznie jedna myśl: ależ ona elegancka! Zosia rzeczywiście wyglądała bardzo przystojnie. Choć minione lata odcisnęły na niej swoje piętno: miała twarz poprzecinaną zmarszczkami, włosy upstrzone siwymi nitkami, palce nieco powykrzywiane artretyzmem, to i tak była piękna i pełna seksapilu, a przede wszystkim zjawiskowo pogodna. Biło od niej jakieś nieokreślone ciepło, dobro.

– Wobec tego mogę być – ciągnęła Zosia, stawiając tacę na stoliku – idealnym ciałem doradczym. W mowach pogrzebowych to ja mam doświadczenie – dodała śmiertelnie poważnie.

Basia wybuchnęła śmiechem i ujęła jej dłoń.

– Przedstawiam wam wyjątkową kobietę o wyjątkowym poczuciu humoru, Zofię Drawską. To właścicielka tego miejsca, a moja przyszywana ciocia – wyjaśniła, na co Anka zrobiła wielkie oczy, a Inga, z policzkami w kolorze dojrzalego buraka, udała uprzejme zdziwienie. – Najlepsza, najdobrotliwsza i najwyrozumialsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałam.

– Już byś nie przesadzała, Drobinko, z tymi komplementami, bo mi na policzki róż wejdzie, a wiesz, że nie lubię. Ja to uważam – zwróciła się do dziewczyn – że z różem to tylko do trumny i po prostu unikam. Nie lubię nęcić Ostatecznego. Jeszcze lada moment mnie pośle na te błękitne pastwiska, a mnie nigdy nie było dobrze w błękicie. – Zachichotała.

– To tak jak mnie w opalonym beżu – dorzuciła Barbara.

– Drobinko... – Zosia poklepała ją po ramieniu. – Ładnemu we wszystkim ładnie. Więc tobie to nawet w zgaszonych kolorach ziemi.



Kiedy Ania i Karolina pokrótce opowiedziały Zosi o Damianku vel Karolku i pokazały jej zdjęcia, jak wspólnie orzekły, dowodowe, Zosia nawet nie skomentowała; od czasu do czasu tylko wzdychała, unosiła brwi i pomrukiwała. Siedząc pod starą rozłożystą jabłónką przy dębowym stole, delectowały się truskawkowym kompotem od Zosi, kosztowały lokalnych serów i wędlin oraz bułeczek owsianych z czarnuszką, które Zosia upiekła skoro świt, tuż po, jak wyznała, „porannych medytacjach”.

– Me-dy-ta-cjach? – przesyłabizowała zdziwiona Barbara.

– A owszem. O wschodzie słońca lubię najbardziej. Służą mi tak jak pilates, stretching, joga – wymieniała dostojnie starsza pani. – I oczywiście seks. Dużo seksu!

– Zosiu!

– No co! Taka prawda, dziewczynki. Kiedyś byłam znacznie oszczędniejsza w TE klocki, ale teraz... – Umilkła dyplomatycznie i upiła łyk kompotu. – Im bliżej mam do Ostatecznego, tym bardziej korzystam z ży-

cia.

Zofia Drawska sięgnęła po papierosa, oddaliła się na kilka kroków i zapaliła. Inga pomyślała, że wypuszcza dym z gracją Audrey Hepburn w Śniadaniu u Tiffany'ego.

– A w jaki sposób? – zaciekała się niespodziewanie Anka.

– W każdy – stwierdziła Zosia, strząsając popiół. – Życie jest pełne możliwości. A nam nie pozostaje nic innego, jak tylko brać, dziewczyny! Trzeba po prostu nie przegapić okazji...

– Ja to mam teraz chyba kryzys optyczny, bo żadnych możliwości nie widzę. Absolutnie niczego do wzięcia – stwierdziła Anka.

– A bo na takim etapie jesteś. Ale lada moment to minie – przyznała Zosia. – A potem pojawi się ktoś albo coś. Albo jednocześnie i ktoś, i coś – mówiła tajemniczo, patrząc w stronę jeziora. – A wówczas, jak to określiłaś, Aniu, optyka się poprawi, a życie nabierze barw. Znam to z autopsji, dziewczyny.

Z ust Ani wydostało się krótkie i niewiele znaczące „aha”, co podkreślało jej brak wiary w słowa Zosi. Nagle Karolina gwałtownie zaszlochała – głęboko i żałośnie.

– Moje życie jest skończooone – zawodziła i buczała na przemian. – Kooooniec! Niiiiiic dobrego mnie nie czeeeeka! Duuuupa! Duuupa blaaaada! Na dodatek samooootna duuupa blaaaada! Zero perspektyw, tylko dzieciak w brzuuuuuchu!

Anka z Ingą rzuciły się, by ją pocieszyć. W oczach tej pierwszej także pojawiły się łzy; to, co mówiła Karolina, doskonale opisywało również jej stan. Czuła się oszukana i absolutnie nie widziała dla siebie perspektyw, ani życiowych, ani zawodowych, bo po wylaniu kawy na Habera i zjebce od szefa dyscyplinarka wydawała jej się wyłącznie kwestią czasu. Inga z kolei wiele by dała za taki brak perspektywy jak dziecko. Barbara patrzyła na nie, nie robiąc nic, wszak w pocieszaniu miała tyle wprawy, co w zbieraniu grzybów o świcie. Zosia tymczasem ze spokojem wypaliła papierosa, zgasiła go w glinianej popielnicy, upiła łyk kompotu, a potem usiadła naprzeciwko Karoliny i głosem łagodnym, choć stanowczym, przemówiła:

– Popłacz sobie, dziecko, byle nie za długo. Płacz cię oczyści, ale zbyt długie nerwy zaszkodzą dziecku. Oczywiście jeśli zamierzasz się nad sobą użalać, to twój wybór, ale pamiętaj, że jedyne, co zyskujesz, to drogę na skróty do Ostatecznego. Ja bym tam na waszym miejscu nie lamentowała nad Damiankiem Karolkiem Kurskim. Może bym i popłakała chwilę, ale potem otrzepałabym się z żalu, zakłęła sobie siarczyście i przeszła do ofensywy.

– Do ofensywy? – spytała Karolina przez łzy.

– Do działania. Walki frontalnej, podjazdowej, zresztą nieważne jakiej. Byle była skuteczna – wytłumaczyła.

– To znaczy? – Barbara się ożywiła, Karolina przestała szlochać i otarła łzy, a Inga z Anką, zaintrygowane, spojrzęły na seniorkę, która jeszcze przed momentem wspominała o medytacji, jodze i witaniu słońca, a teraz miała minę, jakby się szykowałą do walki w klatce.

Zosia usiadła na krześle i odchrząknęła.

– Dobrze zrozumiałam, że z tobą – spojrzała na Ankę – chciał mieć dziecko, a tobie – skinęła na Karolinę – kazał... wybierać, czy wolisz jego, czy dziecko?

Dziewczyny zgodnie pokiwały głowami.

– O ile dobrze rozumiem, obie uważacie, że to typ beznadziejny i bezmózgi?

Ponownie przytaknęły.

– To ja wam powiem, że on jest sprytniejszy, niż wam się wydaje – stwierdziła. – Jak dla mnie to on ma całkiem sprawny mikromózdzek, mimo że zwieńczony ulizaną blond grzyweczką, a dzieje się w nim więcej niż na Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku. On sobie wszystko całkiem niezłe wykoncypował!

– Serio? – Baśka wsunęła do ust plasterek kindziuka z pieprzem cayenne. – Bo na moje oko to on należy do samców oszczędnie korzystających z szarych komórek i raczej jedzie po bandzie lenistwa.

– O, no jasne, że lenistwa! – Zosia przytaknęła. – Ale to nie znaczy, że nie myśli. Przecież najstarsza motywacja świata brzmi: nie narobić się, a zarobić. Ten chłopaczyna jest mistrzem kalkulacji. Same zobaczą:



u Anki miał święty spokój, na głowę mu nie kapowało, jedzenie zamawiał z knajpy, oczywiście na koszt Ani, gry i zabawki też ona mu kupowała, no bo przecież chłopak tak ciężko pracuje i zwyczajnie mu się należy... Od Karoliny też swoje dostawał, a potem cyk-cyk, do tej kupki coś dodał, z tej coś odjął, raz się dołożył do jedzenia, raz do opłat i bilans mu się zgadzał. Założę się, że zdążył już zbierać niezłą sumkę na koncie.

- W to akurat wątpię - stwierdziła Anka z przekonaniem. - Raczej zainwestował.

- A mnie mówił, że nie ma mieszkania - skwitowała żałośnie Karolina.

- Ale ja wcale nie mówię o mieszkaniu - odparła Anka. - Od kiedy go znam, wszystko inwestuje w figurki, hełmy i miecze z uniwersum Star Wars. To kosztuje kupę kasy. Jego i mojej.

- Z uni... Czego? - Zosia nie kryła zdziwienia.

- To taka kosmiczna opowieść o Hansie Klossie - wyjaśniła Baśka. - Tyle że Hansa gra facet w białej pelerynie, a Brunnera gość z astmą w przydużym czarnym hełmie z otworkami na brodzie i pod nosem. - Wykonała gest podkreślający jej pogardę dla fascynacji gadżetami tego typu. - No i lata w czarnej pelerynie i pewnie w... - zająknęła się - w czarnych rajtuzach. No dobra, tego ostatniego nie jestem pewna, ale przyznam - upiła łyk ze szklanki i parsknęła - że obraz Lorda Vadera w rajtuzach absolutnie mnie rozwała.

- Rozumiem. - Zosia zamyśliła się na chwilę. - Czyli on inwestuje w hobby?

Anka potwierdziła zdawkowym „yhm”.

- I ta inwestycja pochłonęła już sporo jego kasy?

Kolejne „yhm”.

- I są też inni, którzy inwestują swoje oszczędności w zakup tych no... figurek, hełmów i mieczy?

Zamiast następnego „yhm” Anka zdecydowanie pokiwała głową.

- To są całe armie ludzi - wyjaśniła. - Pasjonatów, fanatyków wręcz, którzy świata poza Star Warsami nie widzą. Na te gadżety wydają furę pieniędzy.

Zosia sięgnęła po dzbanek i dołała sobie kompotu, a Barbara w tym momencie doznała olśnienia.

- Dziewczyny, mam plan! Mam plan na tego pieprzonego Damianka!

- Karolka - wtrąciła Karolina.

- Może być i Karolka... W sumie jeden pies, nie obrażając żadnego czworonoga.



Baśka dość ogólnie nakreśliła plan, który przed momentem narodził się w jej głowie, a dziewczyny zgodnie i entuzjastycznie go przyjęły, uznając, że jest, po pierwsze, łatwy do wykonania, po drugie, cholernie ekscytujący, a po trzecie i zarazem absolutnie najważniejsze - zaboli Damiana jak diabli, jak stąd do tej pieprzonej, podziwianej przez niego Gwiazdy Śmierci.

- Tylko musicie zachowywać się jak zwykle, żeby ten szczywany lisek niczego nie zwietrzył.

- Ja nie zamierzam go oglądać! - prychnęła Karolina. - Mam nadzieję, że jak wrócę do domu, to jego już tam nie będzie. Ani jego rzeczy.

- Da się zrobić, bo znając go, gnany strachem przed odpowiedzialnością, pewnie zwieje gdzie pieprz ośnie. Czyli do mnie albo do królowej Ireny, swojej mamusi... - Anka przygryzła dolną wargę. - On tak ma. Jak się czasem kłóciliśmy, to niczym wicher błyskawicznie wybywał do niej... Szczerze mówiąc, w tej chwili wolałabym do niego zadzwonić i wszystko mu wygarnąć, a potem wrócić do mieszkania, spakować jego graty w czarne worki i wystawić za drzwi. Albo bezceremonialnie wywalić przez okno.

- Ale czy on wówczas wyciągnie z tego jakąkolwiek lekcję? Czy choć odrobinę go zaboli? Czy w ogóle po- czuje, że coś mu z życia zniknęło? - zapytała Zosia.

- No nie - przyznała Ania. - Tylko ja nie wiem, czy po tym wszystkim będę umiała z nim tak normalnie żyć. Nawet przez chwilę.

– To góra dzień, może dwa.

– A jeśli on się będzie do mnie przystawiał?

– O, daj spokój! – Barbara się ożywiła. – A co to, ty nie znasz babskich wymówek? Okres, bolący brzuch albo chociaż nasza stara, dobra przyjaciółka migrena...? A jak potrzebujesz pewniaka, to powiedz, że właśnie zdiagnozowali ci *dracunculus vulgaris*. – Zaśmiała się, widząc przerażenie na twarzy Karoliny. – Najprościej rzecz ujmując, to rozkosznie przerażająca nazwa smoczey lilii, która lubi przybierać olbrzymie rozmiary. Ale Damianek nie ma o tym bladego pojęcia i pewnie nawet nie zapyta, co to jest, bo takie puściutkie typki jak on nie pytają, tylko kiwają głowami, udając, że doskonale wiedzą, o co chodzi. Jeszcze powie, że współczuje, herbaty rumiankowej zaparzy, kocykiem okryje, a potem, że niby daje ci przestrzeń do zdrowienia, pójdzie spać do drugiego pokoju. Albo do mamusi. Bo przecież kto wie, czy to nie jakieś zaraźliwe paskudztwo i jeszcze mu coś od tego zwiędnie. – Baśka symbolicznie otrzepała dłonie i uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Proste.

– Proste? Barbaro, przerażasz mnie! – Anka wybałuszyła oczy. – Chyba zaczynam się ciebie bać.

– Najważniejsze, żeby Damianek się bał!



Wieczór w Rząsinach dziewczyny spędziły z Zosią, doskonale bawiąc się w jej towarzystwie. Ona również wybornie spędziła z nimi czas, bo odkurzyła wiele swoich ulubionych historyjek, które Kornelia, jej wnuczka, znała już na pamięć. A Zosia lubiła gawędy. I wierne grono słuchaczy.

– Moja prababcia miała trzech mężów, w tym jednego jawnie kradzionego – wyznała, kiedy siedziały na tarasie z widokiem na jezioro, poopatulane cieniutkimi i najmilszymi kocami, popijając napar z pigwy. – Bo jak się poznali, to on miał jeszcze żonę, ale to małżeństwo już na włosku wisiało i nawzajem tylko się krzywdzili. – Skubnęła bułeczkę z czarnuszką. – I co ciekawe, moja prababcia z nim była najszczęśliwsza, a potem jeszcze się okazało, że jego pierwsza żona też sobie po rozwodzie ułożyła życie i niczego jej nie brakowało. I pewnego dnia przysłała do mojej prababci z kwiatami! W podzięce! – Uśmiechnęła się i spojrzała na Ankę. – Zawsze mi powtarzała takie słowa: nie bierz się, Zosia, za kawalera, bo z żadną się dotąd nie ożenił, to i z tobą się nie ożeni. Nie kombinuj z wdowcem, bo swoją żonę do grobu wpędził, to i ciebie wpędzi. Za rozwodnikiem się nie oglądaj, bo własną żonę zostawił, to i ciebie porzuci. Ty się, Zosia, bierz za żonatego! Bo jak ze swoją żoną się ożenił, to i z tobą się ożeni, o! – Parsknęła śmiechem. – Ja tam nie mówię, że miała rację, bo z premedytacją własne szczęście budować na cudzej krzywdzie nie jest dobrze... No ale u ciebie inna historia, Aneczka, zupełnie inna. – Popatrzyła współczująco na Ankę, a potem przerzuciła wzrok na Karolinę. – Wy obie jesteście pokrzywdzone, a jedna drugiej nie robiła nic po złości. Ale – upiła łyk kompotu, a na jej twarzy pojawił się łobuzerski uśmiech – obrotny chłopak z tego Damianka Karolka, nie inaczej! Dwie takie ładne i bystre dziewczyny omotać...

W jej szarych oczach błysnęła ironia, a Baśka na ten widok uśmiechnęła się znacząco do dziewczyn.

– Jedną jakoś tam zadowalał, drugą jednocześnie rozkochał. Kto by pomyślał, że tyle talentów kryje się w jednym maleńkim... – Zosia zawiesiła głos – chłopczyku – dokończyła nie bez złośliwości. – A tam, gdzie wy mieszkacie... Czy wy tam jakiś las macie? Jakaś gęstwinę?

– Coś by się znalazło. – Anka zastanowiła się przez moment. – I tak sobie myślę, że natchnęłaś mnie, Zosiu, bo jakby tak tego jednego maleńkiego... chłopczyka – wszystkie parsknęły śmiechem – wywieźć gdzieś w głąb lasu, bez okruszków w kieszeni, i zostawić...

– No! I teraz mówisz jak wojowniczką! – Zosia klepnęła się w udo. – I mnie też przed chwilą podobny pomysł w głowie zaświtał. Bo umówmy się, taki Damianek Karolek to jednak skarb! A co się robi ze skarbami? – Popatrzyła na dziewczyny. – No przecież, że się zakopuje! A ja przypadkiem mam w piwniczce szpadel i gaszone wapno...



Kiedy następnego poranka Inga, Anka i Karolina smacznie spały w swoich łóżkach, Barbara z Zosią wybrały się na wspólne oglądanie wschodu słońca. Siedziały po turecku na pomoście, wtapiając się w otoczenie, nasłuchując szuwarowych śpiewów, jeziornych plusków i wyczekując rześkich muśnięć wiatru. Wpatrzone w lekko kołyszące się szczyty drzew, rozmawiały niemal szeptem, bo udzieliła im się spokojna aura poranka.

– Być może to mój ostatni wschód słońca – stwierdziła Zosia, a Barbara natychmiast zgromiła ją wzrokiem. – No, nie patrz tak na mnie. Nie mówię, że dostałam jakieś zaproszenie od Ostatecznego, ale pewności nie mam, że go nie wysłał. Nikt nie ma. Ani stulatak, ani młokos po dwudziestce. I dlatego mówię „być może”. Ale jeśli to by był mój ostatni wschód słońca, to odejdę szczęśliwa, bo wróciłaś.

Staruszka delikatnie poklepała Basię po kolanie i położyła głowę na jej ramieniu.

– To mój najlepszy wschód słońca od lat – wyznała.

– Naprawdę?

– No, może nie licząc tych z Olgierdem.

– Z tym Olgierdem?

Z całkiem oczywistego powodu Baśka najpierw zobaczyła miotłę, którą mu kiedyś przyłożyła w plecy, a potem, ku swojemu przerażeniu, zwizualizowała pytona, tego pytona i, jakby chciała pozbyć się tego widoku z głowy, cała się wzdrygnęła.

– Oczywiście, że z tym Olgierdem. A myślisz, że mogłabym mieć innego?

– Ja nie wiedziałam, że on... – Urwała.

– Jeszcze żyje...? – Zosia uśmiechnęła się, a w kącikach jej ust pojawiły się drobne zmarszczki. – Mimo osiemdziesiątki cały czas pracuje. Opiekuje się naszym pałacem, zależy mu, żeby go odrestaurować, pisma składa, jeździ... W sumie Olgierd ma się doskonale. Jak mawiają nasi brytyjscy przyjaciele: *never better*. A zresztą za chwilę sama będziesz się mogła o tym przekonać, bo już świta, a on zawsze o poranku przychodzi nad jezioro, żeby... – Zachichotała. – Sama zobaczysz.

Jakby na potwierdzenie słów Zosi na brzegu jeziora natychmiast zmaterializował się wysoki i postawny starszy pan z gęstą czupryną siwych włosów. Ale to nie one przykuły uwagę Basi. Niestety. Olgierd był goły. Golusienki.

– Olgierdzie! – Zosia pomachała w stronę mężczyzny, który stał z rozpostartymi ramionami, jakby witał się ze słońcem, eksponując całkiem dobrze jak na jego wiek wyrzeźbiony tors.

Joginiczny rozkrok i tatuaże na udach przedstawiające rozwarpte paszcze lwów również robiły wrażenie, a to, co między nimi... Nie, tego Barbara doprawdy nie chciała zobaczyć. A jednak zobaczyła. Po raz kolejny.

Zosia podniosła się błyskawicznie i jeszcze szybciej zrzuciła z siebie długą lnianą sukienkę, więc jedynym jej okryciem był teraz srebrny wisior na łańcuszku.

Nie zwracając już kompletnie uwagi na Basię, podbiegła żwawo do mężczyzny i uściskała go serdecznie. Barbara odwróciła wzrok; nie potrafiła tak bezkarnie się gapić po tym, co ledwo chwilę wcześniej prawie ją zabiło, ale dźwięki dochodzące z brzegu same podpowiadały jej bogatej wyobraźni obrazy. Spojrzała dopiero wtedy, gdy usłyszała plusk wody.

– Chodź, Drobinko, wykąpiesz się z nami! – Zosia zachęcająco machała w jej stronę, stojąc po pas zanurzona w wodzie. Olgierd dostojnym kraulem oddalał się niespiesznie od niewielkiej piaszczystej plaży. – Dawno nie widziałas Olgierda!

– Nie, nie! To znaczy, dzień dobry, Olgierdzie. Z kąpeli jednak nie skorzystam.

Barbara traktowała nagość jako najnormalniejszą normalność, ba! lubiła pochodzić sobie nago po domu, w jedwabnym szlafrocisku, a i wobec ewentualnych gości płci męskiej rzadko bywała pruderyjna, ale inna

sprawa, gdy chodziło o nagość przyszywanej cioci w połączeniu z nagością Olgierda, którego mogłaby nazywać przyszywanym wujkiem. To było dla niej zbyt wiele.

– Nie chcę wam przeszkadzać. Poza tym muszę obudzić dziewczyny. Przed śniadaniem chciały się wybrać na spacer – skłamała.

– No to widzimy się potem, tak?

Baśka skinęła głową, uśmiechnęła się i poszła w stronę pensjonatu. Z oddali spojrzała jeszcze na Zosię i Olgierda i na ułamek chwili, zupełnie nieoczekiwanie, poczuła tęsknotę za trwałym uczuciem, za kimś, kto nie będzie na jeden raz czy miesiąc, a pozostanie z nią znacznie dłużej. W tamtej chwili zapragnęła mieć u swojego boku kogoś takiego jak Olgierd (tylko, rzecz jasna, znacznie młodszego!). Ale to była krótka chwila, bardzo krótka, bo potem niespodziewanie przyszła wiadomość od Siergieja i zamiast przeczytać jej treść („Basunia, nie nerwuj się, wsjo w pariadkie. Kasa jest, łańcuch tożę. Ja czekaju ciebie”), Baśka zwizualizowała jędrne pośladki Siergieja, okazałych rozmiarów bicepsy, brzuch z sześciopakiem, jakiego nie powstydziliby się sam Schwarzenegger u szczytu formy, i... Nie, nie, innych walorów ciała nie zdążyła już zwizualizować, bo z radosnym powitaniem przybiegł do niej wioskowy złodziejasek Jaskier. A jedynym, co potrafiło ją odciągnąć od boskich mężczyzn, nawet tych zaledwie wizualizowanych, były szczekające czworonogi.



W obliczu wysłanej przez Siergieja pysznej wiadomości, na którą Inga zareagowała entuzjastycznym piśnięciem, śniadanie wydało się dziewczynom jeszcze pyszniejsze.

– Powiem wam – Anka zdążyła przełknąć ostatni kęs rumianej chałki hojnie okraszonej masłem i konfiturą z truskawek – że choć jeszcze wczoraj o Rząsinach myślałam jedynie w kategoriach mordu i zbrodni, to dziś jestem skłonna przyznać, że spędziłam tu całkiem przyjemny czas.

– Ja też – dodała Inga, która wyjątkowo dobrze i długo spała, a rano Barbara musiała ją wręcz zmusić do porzucenia pościeli, bo z własnej woli za nic w świecie nie zwlokłaby się z mięciutkiego łóżka. – I miałam jakieś miłe sny, a od tej akcji z Olivierem to kiepsko u mnie ze spaniem bywało.

– Ale meksykański crepesik to już przeszłość, więc od dziś możesz w ogóle nie myśleć o przykrościach z jego strony, tylko o przyjemnościach. O ile mi wiadomo, było ich całkiem sporo, prawda?

Inga nie odpowiedziała, ale znacząco się uśmiechnęła, a potem ukryła rumieniec za kubkiem z poranną kawą.

– Ja myślałam – odezwała się po chwili Karolina, która siedziała na skraju stołu zgarbiona, ze zwieszonymi ramionami i ustami wygiętymi w smutny rogalik – że po tym, jak Karol sobie poszedł, to będzie najgorszy weekend w moim życiu, ale dzięki wam wcale nie był aż taki... Chociaż... – Urwała, a z oczu znowu popłynęły jej łzy. – Zaraz się skończy, wy pojedziecie, a ja zostanę... Samotna, z perspektywą rozstępów, puchnących kostek i... i wspomnieniem faceta, który nigdy nie powinien się w moim życiu pojawić! Co za gówno! – zaszlochała. – Przede mną najbardziej beznadziejny czas w życiu...

Inga przysiadła się do Karoliny i objęła ją ramieniem.

– Zobaczysz, że jakoś się ułoży – powiedziała miękko. – Nie będzie łatwo, ale się ułoży. Ogarniemy to. Jak tylko przyciśniemy Damianka.

– Karolka.

– Damianka Karolka – podsumowała Anka. – Pomożemy ci. Po prostu zostaw to nam i zajmij się sobą. Bo teraz najważniejsi jesteście ty i twoje dziecko, a ono potrzebuje wyczillowanej mamy. Więc na razie zjedz ekojajeczka i ekotwarożek i napij się kompociku, bo ma mnóstwo witamin.

Karolina dokończyła bułkę, chapsnęła solidny kawał twarogu, siorbnęła łyk kompotu, a potem jeszcze jeden i kolejny, aż szklanka zrobiła się pusta. Z brzękiem odstawiła ją na stolik i przytuliła jedną z miękkich poduszek.

– Tak sobie teraz myślę... – powiedziała, jeszcze pociągając nosem, kiedy dziewczyny omówiły szczegółowo plan zemsty na Damianku. – Wy to macie takie skille, że powinnyście założyć jakąś agencję detektywistyczną. Albo grupę wsparcia, nie wiem. Dla tych wszystkich babek wytrypanych przez facetów. Żeby je jakoś chronić, ostrzegać, być ich podporą.

Baśka uważnie spojrzała na Karolinę i zrobiła pytającą minę.

– Naprawdę tak uważam. Jesteście niesamowite. Tak szybko wszystko zaplanowałyście i to, co mówicie, ten cały plan, on wydaje się taki sensowny, do rzeczy. – Znowu pociągnęła nosem. – Gdyby nie wy, byłabym w rozpacz. Przecież zostaję sama z dzieckiem i... i ta myśl... I serio, nie mam błędnego pojęcia, jak by się ta noc dla mnie zakończyła. Dzięki wam już prawie mi się wydaje, że może jednak jakoś to będzie... Więc tak całkiem serio pomyślcie o jakiejś agencji.

– Nie o agencji... Ale o portalu? Czemu nie! – stwierdziła Anka odkrywczco.

– O portalu! Tak! Takim, w którym dziewczyny mogłyby się ostrzegać przed wszystkimi palantami świata! I oszustami matrymonialnymi! – zawołała Inga.

Barbara przełknęła plasterek szynki.

– A także naciągaczami i zwykłymi padalcami, którzy za życiowy cel wzięli sobie znalezienie laski i oskubananie jej z honoru, kasy i klasy – dodała. – Oraz tymi, którzy są po prostu nudni...



Siedziały przy stole, najedzone i zamyślane, popijając herbatę, kiedy w drzwiach jadalni pojawiła się Zosia.

– No i jak, dziewczynki? – zapytała. – Gotowe na spacer?

– Pospacerujemy następnym razem – odezwała się Barbara. – Zaraz się zbieramy do domu.

– Już?! A dokąd wam się tak spieszy? Ładna pogoda jest, można nawet się w jeziorze wykąpać albo na łódki się wybrać, albo po prostu posiedzieć nad wodą i powietrza powdychać. Tam, w tym Poznaniu, to pewnie smog macie, a tu tak zdrowo.

Zostały, głównie dlatego, że Baśka, która wcześniej zaklinała się na wszystkie swoje świętości – czyli moëta, szpilki od Louboutina i niezależność – że nie zostanie tu dłużej niż dzień, teraz propozycję tę przyjęła ze szczerym zachwytem. Pragnęła spędzić z Zosią choćby i godzinę, nawet w milczeniu, ale z nią. A tak się bała wrócić do Rząsin... Przecież nie była tu... ile? Dwadzieścia lat? Mniej więcej. Bała się, że spotkanie na znie-nawidzonej ziemi wyzwoli demony, którym nigdy nie pozwoliła się ujawnić, albo, co gorsza, przywoła obrazy, które potem będą do niej powracały w sennych koszmarach. Tymczasem nic się jednak ani nie wyzwoliło, ani nie przywołało, a Barbara Kochańska opuszczała Rząsiny z poczuciem, że niedługo do nich wróci.

– Ale na pewno? – zapytała Zosia, ocierając łzy wzruszenia, kiedy się żegnały. – Na pewno przyjedziesz?

– Obiecuję. Niedługo, a wcześniej zadzwonię. Nie raz zadzwonię i będziemy gadały i gadały, i gadały. Teraz wszystko się zmieni, zobaczysz.

– Drobinko...! – Zosia użyła babcinego tonu i pogładziła Basię po policzku. – Dobrze, że jesteś!

– Ty też – odpowiedziała Basia i poczuła bolesne ukłucie.

Nie cierpiała stwierdzenia „ty też”. Wydawało jej się takie... mało zaangażowane. A teraz sama go użyła, i to nie względem kogoś, kogo chciała się pozbyć, a osoby, z którą najchętniej nigdy by się nie rozstawała.

– Dobrze, że jesteś, Zosiu – poprawiła się, wsiadła do swojego wygodnego mercedesa i ruszyły w drogę.

## Rozdział 9

*Tolerancja ma swoje granice. Nie tolerujemy gryzących swetrów, bo zostawiają nam na skórze czerwone plamy; nie tolerujemy chrupiącej pszennej bagietki, bo po jej zjedzeniu zaczyna nas boleć brzuch; nie tolerujemy pyłków traw, odkąd po jednym ze spacerów po łące dokumentnie zatkał nam się nos. Na szczęście można nie nosić wełny, ograniczyć gluten i zamiast na łąkę wybrać się na plażę. Są jednak i takie sytuacje graniczne, w których rozwiązaniem nie jest unikanie alergenu, a konfrontacja z nim. Zwłaszcza gdy owym alergenem jest facet, który nas zdradza i okłamuje.*

– Wspaniała ta twoja Zosia – stwierdziła Inga, kiedy opuszczali Rząsiny.

– Wiem. I przez te wszystkie lata nic się nie zmieniła.

– Tak w sumie to nigdy mi o niej nawet nie wspomniałaś – stwierdziła Anka. – Długo się znacie?

– Bardzo, ale dawno się nie widziałyśmy i... – Baśka nagle zaczęła intensywnie szukać playlisty na samochodowym wyświetlaczu, a Inga dostrzegła, że przyjaciółce drżą palce, jakby to pytanie wytrąciło ją z równowagi. – Zosia to moja ulubiona ciocia, ale nie mam z nią jakichś szczególnych wspomnień. Po prostu się lubimy i tyle – ucięła.

To nie zabrzmiało przekonująco. „Po prostu się lubimy”? – powtórzyła Inga w myślach, przywołując obraz Basi wtulonej w kolana starszej pani, a potem ich tęskne słowa, gesty szacunku i oddania. Zupełnie jej to nie pasowało do „po prostu się lubimy”. Już bardziej do: „kocham ją jak matkę”. Akurat na czytaniu między wierszami Inga znalazła się całkiem nieźle.

– I wiesz, to wspaniale, co zaproponowała Karolinie – powiedziała Anka.

– Tak, choć mnie to zupełnie nie zdziwiło – stwierdziła Baśka. – Zawsze była wrażliwa na problemy samotnych matek. Wielu takim dziewczynom pomogła. Karolina nabierze u niej sił, uspokoi się, poukłada myśli. Wtedy będzie jej łatwiej zacząć wszystko od nowa.

– Łatwiej to jej będzie, jak ukatrupimy Damiana – wtrąciła ponuro Inga.

– Od tego zaczniemy.



Przez resztę drogi, czyli bitych pięć godzin z przerwami na jedzenie i śpiewanie na głos piosenek Bajmu, dziewczyny omawiały plan zemsty na panu Kurskim, jak wolały teraz nazywać Damiana. Ania zadzwoniła też do Marianki, żeby streścić jej przebieg wizyty w Rząsinach i opowiedzieć o pomysły na zemstę. Oraz o portalu.

– Nie musicie mi dziesięć razy powtarzać – oznajmiła Marianka, nieco obruszona, kiedy Anka zapytała, czy siostra jej pomoże. – Zgodziłam się, zanim do mnie zadzwoniłaś. Co więcej, podpisuję się pod tym obiema rękami. A nawet czterema, bo Lutek, choć zazwyczaj trzyma sztamę z facetami, też jest za rytualnym obcięciem Damiankowi jaj.

– Kocham cię, sis! – rzuciła w odpowiedzi Anka. – I tęsknię jak diabli!

– To nie tęsknij, tylko pakuj walizkę i przyjeżdżaj, a najlepiej to przyjeżdżcie wszystkie. U nas miejsca jest pełno, a towarzystwa z Polski jak na lekarstwo. Głównie nudni i niemożliwie bogaci Amerykanie. Niby fajnie, ale ileż można.

– A przystojni chociaż?

- Co za pytanie! - zaśmiała się Marianka. - Nieprzystojnym facetom przecież wstęp wzbroniony!



Minęły już rogatki Poznania, kiedy Barbara nagle zakłęła siarczyście, a dziewczynami aż zarzuciło, gdy nacięła gwałtownie pedał hamulca, bo ktoś zajechał im drogę. A potem zajechał ją następnemu i następnemu.

- Jak jeździsz, palancie?! - wrzasnęła Baśka. - Myślisz, że jak masz bmw, to wszystko ci wolno? Gówno prawda! Wolno ci tyle samo, co jakbyś miał tico!

- Daj spokój, z idiotami nie wygrasz. - Inga próbowała ją jakoś wyciszyć, bo sama nieźle się wystraszyła.

- A udowodnić ci?

- W żadnym wypadku! Nie potrzebuję żadnych dowodów. A już na pewno nie na drodze.

- Ja też zabraniam! Mój immunitet nas nie obroni! - dodała Anka.

Inga głośno przełknęła ślinę, kiedy z głośników popłynął potężny wokal Beaty Kozidrak zagrzewający do boju: „Jesteś sterem, białym żołnierzem. Nosisz spodnie, więc walcz!”. Za nic w świecie nie chciała, by Barbara cokolwiek komukolwiek udawadniała, mimo że siedziała za sterem. W pamięci miała wciąż żywy obraz nowojorskich rajdów swojego byłego męża, kiedy po pijaku zmuszał ją, by wsiadała z nim do auta, a potem gnał przed siebie, mając głęboko w dupie to, że mogą zginąć. A może chciał, żeby skończyli na jakimś słupie...? Raz przecież prawie tak się stało.

- Proszę cię, nie goń go. Na takich nic nie poradzisz! A jak chcesz, możemy zadzwonić na policję...

Barbara znacząco mruknęła i płynnym manewrem, nie łamiąc przepisów, wyprzedziła najpierw jeden samochód, potem drugi, po czym znów znalazła się za czarnym bmw. Wyłączyła muzykę. Palcem wskazała samochód. Na jego tylnej szybie znajdowała się elegancka czarno-złota naklejka z numerem telefonu i informacją „Sprzedam”.

- Wklep mi ten numer - rzuciła do Anki.

Po chwili w głośnikach rozbrzmiał sygnał oczekiwania na połączenie, a zaraz po nim odezwał się męski głos.

- Jarosław Haber, słucham?

Anka niemal się zapowietrzyła i zrobiła wielkie oczy.

- Dobry wieczór, panie Haber. - Barbara użyła swego anielskiego głosu. - Mam dla pana wiadomość od Piotra. Tego Piotra.

- Tego Piotra? - Mężczyzna nie zrozumiał, o kim mowa.

- Już tłumaczę. - Barbara uśmiechnęła się zjadliwie. - No bo widzi pan... Piotr właśnie dał mi znać, że jest pan w Poznaniu, na ulicy Głogowskiej. Czy to się zgadza?

- Tak - odpowiedział Haber po krótkim milczeniu.

- A to dobrze, dobrze. I ten sam Piotr powiedział, że jedzie pan czarnym bmw M8 gran coupé. Czy to się zgadza? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: - Choć może niezbyt precyzyjnie się wysłowiłam. Otóż Piotr nie powiedział, że pan jedzie, panie Haber, tylko że pan zapierdala. Czy to prawda?

Mężczyzna przez chwilę milczał, oddychając głośno, jakby rozważał, co powinien odpowiedzieć. Anka złapała Baśkę za rękę, a potem wykonała nerwowy gest, którego przyjaciółka jednak nie pojęła.

- To jakiś wkręt? Jestem na antenie radiowej, tak? - odezwał się w końcu Haber, a w jego głosie dało się słyszeć gniew.

- Och, panie Haber, ja doskonale rozumiem, jak to brzmi! - zaszczebiotała Barbara. - Ale nie jest to żaden wkręt, proszę pana. Nie jest pan na antenie, choć być może, jeśli za chwilę skręci pan w prawo, w... proszę poczekać, wgrzywam pana mapę... w Kanałową, nie zdejmując nogi z pedału gazu, to znajdzie się pan na ustach wszystkich stacji radiowych, a może i telewizyjnych. Bo najprawdopodobniej wyjebie pan w kanał,



bynajmniej nie w przenośni. Piotr prosił nawet uniżenie, żeby dla pewności pan nieco przyspieszył. Osobiście zalecam, gdyż Święty Piotr już na pana czeka...

W tej chwili Haber rozłączył się, a Barbara swoim zwyczajnym głosem dodała:

– ...On i niepełny tuzin jego kolegów po fachu. Każdego dnia czekają na takich idiotów i pustaków jak pan, panie Haber.

Po dosłownie dwóch sekundach milczenia Inga ryknęła śmiechem, a Barbara do niej dołączyła. Tylko Anka siedziała jak wryta i wgapiła się przed siebie, w znikające za zakrętem czarne bmw.

– Czy ty wiesz, kto to był? – zapytała po chwili, w której rehot dziewczyn mieszał się ze słowami podziwu nad aktorskim talentem Barbary.

– *Have no idea!* – Baśka wyszczerzyła zęby. – Palant jakiś. Idiota. Przecież widziałaś.

– Tak, ale on się przedstawił. Jarosław Haber. – Dwa ostatnie słowa z trudem wydostały się z ust Anki.

Przyjaciółka w sekundę spoważniała.

– Znasz go?

– Tak. Może nie powinnam wam o tym mówić, ale... Pamiętacie, jak opowiadałam wam o znęcaniu, którego przesłuchiwałam i przez którego prawie, podkreślam: prawie, wyleciałam z prokuratury?

– Chyba żartujesz. To był ten galancik od Louisa Vuittona, na którego wylałaś kawę? – Inga od razu skojarzyła fakty.

– Ten sam. Ten, który tak sprzął swoją żonę, że ani trochę nie przypominała sławnej piękności.

Z ust Barbary wydobyło się ciche przekleństwo. Inga milczała, wstrząśnięta, mocniej wciskając się w siedzenie i obejmując ramionami. W jednej chwili rozboleło ją całe ciało, każda jego komórka. W mercedesie, w którym jeszcze przed momentem wrzało od śmiechu i słów uniesienia, atmosfera zgęstniała i znienacka, niczym niechciana chmura burzowa, pojawiło się zażenowanie. Ale od czego w takich sytuacjach była Barbara? Jak nikt inny potrafiła rozganiać wszelkie chmury i zmuszać słońce, by prażyło.

– Okej, rozumiem, że ten facet to gnojek pierwsza klasa, ale przynajmniej, że i ja z klasą się po nim przejechałam.

Anka uśmiechnęła się pod nosem.

– I to z zajebistą klasą! – kontynuowała Barbara, wyraźnie z siebie zadowolona. – Nie co dzień powołuję się na znajomość z samym Świętym Piotrem! Myślę, że ten Haber jest w szoku i jeszcze długo będzie.

– Mam nadzieję, choć do takich jak on niewiele dociera – odparła Anka. – Ale muszę przyznać, że zrobiłaś go po mistrzowsku.

„God bless Barbara!”, można by rzec. Nawiasem mówiąc, jeśli Ostateczny maczał palce w jej tworzeniu, to trzeba mu oddać, że się postarał. I nie zaliczył przy tym żadnej wpadki.



Anka po tym, jak Damian napisał jej nader romantycznego esemesa w radosnym tonie: „Wróciłem wcześniej. Kup po drodze jakieś żarcie, może tę pizzę z Malty”, postanowiła, że jakoś znieśie wspólny niedzielny wieczór, choćby po to, by nie wzbudzać w Damianie niepotrzebnych podejrzeń. Jej obawy okazały się jednakże bezzasadne, bo nawet gdyby została porwana przez statek UFO pełen przystojnych kosmitów, to pan Kurski i tak nie przyszedłby z odsieczą, jako że niewzruszenie i niemal do północy zajęty był jakąś strzelanką i tylko coś mruknął pod nosem, gdy postawiła przed nim pizzę. Potem, i owszem, wlaź do ich sypialnianego łóżka, ale nawet przez myśl mu nie przeszło rozpocząć miłosne harce. Przyłożył głowę do poduszki i po kilkunastu sekundach zasnął, oznajmiając to przeciągłym i donośnym chrapaniem. Anka czuła wstręt już na samą myśl o tym, że musi leżeć na tym samym prześcieradle co on, i najchętniej zbudowałaby między nimi ścianę z poduszek, gdyby nie fakt, że Damianek miał nawyk zagarniania nie tylko własnej poduszki, ale i tej należącej do Anki.



„Śpi sobie w najlepsze, jakby nic się nie stało... – burczała w myślach Anka, stukając wściekle wiadomość na bejbesowym czacie – jakby nikomu życia nie spieszyło. Damianek. Karolek. Chujek”.

„Chujek i tyle!” – odpisały jej niemal równocześnie Baśka i Inga.

Tamtej nocy w tym słowie była chyba zawarta jakaś niezwykła magia, bo kiedy Anka wypowiedziała je w myślach nie raz i nie dwa, a wiele, naprawdę wiele razy, poczuła niemożliwą wręcz ulgę. A potem ogarnął ją spokój, który sprawił, że mimo przeciągłego chrapania dobiegającego z drugiej strony łóżka i ogarniających jej ciało dreszczy obrzydzenia, zasnęła.

Kiedy obudziła się rano, o morderczej godzinie szóstej, Damian krzątał się w kuchni. Była tym absolutnie zaskoczona, bo niezwykle rzadko to robił, a już nigdy w poniedziałki. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy na stoliku w salonie dostrzegła przygotowaną dla niej owsiankę, na dodatek ze świeżymi truskawkami.

– Coś się stało? – zapytała kąśliwie. – Mamy jakąś rocznicę? Urodziny?

Damian zaśmiał się słodko, a w Ance uaktywnił się odruch wymiotny.

– Nie. – Podszedł do niej i pocałował ją w kark. – To z miłości, skarbie. I... I... tak w ogóle to wspaniale wyglądasz!

– Ulala! – wypluła z siebie Anka i natychmiast ugryzła się w język, bo w chwili słabości (a taka właśnie nastąpiła) Baśka i Marianka kazały jej właśnie tak wołać. Zdecydowanie lepsze było przecież „ulala” niż coś w rodzaju: „Och, doprawdy, ty pieprzony ludziku szastający zdradzieckim nasieniem w obcych cipkach?!”.

Pospiesznie zjadła śniadanie i nie wchodząc z Damianem w głębszą konwersację (dwukrotnie powiedziała „ulala”, raz „aha”, a poza tym wydała z siebie naprawdę przesadną liczbę pomruków), wypadła z mieszkania jak oparzona, zapominając nawet o kosmetyczce z akcesoriami do makijażu. O jej braku zorientowałyby się zapewne dopiero podczas pierwszego pobytu w łazience, ale traf chciał, że w windzie natknęła się na wszechwidzącego Starego, który przywitał się z nią krótkim, acz znamionym: „Mój Boże, Krauze, zróbże coś ze sobą, bo aresztantów wystraszysz”. Nie zamierzała mu niczego wyjaśniać, więc pociągnawszy wargi ognistej czerwonej szminką, którą miała w każdej torebce na wypadek nagłych sytuacji, powędrowała przesłuchiwać tych i owych.

Robotę opuściła o czternastej, pokrętnie tłumacząc się Zenkowi Łągiewce sprawami na mieście.

– Aneczko, a czy ja pytam? – Zenek podniósł wzrok znad sterty papierzyk. – Czy dociekam, co z tą przyjemnie wyglądającą blondyneczką w sukience koloru butelki heinekena zamierzasz dziś robić? – Odruchowo spojrzął w okno, a Anka za nim.

Inga, tak jak się umówiły, czekała na nią przy samochodzie. W zielonej sukience.

– Nie pytam i nie dociekam – kontynuował tymczasem Zenek. – Mój doświadczony nos podpowiada mi jednak – kącik jego ust delikatnie drgnął – że planujecie posiekać twojego faceta na plasterki, bo zważywszy na twój dzisiejszy nastrój, ostro sobie na to zasłużył. Tylko zważ na alibi. Jakies paragony z Zary, bilety z parkomatu, coś na ten przykład. Tak żebym nie miał nieprzyjemności kierować do was zaproszeń na małe tête-à-tête w naszym ponurym pokoiku zwierzeń. No! – Odesłał ją ruchem ręki. – Leć, dziewczyno. Fabryka się bez ciebie nie zawali. Do jutra!

Anka opuszczała pokój starszego kolegi, zachodząc w głowę, w jaki sposób Zenek nauczył się czytać w jej myślach. Był fantastycznym prokuratorem i świetnym kumplem. Uwielbiała go za to poczucie humoru, dystans i absolutny spokój. Był najgenialniejszym mężczyzną w słusznym wieku, z jakim kiedykolwiek przyszło jej współpracować.



Inga stała przed autem i przeglądała telefon, próbując skupić myśli na nieistotnych plotkach ze świata pisarzy celebrytów. Kiedy Anka do niej podeszła, nie potrafiła jednak ukryć zdenerwowania.

– I jak? Co tam? Jak u ciebie?

– W robocie w porządku. – Ania cmoknęła przyjaciółkę w policzek. – A tak to... Rano pan Kurski miał jakiś napad i wykonywał niepokojąco opiekuńcze ruchy w moim kierunku, ale zwałam. Jedźmy, mamy mało czasu. Księżę wróci do domu w okolicach piątej. Z jakąś chińszczyzną.

Inga zerknęła na zegarek, choć doskonale zdawała sobie sprawę, która była godzina, i stwierdziła:

– Zdamy.

Anka zaparkowała przed klubem, poczyniła z Ingą ostatnie ustalenia, po czym oddała przyjaciółce kluczyki do samochodu i poszła do fryzjera naprzeciwko.

Inga stanęła przed wejściem z różowitkim ledowym napisem Facetom Wstęp Wzbroniony, czując, jak przyspiesza jej puls. Była potwornie zdenerwowana. Nie codziennie przecież robiła coś, za co groziły paragrafy. Wzięła kilka głębokich wdechów i weszła do środka. Tuż za progiem przywitał ją Siergiej. Ubrany „po cywilnemu”, w dżinsy i biały tiszert, a nie jak zwykle w czarny gajer, wyglądał jak normalny, nierzucający się w oczy facet. No, może nie tak do końca, bo odrobinę za dużo czasu spędził na siłce.

Skinął do niej głową, uśmiechnął się kącikiem ust, po czym uściskiem dłoni pożegnał się ze zmiennikiem i wyszli. Nie powiedział ani słowa, ale Inga była przygotowana na jego małomówność. Wiedziała, że Siergiej może mało mówić, za to dużo robi. Zasadniczo czuła się komfortowo z tym jego milczeniem. Gaduły w takich napiętych okolicznościach zdecydowanie nie potrzebowała.

– Ja poprowadzę. Basia mówiła, że nie masz prawa jazdy.

– Basjunia wie najlepsze.

Usiadła za kierownicą, rozważając, czy już teraz powinna zapytać o pieniądze i łańcuszek, które odzyskał od Oliviera, czy jeszcze poczekać. „Teraz czy potem? Teraz czy potem?” – kołatało się w jej głowie. Dla kurażu włączyła radio, bo miała wrażenie, że w całym kokpicie słychać było bicie jej serca. Siergiej spojrzał na nią uważnie i jakby podsłuchał jej myśli, bo z tylnej kieszeni spodni wyjął grubą kopertę przewiązaną gumką i bez słowa podał ją Indze.

– Dziękuję – powiedziała. – Bardzo to doceniam. Rozumiem, że swój procent wzięłeś?

– Da, spasiba. Prosta rabota.

– A Olivier? – spytała niepewnie. – Nic...? Nic mu nie jest?

Siergiej ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Nie nerwuj się. Wsjo w pariadkie – powiedział jakoś tak przerażająco mrocznie, że aż przelknęła ślinę, a oczami wyobraźni zobaczyła połamane ręce swego jednonocnego wyskoku.

Pogłośniła radio i ruszyła. Odezwała się, dopiero kiedy znaleźli się przy bloku Ani.

– Damian ma być przed siedemnastą. Zdamy?

Siergiej skinął potakująco.

– Pamiętasz plan czy coś ci powtórzyć?

Mężczyzna zmroził ją spojrzeniem, więc zrozumiała, że najwyraźniej odpowiedź była twierdząca: wszystko miał w głowie. Przekazała mu klucze i ciężko westchnęła.

– Nie nerwuj się – powtórzył spokojnie. – To dla mnie nie pierwszy raz. – Napiął biceps i z namaszczeniem go cmoknął.

„I w tym problem, Siergiej. I w tym problem...” – jęknęła w myślach Inga, odprowadzając go wzrokiem.

## Rozdział 10

*Nigdy nie wiesz, kiedy przyjdzie ci odegrać najtrudniejszą rolę w spektaklu życia. Kiedy ty – nieśmiała i eteryczna – zostaniesz zmuszona, by założyć maskę hetery, heroiny lub harpii, z którymi na co dzień nie masz nic wspólnego. Albo gdy ciebie – pewną siebie i mocno stąpającą po ziemi – los zaprzęgnie do przywdziania sukienki rusałki, która jest twoim charakterologicznym przeciwnym biegunem. Ale od czego są przyjaciółki – nasz drugi mózg – które pomogą obmyślić scenariusz, dopiszą didaskalia i niczym antyczny chór będą nam towarzyszyły w najtrudniejszych momentach przedstawienia?*

Prokuratorka Anna Krauze w szalowo odświeżonej fryzurze weszła do swojego mieszkania dokładnie o siedemnastej dwie. Serce miała w gardle, a w głowie myślowy kocioł, ale nikt by tego po niej nie poznał, bo przybrała swoją drugą twarz, zimnej, stanowczej i zdecydowanej Procy. Od progu powitał ją przyjemny zapach chińszczyzny i strumień bliżej nieokreślonych dźwięków dobiegający zza przymkniętych drzwi do dużego pokoju. Dla niepoznaki z łoskotem porzuciła w przedpokoju torebkę i buty i wbiegła do środka. Widok, jaki zastała, wzbudził w niej przepotężną wesołość i gdyby cały misterny plan nie miał przez to wziąć w łeb, wybuchnęłaby szczerym i ożywym śmiechem. Musiała jednak odegrać swoją rolę, więc z bezbrzeżnym zdumieniem, za które mogłaby dostać Oscara, wyszeptła nabożnie:

– Jezusie Nazareński, a tu co się wydarzyło?

Damian, upadłszy na klęczki u stóp swego wielkiego regału, zalewał się rzewnymi łzami, wyjąc przy tym niczym ranny zwierz. W końcu, wyraźnie ostatkiem sił, uniósł na Ankę załzawione spojrzenie, a potem z trudem wydukał:

– Za-za-za... zajebali mi... Zajebali wszystkie moje he-hełmy, miee-ecze i... i... fi-fi-figurki. Moo-ooje wszystko. Wszy-wszy-hyyy-stko!

Anka rzuciła okiem na pusty, puściuteńki regał i z samej głębi jej czarniutkiego mściwego serca wyrwało się pełne satysfakcji: *Oh yeah!*. Zachowując kamienną twarz, uklękła obok Damiana i z udawanym współczuciem pogładziła go po ramieniu. On, ukrywając twarz w dłoniach, wybąkał z trudem:

– Moooje życie straciło, kurwa, see-eens. Nie mam juuuuż ni-ni-nic. Za jakie grzeeechy?

„Ano za złamanie szóstego przykazania, ciulu jeden! Za ciężkie grzechy cudzołóstwa! Dokładnie za takie grzechy!” – rzuciła w myślach Anka, a na głos powiedziała:

– Taaak, rozumiem, biedaku. – Żałosny ton głosu przychodził jej z trudem, ale Damian, kompletnie zaślepiiony własnym nieszczęściem i łzami, nie dosłyszał nuty fałszu. – Ale słuchaj! – Klepnęła się w udo, jakby nagle wpadła na genialny pomysł. – To może ja zadzwonię po twojego wujka! Przecież on nam pomoże. W końcu jest policjantem.

Damian odjął ręce od twarzy i spojrzał na Ankę z uwagą. Wstał, wyprostował się, wziął kilka, może kilkanaście głębokich wdechów i przerzucił wzrok to na Ankę, to na regał, jakby ważył, co by tutaj powiedzieć, jak wybrnąć z niezręczności. Anka skonstatowała, że nie wiedział przecież, że ona wie o tym, o czym według jego wiedzy nie wiedziała i o czym nikt, poza nim, wiedzieć nie powinien. A ona wiedziała, i to od dawna. Wiedziała, że on ten regał ukrywał przed swoją matką. To znaczy nie tyle ukrywał, ile przekonywał królową Irenkę, że imponująca kolekcja plastiku jest warta tyle, co nic. „To wszystko z chipsów” – twierdził, a matka, choć niezadowolona, że jej synuś je, jak mawiała, „takie świństwa”, przyjmowała to do wiadomości. Gdyby wuj Mirek poznał prawdę (a wezwanie policji w oczach Damianka było jednoznaczne z wezwaniem wujka Mirka), Damianek miałby przechłapanie u mamusi. Bo jako posłuszny syn najbardziej na świecie bał się gniewu Ireny Kurskiej.

- Nie! - rzucił zasadniczo. - Nie będziemy dzwonić po wujka Mirka!
- Ale przecież wydałeś na to fortunę! - Anka grała nieugięta. - Nie ma mowy, to trzeba zgłosić.
- Nie zgadzam się! Żadnego wujka, żadnej policji!

Damian zachowywał się dokładnie, jak przewidziały dziewczyny. Wuj Mirek był naczelnym plotkarzem w rodzinie i działał niczym kanał informacyjny online - nadawał na żywo. A Damian zapewne wizualizował już sobie gniew matki i pełne politowania spojrzenia dalszych krewnych, którzy na wszelkich spotkaniach będą szeptali między sobą o niefrasobliwej rozrzutności i według nich dziecinnej pasji pupilka Irenki. „Patrz, jak go rozpuściła. I teraz ma!” - tak będą szeptali, złośliwcy...

Anka na tę myśl parsknęła w duchu, po czym wstała i perfekcyjnie grając swoją rolę, drążyła:

- Damian, ale skoro twoje życie straciło sens, to nie uważasz, że należałoby zrobić wszystko, aby ten sens odzyskać?

- Tak, oczywiście... - zająknął się. - Ale... nie. Nie wszystko. To znaczy wszystko poza wujkiem Mirkiem. I policją.

Ania z mistrzowskim ubolewaniem pokręciła głową.

- Wiem, że masz alergię na policjantów, że nie przepadasz za wujkiem. Ale Damian! Tu chodzi o kradzież twojej kolekcji. A wujek komendant na pewno by pomógł. Nawet nie musisz z nim gadać, sama zadzwonię. Tylko podaj mi numer.

Damian ani drgnął.

- Jak chcesz. - Anka westchnęła i wyjęła komórkę. - Dzwonię zatem na policję. W końcu mam znajomości.

- Nie! - sprzeciwił się Damian z taką stanowczością, jakiej Anka w jego głosie nigdy nie słyszała. - Zadzwońisz do nich, a on się dowie. Nie. Nie ma mowy.

Podszedł do niej, zabrał z jej ręki telefon i położył go na stoliku, po czym utkwiał wzrok w regale. Tym samym, który jeszcze o poranku napawał go dumą największą, najgłębszą i jedyną na świecie, a teraz stał się jego osobistą ścianą rozpaczki.

Trwał tak bez ruchu, a potem nagle drgnął i zaczął wydawać z siebie jęklive dźwięki, które w końcu przybrały kształt soczystych, acz pełnych bólu przekleństw.

- Kurwa mać... - powiedział żałośnie. - Wszystko, wszystko zajebali skurwiele... - Pociągnął nosem. - Mogli coś zostawić. Chociaż Leię albo Dartha Vadera z wysuwającym mieczem od Kennera. Chociaż to mogli... Kurwa mać...!

Anka przełknęła ślinę, by zmusić się do okazania współczucia (Marianka jej przykazała, że choćby nie wiem co, ma mu współczucie okazać, a na głupie pytanie Anki, czy i w tym przypadku „ulala” nie wystarczy, popukała się palcem w czoło). Teraz więc Anka ponownie pogładziła Damiana po ramieniu.

- Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz tego zgłosić - zaczęła dociekać, dokładnie jak było w planie. - Mając tak bogatą kolekcję, wartą... Ile?

- Jakies sześćdziesiąt dwa tysiące, może sześćdziesiąt dwa pięćset.

- A zatem mając kolekcję wartą jakies sześćdziesiąt dwa tysiące pięćset...

- Dolarów - dodał Damian, a Ance zrobiło się gorąco, bo kompletnie nie miała pojęcia, że regał mógł być wart taką cholerną kupę kasy.

- Dolarów - powtórzyła, mieląc w ustach tę informację. - No więc mając taką kolekcję, ja na twoim miejscu polecałabym na policję i zgłosiła kradzież z włamaniem, nawet gdyby tą sprawą miał się zająć mój znie-nawidzony wujek.

Damian spuścił głowę.

- Nie draż temat - bąknął. - Nie będzie żadnego zgłoszenia.

- Hmm... - westchnęła teatralnie Anka. - Skoro tak stawiasz sprawę... Ale... - Zawiesiła głos.

Oto nadszedł czas na wprowadzenie następnego punktu. Z solidnym przytupem.

– Skoro to było włamanie... – powiedziała powoli. – To co z drzwiami? Przecież jak wchodziłam, wyglądały normalnie, a wcześniej? Jak to było, kiedy ty wchodziłeś? Co z zamkiem?

Damian stropił się i spuścił wzrok.

– To moja wina... – Nerwowo podrapał się po głowie. – Najwyraźniej nie zamknąłem drzwi. Kiedy wróciłem, były otwarte.

– Na oścież?

– Nie, skąd. Ale... Musiałem zapomnieć o zamknięciu ich rano na klucz.

– Znowu? Damian! Przecież ja mam tu wszystko!

– Wszystko? Wszystko?! – Wybałuszył na nią oczy. – Twoje wszystko to nic w porównaniu z moim! – Głos mu zadrżał, a Anka w duchu prawie popłakała się ze śmiechu. – Twoje wszystko to raptem parę książek i dwa złote pierścionki, stare jak świat, a moje wszystko to... To jest prawdziwa fortuna, która właśnie przepadła.

Damian bezsilnie opadł na krzesło. Wyglądał żałośnie i przez króciutki, króciusienki moment Anka naprawdę nie musiała grać litości, bo prawdziwie ją poczuła. Zaraz potem jednak doszła do głosu zimna Proca.

– Zjemy? – zapytała, wskazując kubelki z chińszczyzną. – Może jak zjesz, zmienisz zdanie względem polacji, Damian. To trzeba zgłosić.

Damian pokręcił głową, wstał i wyszedł z pokoju.

– Muszę się przejść, bo zwariuję. Może poszłabyś ze mną? Proszę...

– Idź sam – odparła zimno. – Ja jestem niemożliwie głodna.

– Aha – bąknął jedynie, a ona w napięciu czekała, aż zamknie za sobą drzwi.

A kiedy już wyjrzała przez okno, by się upewnić, że wychodzi z klatki, zerwała się, by zadzwonić do dziewczyn i opowiedzieć im wszystko, absolutnie wszystko. Oh yeah! – to było cudownie uwalniające uczucie.



– To teraz przechodzimy do kolejnego punktu – stwierdziła Marianka, której twarz wręcz promieniała, kiedy jej siostra na wideokonferencji zrelacjonowała wydarzenia popołudnia. – Pan Kurski dostanie największą lekcję życia, której na dodatek nigdy nie zapomni.

– Nigdy! – powtórzyła Barbara. – Zdecydowanie nigdy!

– A ty się od niego uwolnisz! – dodała Inga. – I choć z doświadczenia wiem, że zapomnieć nie będzie tak łatwo, jak się może wydawać, to z czasem się uda.

– Jestem gotowa jak nigdy!

Anka rzeczywiście była gotowa i trwała dzielnie na miejscu niczym żona marynarza. Ale Damian nie wracał. Nie było go ani po godzinie, ani po dwóch. Wobec takich okoliczności zaczęła już nawet myśleć, że mógł sobie coś zrobić, ale szybko wykluczyła tę ewentualność, bo przecież Damian najbardziej na świecie kochał siebie (choć do niedawna równie mocno kolekcję figurek, mieczy i tych, no, hełmów). Uznała więc, że najprawdopodobniej pojechał do swojego biura, by przytulić jedyną ocalałą figurkę, którą trzymał w szufladzie pod kluczem. I kiedy tak rozważała, dokąd go poniosło i co by tu zrobić, żeby przyciągnąć go z powrotem do domu (następny punkt planu czekał przecież na realizację), zadzwonił jej telefon.

– No ale jak ty mogłaś pozwolić, żeby on wyszedł z domu w takim stanie? Czy ty nie widziałaś, jak on wygląda?

Anka nawet nie zdążyła powiedzieć „halo”, gdy w słuchawce rozległ się pełen wyrzutu głos Ireny Kurskiej, matki Damiana Karola Kurskiego vel Chujka.

– Zdrowego oddałam w twoje ręce, z wigorem, promiennego. Tyle marzeń miał, tyle planów! A chwilę temu kto stanął w moich drzwiach? Złamany życiem, oszukany przez los, porzucony przez kobietę, której oddał serce – biadoliła Kurska. – Ja się ciebie pytam, gdzie jest mój synek i co z nim zrobiłaś! To wszystko przez ciebie!

– Przeze mnie? – zdziwiła się uprzejmie Anka. – Ale jak to przeze mnie?

Irena Kurska aż zasyczała z oburzenia.

– A tak to! Co z ciebie za narzeczona, skoro w takiej rozpaczy wypuściłaś go z mieszkania! A on przecież błagał, żebyś z nim poszła! Żebyś mu pocieszeniem była! Przecież powinnaś! To twój obowiązek jako przyszłej żony. Wiem, że ty z domu tego nie wyniosłaś, ale przecież ja nie raz ci o tym mówiłam, nie raz! Tłumaczyłam ci, na czym polega prawdziwa rola kobiety, żony, matki...

W Ance powoli zaczynało się gotować.

– I... I nie rozumiem, jak mogłaś być taka bez serca, samego go puścić! – krzyknęła królowa Irena już prawie z płaczem.

– Bo jest dorosły?

– Zaraz dorosły! Przecież żaden facet nie jest doroślejszy od najmniej dorosłej kobiety! Oni wszyscy są jak dzieci, o nich trzeba się troszczyć w wyjątkowy sposób. A kto ma to robić, jak nie my? Taka nasza rola, Anno. Ale może ty jeszcze do niej nie dorosłaś, nikt cię jej nie nauczył, to i skąd masz cokolwiek o dbaniu o mężczyznę wiedzieć, skoro ta twoja matka od świtu do nocy dyżur za dyżurem w szpitalu, ojciec profesor na uczelni, więc głowę zajęta ważnymi sprawami miał, a ona pewnie kanapki mu nawet nie zrobiła. No a jak o męża zadbać nie umiała, to i dziecko puszczone samopas, i nic dziwnego, że ty nienauczona jesteś dbać o ciepło domowego ogniska i mężczyznę. No bo skąd ty miałaś czerpać wzorce, no skąd, jak ty i mnie nigdy nie słuchałaś... Żadnej dobrej rady nie przyjmowałaś. Brak pokory i potem te związki tak się rozpadają! Przez brak kobiecej pokory! – Matka Damianka zapowietrzyła się i musiała złapać oddech. – Zatem – kontynuowała już z lekką chrypką – informuję cię, Anno, że twój przyszły mąż jest u mnie i masz tu zaraz przyjechać go pocieszyć i załagodzić całą tę niezręczność. Bo on nic mi powiedzieć nie chce i cierpi!

Anka była o krok od wybuchu – nie wiedziała tylko, czy bardziej chciało jej się śmiać, czy przeklinać. Nigdy nie lubiła królowej Irenki, a teraz prawdziwie jej nie cierpiała i miała, naprawdę miała chęć wypluć z siebie wiązanek kilku soczystych i kąśliwych słów – tak żeby Irenie Kurskiej w pięty poszło. Mając jednak z tyłu głowy kolejny punkt planu, musiała ugryźć się w język i jakoś udobruchać urażoną do żywego niedoszłą teściową.

– Tak, rozumiem, że on cierpi – zaczęła powoli. – Ja też...

– Aha.

– I żałuję, że nie poszłam z nim.

– Aha.

– Ale niestety nie mogę po niego przyjechać – udała głęboki żal – bo mam dyżur i dosłownie przed momentem zostałam wezwana do prokuratury. – Odchrząknęła i uśmiechnęła się w duchu, bo wiedziała, że w ten sposób szybko splawi Irenę Kurską. – Nie powinnam tego mówić, ale... – ściszyła głos i konspiracyjnym szeptem dodała: – Nastąpił zwrot w sprawie tych rytualnych zabójstw na starszych kobietach przy Modlibowskiej.

Irena Kurska na moment zamilkła, bo sprawa „Mordercy dewotek”, jak media okrzyknęły psychopatę siejącego postrach pośród poznanianek w wieku sześćdziesiąt plus, prawdziwie ją elektryzowała i zarazem przerażała.

– Ooo, aaa, tak, tak, rozumiem... – Chrząknęła. – No dobrze, skoro naprawdę nie możesz – odparła już całkiem pewnym tonem. – Chociaż muszę ci powiedzieć, że jak ojca Karolka trzeba było skądś odebrać, załatwić coś za niego czy w ogóle cokolwiek, to choćby się waliło i paliło, zawsze byłam na miejscu, a przecież pracowałam i miałam czterech chłopców pod opieką. No ale to były inne czasy, wy, młodzi, macie teraz zupełnie inne wartości, inne priorytety... No cóż, Anno, w takim razie osobiście przywiezę Karolka...

Anna zakłęła w duchu, ale grzecznie podziękowała i się rozłączyła. Nie zdążyła jeszcze odłożyć komórki, kiedy ta zadzwoniła ponownie.

– Albo nie przywiozę – huknęła z drugiej strony Irena Kurska, bez powitania i zbędnych ceremonialów. – Mogłabym, ale skoro ty i tak nie jesteś w stanie poświęcić mu czasu, a on, o czym obydwie wiemy, znajduje się teraz w potrzebie, nie przywiozę, ale wywiozę.

– Nie rozumiem. – Anka westchnęła.

– Nie pierwszy raz, Anno – burknęła Irena z pretensją. – Tak się składa, że moja siostra Krystyna całkiem niedawno przeszła zawał. Akurat wróciła do domu i potrzebuje jeszcze opieki, a ja opieki nie odmawiam, nawet kiedy mam na karku pogrążonego w bóleści syna i schorowanego męża. A więc Krystyna potrzebuje opieki i ja do niej jadę, a Karolek ze mną. Tam sobie odpocznie, bo Krystyna mieszka nad całkiem ładnym jeziorem, z plażą i pubami. Pogoda ma być w sam raz, więc nabierze chłopak kolorów i do człowieka się upodobni, bo blady i lichy wygląda. Może też trochę się zaokrągli, bo ty, Anno, z tego, co wiem, to w domu nie gotujesz... Nic dziwnego, że on taki chudy i nerwowy się zrobił... No! Przynajmniej sobie dobrych obiadków poje... Nikt się tak nim nie zajmie jak matka!

Anka, przytaknąwszy skwapliwie, rozłączyła się zaraz po tym, jak Irena Kurska pozwoliła sobie na ostatnią prywatną wycieczkę w jej stronę. Realizacja kolejnego punktu ich planu może i odwleka się o jakiś tydzień, ale plus był tego taki, że przez ten czas Anka nie będzie zmuszona oglądać zdradzieckiego lica posepnego oraz złamanego życiem Damiana Karola Kurskiego. Vel Chujka.

## Rozdział 11

*Przyzwyczajeni do zwyczajności tygodnia nie dostrzegamy tego, co w nim niezwykłe. A w każdym jest przecież coś z pobłytkiem brokatu i cekinów, nawet w tym pozornie szarym. Uzdrawiająca rozmowa z przyjaciółką, dobra rada od doświadczonego kumpla w robocie, wizja spełnionego marzenia, udany plan zemsty na ex... Trzeba tylko dobrze przecierać oczy, ewentualnie szkła okularów, by to coś niezwykłego w zwyczajności dostrzec, a potem z uczuciem satysfakcji malującym się nie tylko na twarzy powiedzieć do siebie: Oh yeah, ależ to był cudownie niezwykły zwyczajny tydzień!*

Anka pół wieczoru przegadała z dziewczynami i była im za to wdzięczna, bo dzięki nim niesmak po rozmowie z królową Irenką zdecydowanie przygasł i nabrała do całej sprawy większego dystansu.

– W każdym planie musi się pojawić jakieś zgniłe jajo – podsumowała Barbara. – Zęby zjadłam na planowaniu i sporo na ten temat wiem. I każdy strateg na nie czeka, a my już nie musimy, bo oto samo się objawiło, i do tego okazało się całkiem niegroźne. Małe, wyszczekane, z krótkimi pazurkami i trwałą ondulacją na niemożliwym tapirze. A więc uznajmy, że mamuśka twojego prawie ex...

– Mojego już ex – poprawiła Ania.

– Okej, twojego już ex... To jest właśnie zgniłe jajo naszego zajebistego planu. A teraz otwieramy bramę i wjeżdżamy na Route 66, rycząc na całe gardło: „Hit the road, Jack”, a raczej „Hit the road, Charles”. I niczym już niepowstrzymywane, w światłach reflektorów, dostrzemy do przystanku końcowego o nazwie „The End of Damian Karol Kurski”.

Anka bardzo liczyła na to, że tak właśnie będzie. Że rzeczywiście Irena Kurska jest tą jedyną i, jak powiedziała Baśka, niegroźną przeszkodą w realizacji całego planu. Chciała, by się powiódł, by Damian dostał nauczkę na całe życie i już nigdy więcej nawet nie pomyślał o graniu na dwa fronty.



Zbliżała się północ, ale miejska duchota nie pozwalała Indze zasnąć. A może tę bezsenność wywołał emocjonujący weekend spędzony z dziewczynami? Wstała i szeroko otworzyła okno, po czym oparła się o parapet. Każdego dnia do późnych godzin nocnych ulicą przemierzali się ludzie: imprezowicze, turyści czy lokalsi, o tej porze najczęściej w stanie upojenia alkoholowego na poziomie light, normal albo extreme (w przypadkach nadzwyczajnych nawet super extra extreme). Miarę upojenia stworzyła na potrzeby własnych obserwacji – lubiła wymyślać zyciorysy ludziom mijanym na ulicy lub widzianym właśnie z okna mieszkania. To ją relaksowało i w jakiś sposób bawiło, a przecież jeszcze do niedawna potrzebowała tego relaksu i optymizmu jak tlenu, bo w jej życiu niczym natrętne chwasty plenił się smutek.

Zatrzymała spojrzenie na dwóch lokalsach, których już nieraz widywała pod oknem. Dziś ewidentnie osiągnęli poziom extreme z silnymi predyspozycjami do super extra extreme.

– No bo wyobraśś sobie, Szysiu, że ta moja to od miesiąca nis a nis. Niiis! Dźwiami czaska, a ja klamke sałuje. Od miesiąca sałego!

– Że sooo? Od miesiąca? Szłowieku, jak ty żyjesz? I so to za życie?

– Ano widzisz, Szysiu. Gówniane... Na diete wiesz przeszłem byłem, choć nie z własnej woli, nie z własnej... – Pociągnął z niewielkiej butelki i beknął.

– Dobrze, że ta dieta to naszych prosięsików nie tyka, bo so ja bym zrobił bez ciebie, szłowieku?



Inga roześmiała się pod nosem i odprowadziła wzrokiem dyskutantów chwiejnym krokiem zmierzających w stronę rynku. Spojrzała na oświetloną witrynę kamienicy naprzeciwko, w której mieściła się mała galeria sztuki współczesnej. Jak dotąd do niej nie zajrzała, bo galeria symbolizowała jej marzenia. Inga postanowiła, że wejdzie do niej, dopiero kiedy na poważnie wróci do malowania. To będzie jej nagroda. A więc... Wejdzie i uśmiechnie się do tego starszego pana, który z niemal przyrośniętym do dłoni kubkiem kawy przechadza się po galerii, a jeśli znajdzie się sposobność, to nawet z nim porozmawia, podyskutuje o sztuce albo (to było najśmielsze z jej marzeń) o swoich obrazach, o obrazach Ingi Winter. Aż któregoś dnia ten jowialny mężczyzna powita ją uśmiechem i powie: „O, dobrze, że pani jest! Właśnie miałem dzwonić z wiadomością, że pani *Smutek nad rzeką Hudson* został sprzedany”. A potem poprosi o kolejny obraz. Albo lepiej – o kilka obrazów... A przecież tych kilka – sprzed lat – ona już miała namalowanych i zamkniętych w staroświeckiej walizce po ukochanej mamie.

Inga westchnęła. Rzuciła okiem na stary budzik na szafce nocnej – była dwudziesta trzecia pięćdziesiąt dziewięć. „A więc czwartego lipca dwa tysiące dwudziestego drugiego roku o godzinie dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt dziewięć – zahuczał w jej wyobraźni podekscytowany głos spikera radiowego – trzydziestopięcioletnia Inga Winter, wytrawna uciekinierka od życia i emocjonalna prestidigitatorka, zebrała się na odwagę, by wrócić do malowania! Czy wytrwa w swym postanowieniu? Wyślij esemes o treści TAK lub NIE na numer 2222. Wyniki ankiety otrzymasz w odpowiedzi automatycznej...”

Jezu... Ewidentnie musi zadzwonić do tego nauczyciela malarstwa i zrobić pierwszy krok. Po prostu musi!

Inga zerknęła w głąb pokoju, na zawalone papierami i książkami biurko. Obok mogłyby stać sztaluga i komoda na pędzle i farby... Rozmarzyła się, a potem zamiast iść spać (zresztą i tak czuła, że nie zaśnie), włączyła komputer, w tle zapuściła Raz Dwa Trzy i zasiadła do redagowania kolejnej nudnej i przydługiej sagi historycznej, w której – co zapewne zauważyłaby również Barbara – brakowało przystojnych i ciekawych mężczyzn. O jurnych nawet nie wspominając.



Obudziwszy się w poniedziałkowy poranek, Barbara postanowiła wydłużyć sobie weekend o kilka godzin – a dokładniej o trzy. Sprawdziła swój kalendarz spotkań i bez żalu odwołała dwa z nich, a potem wysłała wiadomość do asystentki i wyłączyła telefon. Zamierzała poleżeć w jacuzzi i pomyśleć o planie na Damiana (uważała go za bardzo dobry, choć jeszcze nie taki, który nie wymagałby szlifów) oraz o Zosi. O niej w szczególności. Ich spotkanie w Rzaśinach było jak wyczekiwana Gwiazdka w szczęśliwym dzieciństwie, dzień, którego pragniemy najbardziej na świecie i na który czekamy cały rok, bo prezenty, kolędy, bliscy... I którego jednocześnie najbardziej na świecie się boimy, bo może jednak nie byliśmy grzeczni, jak nam się zdawało, i zamiast prezentów pod drzewkiem znajdziemy różgę w postaci dojmującej samotności, a zamiast kolęd i bliskich smętne piosenki z odtwarzacza i puste krzesła. Basia jednak, leżąc pośród bąbelków obłędnie pachnących świeżo ściętą lawendą, uznała, że spotkanie z Zosią było najlepszym, co jej się w ostatnich latach przytrafiło. I tylko gdzieś tam w środku, bardzo głęboko gryzły ją wyrzuty sumienia, że na to spotkanie zdecydowała się tak późno.

Zrelaksowana, licząc na kilka równie relaksujących i całkowicie spokojnych oraz niespiesznych godzin za biurkiem, zjawiła się w pracy w samo południe, telefon służbowy włączając dopiero w windzie. I wtedy się zaczęło. Aparat rozpikał się od miliona wiadomości i tyluż nieodebranych połączeń z centrali. Z samego Parzyza...

„Kurwa jęgo pierdolona mać!” – Barbara rzucała mięsiwem o największej tuszy, bo tylko to pomagało jej się wyładować w chwili nadmiernego napięcia.

Rozgorączkowana wpadła do firmowego open space'u i niemal już w progu natknęła się na wystraszone spojrzenie swojej asystentki.

– Jadźka, do cholery, kurwa, jasnej! – wypaliła w jej stronę.

Rudowłosa Jadwiga, choć była jedną z tych dziewczyn o porcelanowej cerze, jakby pobladła i natychmiast poderwała się z krzesła jak sprężyna, a że nad talią miała całkiem sporych rozmiarów kobiecy atrybut, ten przy okazji zafalował.

– Tu się, kurwa, jakiś armagedon dzieje, a ja nic nie wiem?! – wrzasnęła Basia. – Nic-nie-wiem?!

Zza przepierzeń natychmiast wychyliło się mnóstwo głów. I choć pracownicy byli w większości przyzwyczajeni do wybuchów wulkanu imieniem Barbara, teraz wszyscy wyglądali na kompletnie zaskoczonych i oczywiście żadnych plotek. Takiego tsunami tu jeszcze nie było.

– Ale wyraźnie napisałaś mi rano – broniła się cicho Jadwiga – że do południa cię nie ma, choćby nie wiem co, więc czekałam. Sama jestem w nerwach, bo wiem, że mamy problemy.

– Problemy?! – zagrziała Baśka. – Problemy to byśmy mieli, gdyby ktoś nam się włamał do biura i sprawdził, na jakie strony wchodzi Stefan w godzinach pracy. – Wycelowała palcem w wysokiego mężczyznę, który natychmiast zmienił format na kieszonkowy i schował się za monitorem. – Albo gdyby się wydało, co ktoś robi z kimś na drugim piętrze w porze lunchu w parzyste dni tygodnia.

Tym razem za monitorami zniknęło kilka głów, co Baśki jakoś nie zdziwiło.

– To by były problemy. A my tu mamy jebaną katastrofę! Za pół godziny wszyscy do mojego gabinetu!

Jadzia chciała zapytać, kim konkretnie są ci wszyscy, bo że Stefan i Piotr, to wiedziała, ale nie miała pewności, czy Barbara chciała też widzieć księgową i szefa marketingu, a może i tę nową z działu jakości. A koordynator produkcji? Dostrzegłszy jednak mordercze spojrzenie swojej szefowej, zdecydowała wewnętrznie i autorytarnie, że zawoła dokładnie tak, jak powiedziała Barbara – wszystkich.

Barbara usiadła w swoim wartym osiem tysięcy osiemset dwadzieścia pięć złotych skórzanym fotelu, w którym jeszcze kilka minut temu zamierzała rozkoszować się latte ze szczyptą kardamonu, ewentualnie bajecznym widokiem z okna na plac Andersa, i klęła, na czym świat stoi, bo czuła, że ten sam wygodny i pozwalający jej żyć na cholernie wysokim poziomie świat właśnie się sypał. Przez chwilę była nawet załamana, ale tylko przez chwilę. Wstała, podeszła do okna i stukając paznokciem o szybę, zapatrzyła się na dach sąsiedniego budynku.

– No dobra, Kochańska, to nie wygląda dobrze. Ale wiesz, że nie ma takiego gówna, z którego byś się nie wygrzebała – powiedziała do siebie, a potem zaciskając pięści, okrążyła kilka razy stół konferencyjny i przywołała Jadwigę.

Dziewczyna zjawiła się w pół sekundy, nieco wystraszona, ściskając w rękach notes. Barbara spojrzała na nią już całkiem normalnym wzrokiem, co asystentkę chyba odrobinę uspokoiło.

– Po pierwsze, nie chciałam tak na ciebie najeżdzać – zaczęła Barbara. – Nie chciałam, ale to... To wszystko jakoś tak wyprowadziło mnie z równowagi, że wyszło jak wyszło. Przepraszam.

Teraz już Jadzia poczuła się zdecydowanie pewniej i nawet wyprostowała plecy. Nieznacznie machnęła ręką, a ten gest miał oznaczać: „Nie ma sprawy, zdarza się”, i już otwierała usta, by coś dodać, ale Barbara nie dała jej na to szansy.

– Jestem ci wdzięczna – ciągnęła – że tak sumiennie wykonujesz moje polecenia, i w normalnych okolicznościach cieszyłabym się, gdybyś nie zadzwoniła na mój prywatny telefon, ale błagam – złożyła dłoń – jeśli kiedykolwiek zdarzy się coś podobnego do tego szamba, a liczę, że nie... Jeśli jednak się zdarzy, to choćbym napisała ci wiadomość, że wybywam na randkę z samym Pierce'em Brosnanem na jego zajębiście luksusowym jachcie i pod żadnym pozorem masz mi nie przeszkadzać, to dzwoń, pisz, wysyłaj gołębie! *Whatever*. O takich sytuacjach muszę wiedzieć natychmiast!

Jadwiga skwapliwie pokiwała głową.

– A teraz – Barbara spojrzała na zegarek – mamy jeszcze chwilę. Czy wszyscy w biurze już o tym wiedzą?

– Chyba nikt nie wie – oznajmiła asystentka z satysfakcją – bo nikt mnie o nic nie pytał, a ja nikomu nic nie powiedziałam. Gdyby pojawiły się jakieś przecieki, na pewno nie daliby mi spokoju.

– A ty ile wiesz?

– No... Więc...

– Widziałas filmik? – weszła jej w słowo.

– Filmik? – Jadwiga uniosła brwi. – Nie, nie widziałam. Ale czytałam pismo z Paryża i rozumiem kontekst.

– Rozumieć kontekst a zobaczyć filmik to dwie różne rzeczy. Siadaj, puszcze ci.

Barbara podeszła do biurka, kliknęła coś w komputerze i po chwili na ekranie ogromnego wiszącego na ścianie telewizora wyświetlił się filmik, którego głównym bohaterem był Brajan Kodrąbek, od niedawna pracownik oddziału produkcyjnego w podpoznańskich Koziegłowach. Młody, wysoki, na oko trzydziestoletni, butnie patrząc w oko kamery znajdującej się tuż nad nim, pod dużym ciśnieniem dawał upust urynie własnej, czyli w skrócie: sikał. Zasadniczo oddawanie moczu to czynność fizjologiczna i nikogo dziwić nie powinna, ale nie pod okiem kamery i nie w miejscu, w którym robił to Kodrąbek. Nie sikał bowiem ani pod drzewem, ani do pisuaru, ani nawet, jak Ostateczny przykazał, do muszli klozetowej, a do wielkiej kadzi, w której mieszał się syrop na gardło, i zadowolony z siebie, gwizdał pod nosem. A kiedy skończył tę bądź co bądź prezentację, wysyczał: „No i co, Kochańska, ty stara zazdrosna zdiro! Przyznaj się, że dajesz premie tylko tym, z którymi sypiasz. Mam na to dowody i je pokażę. Każdemu. Pójdę z tym do wszystkich mediów! Jeśli nie dostanę należnej premii kwartalnej, którą mi zabrałaś, i rocznej odprawy, bo odchodzę z tej nędznej roboty, w piątek cały materiał na ciebie wysyłam w świat. A na razie zobaczą to centrala i wszyscy członkowie zarządu w twoim jebanym Paryżu, do którego tak lubisz wozić dupę”.

Barbara wyłączyła telewizor i uważnie spojrzała na asystentkę, która oderwawszy wzrok od ekranu, przeglądała notatki.

– Kodrąbka przyjęliśmy do pracy cztery miesiące temu. Są na niego dwie uwagi za nieprzestrzeganie zasad bhp. Ale nie mam adnotacji, za co dokładnie. Sprawdzę to – mówiła pospiesznie Jadwiga. – W opinii przełożonego nie był wybitnym pracownikiem, nie wychylał się w żadną ze stron, ale mieścił się w normach. – Uniosła spojrzenie na Basię. – Mogę go prześwietlić, nie tylko w naszych kadrach.

– Okej, dobra, rozumiem... Ale, Jadźka, ty mi powiedz, tak szczerze, co myślisz o tym filmie?

– Ja? Nic nie myślę. Bo... Tu nie ma nad czym myśleć. – Asystentka wzruszyła ramionami. – Tu trzeba szybko działać. Najpierw musimy ustalić strategię postępowania względem Kodrąbka, innych pracowników, potem centrali, no i przede wszystkim...

Jadwiga z lekkością zawodowca szusowała po szlakach biznesowych określeń i sformułowań, a Barbara słuchała jej uważnie, analizując w głowie kolejne warianty postępowania. Jednocześnie budził się w niej podziw dla asystentki, której dotąd zupełnie nie postrzegała jako tak znakomitej strateżki. Teraz mogłaby nawet uderzyć się w pierś, że do tej pory nie miała pojęcia, iż jej asystentka dysponuje tak rozległą wiedzą na temat gaszenia ewentualnych medialnych pożarów... I że nie jest żadną tam Jadźką, a prawdziwą Jadwigą. I że ewidentnie należy jej się korona.

– Czekaj, czekaj! – przerwała jej w końcu. – Jadziu... – przybrała teraz łagodniutki ton. – Przypomnij mi, co ty wcześniej robiłaś, zanim do mnie trafiłaś.

– Pracowałam w agencji.

– I zajmowałaś się tam...?

– No, niczym wielkim – stwierdziła skromnie dziewczyna. – Tuszowałam pijackie i seksualne wpadki polityków, robiłam hejt, śledziłam hejt, budowałam zasięgi, opracowywałam strategie wychodzenia z impasu, chroniłam marki, budowałam wizerunek...

– Aha. – Barbarę z rzadka coś zaskakiwało, a zatykało to już sporadycznie.

A teraz była i zaskoczona, i zatkana na amen.



Po południu Barbara Kochańska miała już na swoim biurku kompletny raport na temat Brajana Kodrąbka. Analiza przygotowana przez Jadwigę wydawała się niemożliwie profesjonalna, ale przede wszystkim sprawiła, że Baśka poczuła spokój. Chociaż przed dwiema godzinami, po krótkim spotkaniu z pracownikami i rozmowie z Paryżem, nie czuła krzty spokoju, bo zalał ją ocean złości.

– Wiesz, Laurent jest dziś poza biurem – tłumaczyła Ance, z którą dzwoniła się w porze późnego lunchu, żeby opowiedzieć o aferze – więc dali mi do telefonu jakąś nową z PR-u, a one są takie przewrażliwione. No i ta Juliette była po prostu sparaliżowana z powodu Kodrąbka. Że z tego może wyjść jakiś *grand scandale!* Z pięć razy to powtórzyła, rozumiesz?! A potem jeszcze wypiszcziała, że grozi nam zła prasa i tym podobne.

– Ale chyba wszystko jej wytłumaczyłaś?

– Próbowałam, tyle że ona i tak obstawała przy swoim. I wyobraź sobie, że jutro mam przylecieć do Paryża i osobiście im wszystko przedstawić. Podobno to polecenie wydane z samej góry.

– Brzmi poważnie.

– Nawet bardzo, a przecież nie ma w tym nawet cienia mojej winy. Napisałam oficjalną odpowiedź, wyłożyłam kawę na ławę i wysłałam do wszystkich świętych. No i potem Juliette przesłała mi bilety na jutro. A więc lecę. To pierwszy raz w życiu, kiedy nie cieszy mnie wizja wypadu do Paryża!

– Przykre...

Barbara westchnęła.

– Żeby jakiś Brajanek tak mi obrzydził mój ukochany *Paris*? O nie, nie... Tak być nie może.

– Bo faceci do pewnych obszarów życia powinni mieć wstęp wzbroniony.

– Niektórzy to nawet permanentnie!

Zaśmiały się, ale śmiech Barbary nie był ani szczery, ani radosny i Anka od razu to wyczuła.

– Dasz sobie tam radę? W Paryżu? Bo słyszę, że nie jesteś sobą.

– Ja? No raczej, bez problemów. W końcu nie mam niczego do ukrycia. – Barbara starała się grać twarzą dzielką, ale Anka wiedziała swoje. – A tak w ogóle to ci powiem, że sprawa z Kodrąbką ma jedną korzyść.

– No?

– Dowiedziałam się, że mam asystentkę z komputerowymi i detektywistycznymi skillami. Uuu, moja droga... W życiu bym jej o takie nie podejrzewała.

– To znaczy?

– Wyobraź sobie, że rozpracowała tego świra Kodrąbka w ciągu niecałych trzech godzin. I nie pytaj mnie jak, bo nie wiem i nie chcę wiedzieć, ale analiza, jaką mi rzuciła na biurko, jest co najmniej zachwycająca. W życiu czegoś takiego nie widziałam, a przecież wiesz, że ja się już sporo naoglądałam. Czuję, że ta dziewczyna ma potencjał w skali makro, i zamierzam to wykorzystać! Ach, no i najważniejsze: Jadwiga zna kogoś, kto też kogoś zna i tamten ktoś za pewną opłatą włamał się na komputer Kodrąbka. No i wyszło sztyldo z worka. Ten cały Kodrąbek często bawi się w szantaże i groźby. Tak więc szkalowanie mojego nazwiska to dla niego nie pierwszozna.

– Ooo... – zainteresowała się Anka. – Czyli to taki mały szantażysta, tak?

– Coś w tym stylu. Ja wiedziałam, że nic na mnie nie miał, nie mógł mieć, bo tylko raz zламаłam swoją zasadę niesypiania z facetami z roboty i był to przypadek Laurenta. A poza tym nigdy! Przenigdy! Więc z góry wiedziałam, że ten Kodrąbek blefuje. – Cmoknęła i dodała smutno: – Co nie znaczy, że lubię takie smrody. Czasami ciągną się za tobą latami.

– A od czego masz *La vie est belle*? – zaśmiała się Ania. – Bierz perfumy i skrop się, byle obficie!



Anka weszła do pokoju przesłuchań. Przy stoliku siedziała młoda chuda blondynka o zapadniętych policzkach i włosach niedbale związanych w koński ogon. Oczy ukryła za gigantycznymi okularami przeciwsłonecznymi. Bez makijażu i w zwyczajnych sieciówkowych ciuchach nikt nie rozpoznałby w niej dziewczyny z pierwszych stron gazet, które walczyły między sobą o okładki z jej wizerunkiem, zanim stała się żoną Jarosława Habera.

Anka postawiła na stoliku dwie kawy i przysunęła w jej kierunku butelkę z wodą.

– Zaczął mnie bić podczas miesiąca miodowego – wyszeptła Ewa Haber po przebrnięciu przez wstępne formalności. Mówiła tak, jakby wyzbyła się już wszystkich emocji i nie miała siły nawet na zwyczajny ton głosu. – Ale wtedy myślałam, że sobie zasłużyłam, bo nie byłam tak idealna, jak Jarek myślał. Wcześniej też mi wytykał to, co mu nie pasowało: za mały biust, za chudy tyłek, zbyt wąskie zainteresowania... Ale dopiero po ślubie... Po ślubie podniósł na mnie rękę i potem bił już regularnie. Boleśnie, ale tak, żeby nie było śladów. Wiedział, jak to robić, a ja... Ja nawet się z tego cieszyłam, że on tak potrafi, bo miałam koleżanki, które tygodniami nie wychodziły z domów. Z sińcami na twarzy trudno się przecież pokazywać na imprezach. – Zrobiła pauzę, upiła kilka łyków kawy, a Anka zacisnęła usta. – Wiem, wiem, jak to brzmi. I wiem, co może sobie pani myśleć. Bo jak normalna kobieta może się cieszyć, że mąż ją bije bez śladów. No więc może. Wtedy myślałam inaczej i czułam, że... żeby ktoś taki jak ja, może ładny, ale z zapadłej wioski i bez studiów, wybił się i żył w takich luksusach, jakie oferowało życie z Jarkiem, musi trochę pocierpieć. – Uniosła kąciuki ust w sztucznym uśmiechu. – Więc znosiłam to wszystko. Przez całe pięć lat. Szczęrzyłam się do kamer, do znajomych. Tulilam się do Jarka na przyjęciach, bo on chciał, żeby wszyscy myśleli, że mamy takie wspaniałe życie. Dookoła mówiłam, że tak jest, więc nikt nie wiedział, nikt nie miał pojęcia o tym, jaki jest Jarek za zamkniętymi drzwiami. Nikt poza mną i moją matką. – Westchnęła głęboko i duszkiem wypiła resztkę kawy.

– Chce pani jeszcze jedną? – spytała Anka.

– Nie. Woda mi wystarczy.

Ewa Haber wzięła butelkę do rąk i otworzyła ją. Upiła łyk i odstawiła.

– To moja matka mi wmówiła, że ciąży go zmieni, więc... Chciałam, naprawdę chciałam zajść w ciążę. Szybko się udało, ale kiedy Jarek się dowiedział, pobił mnie tak, że poroniłam. A potem bił mocniej. W łóżku stał się agresywny. – Głośno przelknęła ślinę. – O drugiej ciąży już mu nie powiedziałam, zorientował się sam. Moje piersi... Bardzo puchną. Jarek wkurzył się i pobił mnie do nieprzytomności. Wylądowałam w szpitalu i wtedy mogłam zgłosić, że to... on. Wtedy były ślady. Ale nic nie zrobiłam. Wstydziałam się, bo przecież wszystkim dookoła powtarzałam, że jest tak dobrze, że to taka miłość. Czyli co? Wyszłoby na to, że kłamałam. Tylko w której sprawie? Co ludzie by na to powiedzieli? Bałam się ich opinii. Bałam się, że stracę zlecenia w reklamie. Dziewczyny, które przyznawały się do tego, że są ofiarami pobić, molestowania, gwałtów, znikwały z agencyjnych list płac. – Zamilkła.

– Rozumiem – rzuciła głupio Anka.

W gruncie rzeczy nie mogła jej zrozumieć. Ani jej, ani odczuwanego przez Ewę Haber bólu, kiedy ukochany facet odebrał jej szansę na małenstwo, które pragnęła mieć i kochać. I które prawdziwie kochałoby ją.

– Wątpię. I oby nigdy nie musiała pani rozumieć, pani prokurator – powiedziała cicho kobieta.

Była dziesięć lat młodsza od Procy, ale wypowiedziała te słowa w taki sposób, jakby znała już życie na wyłot i czekała jedynie na koniec.

– Oby nigdy – powtórzyła. Przygryzła dolną wargę i po długim oddechu dopowiedziała: – To ostatnie pobicie... Którego ślady jeszcze noszę...

Zdjęła okulary, ukazując czarne sińce wokół oczu i kilka szwów na łukach brwiowych. Ale nie ten makabryczny widok wstrząsnął Anką najbardziej. Takie obrazy oglądała codziennie na fotografiach. Jednak do-

piero teraz Ewa Haber, pierwszy raz od początku ich rozmowy, spojrzała Ance w oczy. Oczy Ewy były puste, tak bardzo puste. I bezkrotnie, bezbrzeżnie smutne.

– Dopiero po nim zrobiłam dokładną obdukcję, bo... Bo kosztowało mnie utratę kolejnej ciąży. Bliźniaczej. A on powiedział, że nigdy nie pozwoli mi na dziecko. Że prędzej mnie zabije, a ja, proszę pani... A ja, proszę pani, chcę żyć.

Anka sięgnęła po kubek z kawą i ukryła się za nim, mnąc w ustach siarczyste przekleństwa. Nie miała może dwudziestoletniego stażu prokuratorskiego, ale swoje w życiu zawodowym słyszała i widziała. Mało co było w stanie ją poruszyć. Zazwyczaj trzymał ją w ryzach profesjonalny chłód, a definiował zimny osąd. Miała tylko jedną, jedyną słabość – nienawidziła znętoń, facetów lejących swoje kobiety, dzieci, psy. Facetów, którzy pięścią rekompensowali sobie własne niepowodzenia, niedoskonałości i wszelkie deficyty.

Kiedy zakończyła przesłuchanie Ewy Haber i znalazła się na korytarzu, narastająca w niej złość spęcała tak bardzo, że gdyby teraz na jej drodze stanął Haber, wylałaby na niego nie tylko kawę, ale i całe wiadro pomyj – bez względu na konsekwencje czy markę marynarki, którą akurat by miał na sobie. Jej oczom ukazał się jednak nie Haber, a Zenek Łągiewka, a ona, niewiele myśląc, złapała go pod ramię i pociągnęła do pokoju.

– Nie pytaj – wyszeptała. – O nic mnie, kurwa, nie pytaj.

Zenek nie pytał. Nie musiał. W mowie ciała Anki zobaczył bowiem wszystko, co trzeba, a potem jeszcze usłyszał, bo gdy zamknęli za sobą drzwi, ze szczegółami opowiedziała mu o przesłuchaniu Ewy Haber.

– No po prostu skurwysyn! – stwierdziła na koniec, krążąc gniewnie po pomieszczeniu. – Na takich jak on powinien być osobny paragraf. Ale nieee... Przecież, jak znam życie, a kurwa, znam, to Haber nie ucierpi ani trochę i będzie się dalej puszył w tym swoim vuittonie. A żonę urządzi tak, że dziewczyna wyląduje na bruku, bez kasy i roboty. On już na pewno się o to postara.

– No to mam dla ciebie dobrą wiadomość – powiedział powoli Łągiewka.

Anka przystanęła gwałtownie.

– Jaka? Znalazłeś precedens, który mogłabym wykorzystać, żeby udupić Habera i obwieścić światu: „Ej, znęty! Jak jeszcze raz tkniecie wasze kobiety, ujebią wam paluchy i wykastrują?!”. A może jakiś *corpus delicti*? Nie wiem... Zabłąkany mózg Habera?

– Żeby zgubić mózg, trzeba go najpierw mieć, Aneczko – odparł spokojnie Zenek. – I o ile mi wiadomo, kastracja nie jest u nas dozwolona, choć nie powiem, czasami by się przydała. Ale... – Zrobił pauzę dla efektu. – Mam coś lepszego.

– Lepsza to by była *Sprawa dla reportera*, w której tuzin kobiet zezna przeciwko Haberowi. Albo choć jeden wiarygodny sąsiad, który widział, jak Haber leje żonę, i zechce zeznać to w sądzie.

Łągiewka nie odpowiedział, tylko z uznaniem pokiwał głową.

– No, no, Aneczka, żeś nabrała supermocy, jak by to powiedziały dzieciaki spod mojego bloku! Ledwie spojrzysz – przesunął w jej stronę teczkę starannie zawiązaną na Zenkowy podwójny węzeł – a już wiesz, co jest w środku.

– Co? Jak to? – Anka natychmiast porwała teczkę i pospiesznie rozsypiała sznurki, a potem zaczęła przeglądać dokumenty. – Jezu Nazareński!

Zenek uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Kiedy przesłuchiwałaś Haberową, Marek mi to przyniósł. Powiedział, że na ich komisariacie zjawił się sąsiad Haberów. Starszy pan, miły, niepozorny. Kiedyś prowadził warzywniak osiedlowy, teraz to tylko warzywek w ogródku dogląda. I powiedział, że ktoś mu marchewkę podpierdzielał, kalarepę i coś tam jeszcze. No a że on kocha te swoje warzywka, a złodziej nie odpuszczał, to dziadek zamontował kamerę... A raczej osiem kamer. Marek mówił, że zrobił wielkie oczy, bo jak osiem kamer na kalarepę, ale dziadek mu na to, że bezpieczeństwo warzyw przede wszystkim. Sobie wyobraź, Aneczka, po dwie kamery na każdym rogu, a po letko dziesięć na dziesięć. Summa summarum, dziadek nikogo nie złapał, bo złodziej odpuścił, chyba tych licznych kamer się wystraszył. Ale za to złapał Habera, jak ten żonę lał. Haber zapewne nic o tym nie wie.

Zresztą sam dziadek nie miał pojęcia, że w nocy jakiś ptak przestawił jedną kamerkę i ta zamiast w poletko kalarepy celowała prosto w elegancki, niczym nieosłonięty salon Habera. Aż zobaczył podgląd. To nagrał – wskazał na pendrive w teczce – udupi gnoja, Aneczka. I to na długo.



Anka z Ingą siedziały w knajpce, czekając na Baškę, która krótkim, acz znaczącym esemesem: „W Facetach o 17.00, nie pożałujecie!”, sprawiła, że choć obie grzęzły w robocie, postanowiły na małą chwilę wyściubić nosy z domu i prokuratury. Właśnie piły kawę, kiedy przyleciała Barbara. Rozpromieniona, w nowej, zwiewnej sukience w kolorze pudrowego różu i z kilkoma eleganckimi papierowymi torbami firmowanymi logotypami światowych marek, sunęła niczym Julia Roberts w kultowej scenie *Pretty Woman* na Rodeo Drive. Po drodze zamówiła sobie drinka u kelnera w typie Jasona Momoy (lubiła go zdecydowanie najbardziej z całej barowej obsługi) i dołączyła do dziewczyn.

– A co wy takie przygaszone? – zaświergotała.

– Ciężki tydzień – stwierdziła Ania.

Baška machnęła torbami.

– Bejbe, ty nie masz pojęcia, co znaczy słowo „ciężki”! Dwadzieścia pięć kilo ciuchów w jednej walizce! A w drugiej nawet nie wiem ile. W każdym razie wzięłam nadbagaż. To dopiero jest ciężkie, a nie jakiś tam tydzień. Ledwo wytargałam z lotniska.

Inga wychyliła się zza ławy i zrobiła wielkie oczy.

– Coś ty nakupowała, Baška? Ile tego jest?

– Sukienki, ze cztery – zaczęła wyliczać Basia, moszcząc się jednocześnie, co skutecznie utrudniały jej papierowe tytki. – Kilka torebek. To znaczy chyba kilka. Jak wpadłam do Dolce i Chanel, to nie mogłam się powstrzymać. No i jeszcze jak zawsze dużo, naprawdę dużo, bielizny, choć ona to akurat nic nie waży... Z pięć par butów... – Zamyśliła się na ułamek chwili. – Sześć! W ostatniej chwili wypatrzyłam kozaki od Loaboutina. – Uśmiechnęła się dumnie, jakby kupiła je po okazyjnej cenie, czyli nie za sześć, a za pięć tysięcy dziewięćset. – Bajeczny kardigan od Ralphi – wymieniała dalej – skórzany pasek wysadzany Swarovskim. Zresztą łatwiej zapytać, czego nie kupiłam... – Wzruszyła ramionami i dmuchnęła na opadający jej na czoło kosmyk włosów. – Na pewno niczego w kolorze opalonego beżu. A poza tym wydałam fortunę, ale... Dziewczyny, będziecie zachwycone, bo i dla was coś zgarnęłam z Champs-Élysées!

Baška lubiła obdarowywać ludzi prezentami, a że ten kiepsko zapowiadający się wypad do Paryża zakończył się dla niej wielkim sukcesem, drobiazg w postaci pary slipek od Calvina Kleina skapnął się nawet stojącemu na bramce Siergiejowi. Jadwidze kupiła biżuterię z białego złota z tanzanitem, z tyłu głowy przynajmniej jej również premię, a dziewczynom po torebce i parze pończoch. Nie zapomniała też o Zosi, dla której miała ekskluzywną srebrną papierośnicę. Anka z Ingą były podekscytowane, oglądały prezenty i piszczwały z wrażenia, a Baška cieszyła się razem z nimi.

– Nie powiem, piękne te pończochy – stwierdziła Inga, kiedy już nacieszyły się torebkami – ale ja od dawna nie mam ich dla kogo zakładać.

– Ja od niedawna też nie mam – dodała Anka, ale bez smutku.

Basia przewróciła oczami.

– Jak to nie macie?! Załóżcie je dla siebie. Jesteście piękne, młode, atrakcyjne! I takie musicie się czuć! Wkładajcie pończochy wtedy, kiedy macie na to ochotę, a nie wtedy, kiedy facet tego chce albo kiedy uważacie, że szykuje wam się jakiś łóżkowy fajerwerk. Pończochy to synonim pewności siebie i warto je zakładać szczególnie wtedy, kiedy nie mamy żadnego faceta u boku. A że pończochy, mimo że niewidoczne, podobno działają jak magnes, to już inna sprawa...

– Daj spokój, Baška! – Ania machnęła ręką. – Serio w to wierzysz?

– Oczywiście! A ty myślisz, że ja do Paryża poleciałam w rajstopkach? Nigdy w życiu! Założyłam najlepsze pończochy *ever* i poszłam na spotkanie z górą. Do tego szpile od Louboutina, sukienka od Coco i teczka od mojej Jadzi. Na wstępie miałam już o trzydzieści, może nawet czterdzieści procent więcej szans na powodzenie.

– Uwielbiam cię! – powiedziała Inga, unosząc szklankę z latte jak do toastu.

To były jedyne słowa, jakie przychodziły jej teraz na myśl, absolutnie szczere. Uwielbiała Barbarę Kochańską, choć z własnej woli nigdy by się z nią nie zaprzyjaźniła. Na szczęście ta przyjaźń, zarówno z Basią, jak i Anką, sama zapukała do jej drzwi, i to w najlepszym momencie. Baśka była jak obuch i ręka kochającej matki w jednym: potrafiła wstrząsnąć i obronić. Dosadna i celna w osądach. Przede wszystkim zaś nigdy nie owijała w bawełnę, a Indze, po latach eufemizowania życia i owijania go w bawełnę, głaskania samej siebie i wmawiania sobie, że jakoś się ułoży, było to po prostu bardzo potrzebne.

– Weź jej tak, Inga, nie każ, bo obrośnie w piórka. Znaczy w kolejną warstwę piórek! – zaśmiała się Anka.

– Eee! – Barbara machnęła ręką i z zalotnym uśmiechem przyjęła drinka od kelnera. – Ja już dawno mam skrzydła jak stąd do matki Wenus, więc żadne obrastanie mi nie grozi. A po Paryżu to nie wiem, czy mi dodatkowa para skrzydeł już nie urosła. Bo tam jednak poszła krótka piłka. Szach mat, rozbiłam bank.

– Powiedz coś więcej – poprosiła Inga, która o całej sprawie wiedziała tylko z relacji Anki.

Baśka jakby czekała na taką zachętę; zamoczyła usta w burgundowym drinku Płynie w Nas Gorąca Krew i nonszalancko poprawiła włosy.

– Nie powiem, byłam lekko podenerwowana, bo o ile dobrze znam siebie i wiem, na co mnie stać, o tyle trudno było mi wyczuć, na co stać centralę i kto pojawi się na spotkaniu. Że Laurent i ta przesadnie ambitna młódka Juliette, to wiedziałam, ale reszta? No i na spotkanie zszło się jedenaście osób. Rozumiecie? Jedenaście. Jakby nie mieli nic innego do roboty...! I cała jedenastka czekała na mnie w sali konferencyjnej w takiej grobowej ciszy, jakby przyszli na mój korporacyjny pogrzeb. Z wrażenia kolana lekko się pode mną ugięły, a w głowie miałam pustkę. Spojrzałam na Laurenta, bo pomyślałam, że skoro oboje jesteśmy w równie czarnej dupie, to on mi chociaż jakoś doda odwagi. Ale w życiu... – Basia znacząco upiła łyk drinka. – Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, Laurencik natychmiast spuścił głowę i zaczął się tak uporczywie wgapiać w blat, jakby tam co najmniej Jezusa Nazareńskiego zobaczył. Wyobrażacie sobie, jak się we mnie zagotowało?!

Prychnęła pogardliwie i umilkła na kilka sekund, bo znów poczuła tamto oburzenie.

– Ale! – podjęła, unosząc palec wskazujący. – To jeszcze nic. Bo obok Laurenta siedziała sama Carla Olivares Rubio. Czujecie to? Car-la O-li-va-res Ru-bio! – przesyłabizowała. – Wszyscy menedżerowie z Doliny Krzemowej mogą jej louboutiny czyścić! To nie jest kobieta, tylko petarda! Zjawisko! Prezeska całej korporacji. Jak dorosnę, chcę być taka jak ona. – Nabrała głęboko powietrza i powachlowała się dłonią. – I wiecie co? Ona patrzyła na mnie tak, że najpierw miałam ochotę zemdleć, a potem pomyślałam, że żaden Kodrąbek nie spieprzy mi kariery! Taką siłą emanowała! I poczułam taką... No wiecie... Siostrzaną solidarność! Zaciśnięłam palce na teczce z genialną analizą od mojej asystentki Jadwigi, której nie wypłacę się chyba do końca swoich dni, i ruszyłam. Rozłożyłam im ten cały case na części pierwsze, a oni... Jezu, żebyście widziały ich miny... Oniemieli z wrażenia.

Upiła łyczek drinka.

– Wszyscy jak jeden oniemieli. Chociaż nie, Carla nie... Ona nie padła z wrażenia. Ona była zachwycona! A potem opieprzyła Laurenta z góry na dół, że po co ją w ogóle wzywał i narażał na kilkanaście godzin lotu, skoro miał w zespole taki diament od zarządzania kryzysowego. I jeszcze zasugerowała, że należy mi się awans... Ha, dziewczyny, żebyście widziały, jak się skwasił! – Z satysfakcją zmarszczyła nos. – A już na sam koniec spotkania Carla podeszła do mnie i powiedziała w obecności tych wszystkich nadętych facciaków w garniturkach szytych na miarę, że przed takimi kobietami jak „Barbra”...

Dziewczyny zachichotały.



– Tak, tak, dokładnie tak mnie nazwała. Ale – machnęła ręką – mogą być i Barbrą, w końcu Streisand to kobieta przez wielkie K, więc nie ma się o co obrażać. A więc Carla powiedziała, że przed takimi kobietami jak ja świat stoi otworem, ale nasza korpo mnie temu światu nie odda, choć może Polska to dla mnie za mało... Tak że wiecie, pozamiatałam! – Teatralnie otrzepała dłonie. – No i dostałam premię, gigantyczną! Za wzorcowe zarządzanie sytuacjami kryzysowymi, z którego, jak to określiła Carla, kolejne pokolenia będą czerpały profity.

– Ulala! – wymknęło się Ance. – Więc stąd te zakupy?

– A nie. – Barbara potrząsnęła głową. – Zakupy sfinansowała sama Carla Olivares Rubio. Dała mi jakąś tajemniczą kartę kredytową i powiedziała, że mam zaszaleć. I jeszcze dodała: „No limits, Barbra! No limits!”. A wiecie, takich rzeczy doprawdy nie trzeba mi powtarzać, bo przecież ja mam na drugie no limits!

– Czyli wielki sukces – stwierdziła Anka. – Brawo, kochana! Ale powiem wam, że u mnie też sukcesik na horyzoncie.

– Czyli? – Barbara zerknęła w lusterko i wyduła usta.

– Pamiętacie tego znęta, który żonę solidnie obił? I którego przypadkiem spotkałyśmy w drodze z Rząsin.

– Niestety tak – stwierdziła Inga.

– No to znalazł się na niego dowód, i to solidny. – Anka w skrócie opowiedziała o nagraniu z kamery sąsiada. – Udupimy go jak nic – dodała z nieskrywaną satysfakcją.

– No, dziewczyno! – Baśka z aprobatą pokiwała głową. – To nie żaden sukcesik, ale naprawdę wielki sukces! Brawo!

Inga głęboko westchnęła.

– Dobrze, że coś na niego się znalazło – stwierdziła z ulgą. – Tacy jak on nie powinni pozostać bezkarni.

Ania siorbnęła łyk kawy.

– I tak sobie myślę – podjęła – że jeszcze w weekend Damiana uważałam za największego gnoja, ale wiecie? Damian znętowi to nawet do pięt nie dorasta. Jego grzechy, które oczywiście są niewybaczalne, to jakby zupełnie inna liga.

– Nie mów, że zrobiło ci się żal Damianka!

– Absolutnie nie! Książę Karol to już dla mnie przeszłość i musi dostać lekcję, ale w sumie cieszę się, że nie miał w sobie nic z klasycznego znęta, a przemocą rozkoszował się tylko, kiedy pykał w te swoje gierki na onlajnie.

Dziewczyny zgodnie pokiwały głowami.

– A u ciebie, Inga? Jakiś sukces? – zagadnęła Barbara.

– Chyba to, że wyrwałam się dziś ze swojej pieczary, w której królują piekielnie nudni paziowie i rozkapryszony dwór. Tak słabej sagi historycznej jeszcze nie robiłam i Bóg mi świadkiem, że jak ją w piątek skończę, to się upiję ze szczęścia albo chociaż otworzę to dziesięcioletnie wino, które kiszę u siebie na regale, i powącham korek.

– Bejbe, żadnego wachania korka. Wino jest po to, żeby je pić, a nie wachać. To co? W sobotę u ciebie?

## Rozdział 12

*Jeżeli tuż po przebudzeniu musisz przebrnąć przez trzy etapy: pierwszy, kiedy nienawidzisz swojej pracy i nie chcesz do niej iść, drugi, podczas którego musisz zwalczyć chęć walnięcia głową o kant umywalki i zgonu na miejscu, i trzeci, gdy wreszcie udaje ci się przemoc i dotrzeć w stanie agonalnym do roboty, to oznacza jedno i tylko jedno: że na żadnym z tych etapów nie chce ci się malować. No i może jeszcze to, że potrzebujesz czekolady, kawy i koca. Tylko tyle i aż tyle. A nie, że jesteś beznadziejna, kiepska i bezwartościowa.*

Dziewczyny spotkały się, tak jak ustaliły, w sobotę w przytulnym mieszkaniu Ingi, kiedy pani redaktor wygrzebała się z bagna dedlajnow, pani prokurator z przytupem zakończyła dyżur, przesłuchując w areszcie osadzonych za przemyt narkotyków, a dyrektorka operacyjna na region Europy Środkowo-Wschodniej ostatecznie zamknęła sprawę Brajana Kodrąbka, podpisując dla niego dyscyplinarkę. Wszystkie trzy zgodnie uznały, że skoro udało im się przebrnąć przez ten tydzień szczęśliwie bez większych wpadek, a nawet z nie tak małymi sukcesami zawodowymi, to należałoby to uczcić. Co też uczyniły – zrezygnowały jednak z wina na rzecz wedlowskiej mrożonej czekolady z dodatkiem lodów i bitej śmietany, zamówionej z knajpki na Starym Rynku. Po tym absurdalnie wysokokalorycznym, ale jakże niezbędnym dogodzeniu sobie Inga zaparzyła im kawy i rozsiadły się na kanapie i fotelach, w błogim milczeniu trawiąc dobroczyenne kakao, cukier i wanilię. W tle sączyła się cicho jedna z ulubionych płyt Ingi, *Joshua Tree* U2.

– Nie żebym chciała psuć nastrój chwili – odezwała się w pewnym momencie Barbara – ale co tam u niezanownego pana Kurskiego? Jak mija mu urlop pod skrzydłami mamusi? Odezwał się w końcu?

Inga przewróciła oczami.

– Ty nie masz litości, co?

Baśka uśmiechnęła się złośliwie.

– Dla małych, tępych chujków? Absolutnie nie mam nic. Nawet pogardy mi na nich szkoda.

– W czwartek wieczorem przysłał esemesa – burknęła Anka. – Że nie pisał wcześniej, bo ciągle dochodzi do siebie, że jest mu ciężko, bo stracił dorobek życia, i takie tam bzdury. Potem nastąpił wyrzut, że mogłam się chociaż zainteresować i spróbować do niego zadzwonić. Co prawda by nie odebrał, ale przynajmniej wiedziałby, że mi zależy. Tak napisał.

– I ty co mu na to?

Anka podkuliła kolana i umościła się wygodniej na kanapie.

– W sumie to nic. Wysłałam gifa z brokatowym serduszkami i życzeniami smacznej kawusi.

Baśka z Ingą parsknęły śmiechem.

– Od tamtej pory milczy jak głaz – kontynuowała niewzruszenie Anka. – Pewnie chodzi z mamusią na długie romantyczne spacerki brzegiem jeziora, a wieczorami jak prawdziwy maczo ogląda mecze i napełnia brzuszki rosółkiem z lanymi kluseczkami, takimi co to tylko królowa Irenka potrafi zrobić.

– No i niech je ile wlezie – zachnęła się Barbara. – Rosołek równa się tłuszczu, tłuszczu równa się wysoki cholesterol, a wysoki cholesterol... Wiadomo. Za chwilę pana Kurskiego byle wiaterek nie zdmuchnie, bo zrobi to za niego miążdżycą.

Umilkła, a Inga zupełnie wbrew sobie poczuła się źle. Nie była typem smukłej modelki, choć nie miała też nadwagi. Wyglądała całkiem normalnie, starała się jeść w miarę zdrowo, a jednak fałdka na brzuchu uparcie tkwiła na swoim miejscu, oporna na wszelkie perswazyje ze strony właścicielki. Inga po słowach

Baśki pomyślała z goryczą, że mogła sobie jednak darować tę dzisiejszą czekoladę i zadowolić się ciastkiem. Owsianym. Bez cukru. Z jagodami goji. Fuj.

– Co innego kobiety. – Basia chyba czytała jej w myślach. – My możemy być seksowne i bez talii osy. Jak nam się podoba. Bo umiemy zachować life-balance! Wczoraj sałateczka i louboutiny, dzisiaj czekolada i dres...

– Święte słowa – odezwała się Anka. – Takie popołudnia są potrzebne. Miękki dresik, kocyk i comfort food zamiast cekinów i szpilek. Czekolada to życie. I Bono zamiast Bajmu. Podoba mi się!

– Jak mawiał klasyk: to na B i to na B – zaśmiała się Inga, nieco już rozpozgodzona słowami przyjaciółek.

Baśka na to rażące dla niej porównanie uniosła wysoko brwi, ale nic nie powiedziała, bo poczuła wszechogarniającą senność. Na palcach jednej ręki mogłaby policzyć sytuacje, kiedy w dorosłym życiu piła czekoladę, i teraz, mimo pociągnięcia kilku solidnych łyków kawy, najchętniej zwinęłaby się na swoim wygodnym łożu i zdrzemnęła. Inga chyba czuła się podobnie, bo przeciągnęła się miękko na fotelu i przymknęła powieki.

– Coś czuję – odezwała się – że po jodze będę miała gigantyczne zakwasy. Straszliwie się zasiedziałam przy biurku przez ostatnie dni. Ale jestem tak szczęśliwa, że skończyłam redakcję tej sagi, że nie macie pojęcia. Głowa mi prawie pękła od tych powiązań, linii, dat... Jezu... Ale wczoraj, dziewczyny – ożywiła się nagle – przysłali mi taką petardę, że... A zresztą zaraz wam przeczytam fragment!

Podniosła się z fotela i poszła do sypialni, by po chwili wrócić z laptopem.

– No więc na tapecie mam teraz coś *à la* reportaż. Facet opisuje swoje doświadczenia na stanowisku operatora numerów alarmowych. Wiecie, ludzie tam dzwonią, znaczy na sto dwanaście, gdy się pali i wali, i tak dalej. No i ten gość, w sensie: autor książki, prócz realiów pracy na takim stanowisku cytuje też kilka prawdziwych zgłoszeń, oczywiście bez podawania danych osobowych... No i słuchajcie tego...

Otworzyła plik i przescrollowała kawałek:

Zgłoszeń takich jak to jest naprawdę wiele. Najczęściej jednak zgłaszający myśli, że jego sytuacja jest wyjątkowa, więc zaczyna rozmowę od – według niego subtelnego: „Bo ja, proszę pana, dzwonię w takiej nietypowej sprawie”. Wtedy możesz się spodziewać, że za chwilę usłyszysz jedną z najbardziej banalnych historii, z jakimi zetknąłeś się dotąd na tym stanowisku.

Na konsoli pojawia się numer. Odbieram.

– Operator czterysta pięćdziesiąt siedem, w czym mogę pomóc?

Chwila ciszy, a następnie męski głos niepewnym tonem mówi:

– Bo ja, proszę pana, dzwonię w takiej...

„Nietypowej sprawie” – kończę w myślach.

– ...nietypowej sprawie...

– Co się dzieje, proszę pana?

Kolejna chwila ciszy.

– Halo? Proszę pana, jest pan tam? – dopytuję.

– Tak, jestem, jestem. Tylko nie wiem, jak to ująć.

– Proszę pana, najlepiej wprost.

Westchnięcie.

– No dobrze... Bo sprawa wygląda tak, że... No... Leci mi krew.

Biorę głęboki wdech. W formatce wpisuję kategorię „Krwotok, krwawienie”.

– Skąd dokładnie? Proszę doprecyzować.

– No... – Po drugiej stronie wyczuwam wahanie. – Stamtąd.

W głowie mam tylko dwie możliwości. Nie mogę jednak opierać się wyłącznie na własnych przypuszczeniach. Zgłaszający musi sam udzielić mi informacji.

– Co to znaczy „stamtąd”?

- Nooo... Stamtąd... – Słyszę wyraźne skrępowanie. – Wie pan skąd.
- Wiem tyle, że muszę mu pomóc. Zgłaszający często mają problem z nazwaniem intymnych części ciała, a obsługa zgłoszenia musi iść sprawnie.
- Proszę pana, konkretnie: z penisa czy z odbytu?
- Po drugiej stronie słyszę oddech ulgi.
- Z... tego drugiego.
- Zapisuję informację w formacie.
- Krwawienie urazowe czy nieurazowe?
- Chwila ciszy.
- U... urazowe.
- Rozumiem. Czy krwawienie nastąpiło wskutek ciała obcego w odbycie?
- W słuchawce coś szmerze.
- Może pan powtórzyć? Bo nie zrozumiałem.
- Tak. Cz... Czterech.
- Co „czterech”?
- Wskutek czterech ciał. Obcych. W odbycie...

Baśka z Anką wybuchnęły śmiechem, przy czym Anka niemal się popłakała.

- No dobra, ale porozmawiajmy o konkretach – parsknęła Barbara, podając Ance chusteczki. – Czy tam jest powiedziane, o jakie ciała obce chodzi? Bo to dogłębnie interesująca mnie kwestia...



Wieczorem, przy kolejnej już herbacie z liśćmi mięty, Ance radykalnie zmienił się nastrój. Siedziała na kanapie zwinięta w ciasny precel i na zmianę to się nie odzywała, to miała napady słowotoku.

- Ja naprawdę nie rozumiem, co jest ze mną nie tak. Czy ja zawsze muszę trafiać na takich palantów? Najpierw w liceum Michał łąził za mną przez trzy miesiące, żebym się z nim umówiła... A potem, jak już się zgodziłam, to na jednej z domówek, na którą poszliśmy razem, postanowił wrócić do swojej bylej. Potem, na pierwszym roku studiów, Patryk. Z nim na początku to może nie było jakoś źle, ale palił tyle zioła, że mu się myliłam z mamusią. A może Damiankowi też się tak pomyliłam? Jezu, czy ja jestem podobna do królowej Irenki? No, same powiedzcie! Czy ja choć trochę przypominam tę toksyczną babę? – Zaczęła kompulsywnie grzebać w telefonie w poszukiwaniu zdjęcia niedosłej teściowej, a kiedy znalazła, powiększyła je i przystawiła sobie do twarzy. – No?! Widzicie podobieństwo czy nie? – jęknęła rozpaczliwie. – A może ja powielam jakiś schemat? Co ze mną jest nie tak?! Inga, ty się trochę znasz na psychologii. Mów szybko, byle samą prawdę i tylko prawdę!

Inga spojrzała na Ankę uspokajająco.

- A co ja mam ci powiedzieć, jeśli nie prawdę? Niczego ci nie brakuje. Jesteś piękna, inteligentna, czytana, wrażliwa i dobra. Masz *full package*. Więc nie, niczego ci nie brakuje i na moje oko to nie powielasz żadnego schematu. Ja wychodzę z założenia, że każdy z nas ma swój rozum i jakąś tam świadomość, większą bądź mniejszą, własnych deficytów i mocnych stron. A co z tym robi, to już wyłącznie jego wybór. Damianek kiepsko wybrał, bo nie umiał docenić tego, co miał. Dlatego dostanie nahajem po białych pleckach. Oczywiście w przenośni – dodała.

- Wiecie co – Anka siąknęła nosem – chyba mam dość tematu pana Kurskiego. Może do poniedziałku, kiedy załatwię z nim sprawę raz na zawsze, już o nim nie rozmawiajmy. To mnie wykańcza, bo i tak w kółko o tym myślę. Możemy tak zrobić?

Inga i Baśka rażno skinęły głowami.

– Super. – Anka odetchnęła. – To teraz muszę się jakoś rozerwać. Może obejrzymy jakiś film u Baśki?  
– Rozerwać? – Barbara niczym chart gończy natychmiast podjęła trop. – Żadnych tam filmów. Na rozerwanie się najlepszy jest seks.

Miny dziewczyn zdradzały, delikatnie rzecz ujmując, konsternację.

– I nie, nie patrzcie tak na mnie! Nikt ci nie każe zaraz-teraz się umawiać. Ale pogadać z miłymi, fajnymi facetami możesz i w twoim stanie to by było nawet wskazane. Znam się na tym, znam ciebie i wiem, co mówię. Jak by nie patrzeć, już od jakiegoś tygodnia jesteś singielką! Zaraz ci pokażę, co ja tu mam... – Wyjęła z torebki telefon i postukała kilka razy w ekran. – O, patrzcie! To najnowsza aplikacja randkowa. Niby nic nadzwyczajnego, ustawiasz sobie lokalizację, wrzucasz fotkę, piszesz kilka słów o sobie, nakładasz filtry wyszukiwania... i voilà! Faceci sami cię znajdują. Dawaj telefon, założymy ci konto.

Ania zrobiła wielkie oczy.

– Nie ma mowy! Może i jestem prawie singielką, ale mam zawód zaufania publi...

– Zaufania-srania. – Baśka machnęła ręką. – Nikt ci nie każe podawać prawdziwych danych. Nazwiemy cię jakoś z fantazją, nie wiem, Anastazja Romanowa, Upadła Madonna albo Poruczniczka Colombo, wrzucimy zdjęcie, na którym widać pół oka, damy jakiś sensowny opis i już. No weź, już lepsze to niż robienie kolaży z fotek twoich i byleją teściowej i szukanie na nich dziesięciu różnic. Tu przynajmniej się odprężysz. Dałabym ci pobuszować na swoim koncie, ale mam tam kilku fajnych i idealnie zmaczowanych facetów, więc... Sama rozumiesz.

Ania szukała jeszcze wzrokiem poparcia u Ingi, ale ta tylko uniosła ręce w poddańczym geście, uśmiechając się przy tym obłudnie. Widząc, że jest bez szans, Anka podała Basi telefon. Po chwili na ekranie pojawił się logotyp aplikacji, a Basia wstukała pierwsze dane.

– No dobrze, to jak chcesz mieć na imię?

– Marusia. Daj Marusię, to się miło kojarzy – odparła zrezygnowana Anka. – Może jakiś Janek Kos mnie ustrzeli.

– Swoim czołgiem... – mruknęła Inga, na co Baśka parsknęła śmiechem.

– Serio? Marusia? Okej, niech będzie. Marusia, trzydzieści cztery lata, niech będzie Poznań, w końcu mały nie jest... Marusia, Marusia, jakie by ci tu zdjęcie dać... O, może to? – Pokazała Ance fotografię z klubu, na której widać było tylko pół twarzy. – Wygląda tajemniczo i romantycznie, bo nawet świeczka się załapała. Poza tym nikt cię na nim nie pozna.

– Ujdzie – stwierdziła Anka. – Ważne, że nie widać całości. No, i co tam jeszcze trzeba dodać?

– Opis. – Baśka zastanowiła się przez chwilę. – Może: „A ja na tej wojnie ładnych parę lat?”

Inga zachichotała, a Anka przewróciła oczami.

– Właściwie jest mi to obojętne. Wpisz cokolwiek.

Barbara wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Ingą.

– No to może: „Nie czytasz, nie idę z tobą do łóżka...” – parsknęła Inga.

– No ale nie aż tak cokolwiek!

– Za późno... Poszło! – Barbara z zadowoleniem podała Ance telefon. – Teraz ustaw filtry: podaj zakres wieku i tak dalej.

Po chwili profil Anki był gotowy.

– No to jedziesz, bejbe! – zachęciła ją Baśka. – Obczajaj i jak któryś ci się spodoba, daj mu różowe serduszek. A jak nie, to ten czarny krzyżyk... Swoją drogą, niezły przekaz. Niektórym oddajesz serce, na innych stawiasz krzyżyk...

– Yhm... – mruknęła Anka, oglądając kolejne zdjęcia. – O, ten jest nawet całkiem fajny.

Inga rzuciła okiem na fotkę faceta z zaczesem na George'a Clooneya i równie szlachetną urodą.

– Obiektywnie boski – stwierdziła. – Co o sobie pisze?

Anka zmrużyła oczy.

– Bez zobowiązań... Bla, bla, bla... Niezależny finansowo... Bla, bla, bla... Hmm – zamyśliła się. – „Nie odnajdzie więcej nas ta sama chwila, więc lepiej szybko do mnie napisz, nim minie”.

– Uuu, miłośnik Bajmu! To chyba ktoś dla mnie! – podekscytowała się Baśka. – A jednak nie, zdecydowanie nie! – odparła, rzuciwszy okiem na wyświetlacz.

Dziewczyny spojrzały na nią ze zdziwieniem.

– Ale o co chodzi? Nie podoba ci się?

– Może i podoba, ale ma z pięć dych. Jest za stary. Anka, co ty za filtr wieku ustawiłaś?

Ania wzruszyła ramionami.

– Wcale nie ustawiałam. Stwierdziłam, że skoro to dla zabawy, to nie ma potrzeby...

Basia przewróciła oczami.

– No dobra, czyli przygotujmy się na zmasowany atak młodocianych raperów, podstarzałych dziadersów i... o!

Jej monolog przerwało ciche piknięcie.

– Ktoś ci dał serduszko!

Anka z Ingą pochyliły się nad telefonem.

– Uhm, faktycznie. I całkiem nieźle wygląda... – stwierdziła Anka. – Trzydzieści cztery lata... Rysiek... „Szukam kobiety bez kompleksów, z którą będę mógł porozmawiać o wszystkim i pomilczeć o niczym”. Dobra, czyli pan gaduła... Ale ma w miarę normalny opis, dam mu serduszko.

– *Oh yeah!* – Baśka cmoknęła z uznaniem.

– A jak napisze?

– No to mu odpiszemy. Znaczący... ty odpiszesz! O, chyba już!

Pik!

– Jezu, następny? – Anka z niedowierzaniem pochyliła się nad wyświetlaczem.

Basia zmrużyła oczy.

– Wiedziałam, że tak będzie.

Seria piknięć. Długa seria piknięć.

– Kłęska urodzaju! – Inga również była podekscytowana. – No, pokaż ich.

Ania klikała w ekran, hojnie rozdając krzyżyki i oszczędnie serduszka.

Kilku obdarowanych serduszkami zagaіło, ale Anka żadnemu nie miała ochoty odpowiadać. Była już wyraźnie zmęczona. Wcześniej sądziła, że może faktycznie taka rozrywka jej się przyda, ale dotarło do niej, że nie jest gotowa na nic z udziałem facetów.

– Ten będzie ostatni, okej? Bo dostają torsji mózgowych na widok tych opisów. A potem jedziemy do Baśki, wypożyczymy jakiś film online i... Nie wiem, zamówimy sushi czy coś.

Przesunęła palcem po ekranie i ich oczom ukazał się kolejny profil. Mężczyzna na zdjęciu stał tyłem do obiektywu, z rękami w kieszeniach. Za jego ciemną, smukłą sylwetką jaśniało zachodzące nad jeziorem słońce.

Anka aż się zachłysnęła.

– Co?!

Pod zdjęciem widniały dane: Han Solo, trzydzieści pięć lat, a w opisie stało jak byk: „Szukam księżniczki Lei, którą zabiorę swoim Sokolem Millennium na moje osobiste Naboo”.

Inga wgapiła się w ekran.

– Czy to... Czy to...?

– Tak – prychnęła Anka z obrzydzeniem. – Oto Damianek Karolek Kurski vel Chujek, ewentualnie, jak się okazuje, także Han Solo, nad brzegiem jeziora, nad którym właśnie sobie urlopuje z królową Irenką. A to zdjęcie pewnie zrobiła mu mamusia! Bo przecież on jej we wszystkim słucha...

– Napisz do niego! – rzuciła Barbara. – Wkręcimy go tak, że się nie pozbiera!

– O nie! – odparła stanowczo Anka. – Absolutnie nie zamierzam z nim pisać. I wam też zabraniam – dodała, widząc chytre miny przyjaciółek wymieniających między sobą porozumiewawcze spojrzenia. – Ale mój plan na poniedziałek właśnie solidnie się rozbudował.

## Rozdział 13

*Podobno tyle o sobie wiemy, ile zweryfikowało nas życie, a już zwłaszcza w sytuacjach granicznych, krytycznych czy po prostu wkurwiających. Zapewne każda z nas oczywiście wolałaby nie być w ten sposób weryfikowana, a samodzielnie weryfikować, mówić „sprawdzam”, odkrywać karty, a najlepiej to zwyczajnie wiedzieć, na co ją stać. No ale cóż, tak po prostu się nie da. Istnieje natomiast jedna ważna rzecz, o której zawsze powinniśmy pamiętać. Otóż karma to suka – sprawiedliwa, wierna suka, która zawsze wraca, a to, co powiedziałyśmy czy zrobiłyśmy, prędzej czy później okrąży Ziemię i kopnie nas w tyłek – bez przyjemności. No chyba że to my jesteśmy tą suką. Znaczą karmą.*

W poniedziałek po pracy Anka wróciła do domu z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony była zdeterminowana, by czym prędzej uwolnić się od wszelkich przejawów obecności Damiana; z drugiej – czekała ją perspektywa samotnego mieszkania oraz spędzania wieczorów i poranków w pojedynkę. Postanowiła, że gdy tylko pan Kurski się wyniesie, adoptuje kota. Na tę myśl rozpogodziła się nieco i już w bojowym nastroju weszła do windy i nacisnęła guzik z cyfrą osiem. Jej nastrój jeszcze się pogłębił, a serce zabiło mocniej po tym, jak zobaczyła w przedpokoju buty pana Kurskiego. Wzięła kilka głębokich wdechów i weszła do salonu. W fotelu siedział Damian, opalony charakterystyczną jeziorną opalenizną, w lnianej koszuli i dżinsach, i gmerał coś w telefonie. Pieprzony orbitujący Han Solo.

– O, jesteś! – zawołał nad wyraz entuzjastycznie, unosząc wzrok.

Zablokował telefon i odłożył go na stolik.

– Jestem – odparła jakoś tak głupio Anka, bo w pierwszej chwili nic więcej nie przyszło jej do głowy.

Jeżeli ostatnia część planu miała wypalić, Anka musiała wejść w rolę. Za trzy, dwa, jeden...

– Iii... tęskniłam! – Przysiadła mu na kolanach i cmoknęła go w policzek. Wiedziała, że jej głos zabrzmiał sztucznie. – I tak mi przykro, że nie mieliśmy kontaktu. Ale chyba było ci to potrzebne, prawda? – Odsunęła się nieco, by mu się przyjrzeć. – Dobrze wyglądasz. Wydajesz się taki wypoczęty... Odetchnąłeś choć troszkę? Uspokoileś się? Wiesz już, co robimy z tą kradzieżą?

Damian natychmiast spochmurniał.

– Proszę cię, abyśmy już nie wracali do tego tematu – odparł. – Bo na samą myśl boli mnie serce. Dlaczego nie możesz być po prostu miła?

– Wybacz! – Znów przegięła z tym słodkim tonem. – Nie chciałam cię zdenerwować... – Starła się brzmieć normalnie. – Ale jak tak patrzę na ten pusty regał... – westchnęła, a Damian przygryzł wargę. – Może zrobić ci herbaty? Akurat zdąży się zaparzyć, za kwadrans jestem umówiona z Marianką na Skypie. To co? Czarna? Z cytrynką? I cukrem? Tak jak lubisz... Może być? Earl grey dla mojego Greya... – zamruczała mu do ucha, co wypadło chyba nawet niezłe.

Damian stęknął, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Anka miała świadomość, że chodzi mu o jej siostrę. Nie przepadał za ich pogaduszkami, a Mariankę traktował z pewnym dystansem – zresztą z wzajemnością. Jednocześnie wizja zostania obsłużonym i podania ulubionej herbaty tuż pod nos nieco wyrównywała ten dyskomfort.

– No to zrób – zgodził się łaskawie.

Anka wystrzeliła z jego kolan prosto do kuchni, a gdy już się tam znalazła, wzięła bardzo głęboki wdech. Sądziła, że pójdzie jej trochę łatwiej, ale i tak chyba było niezłe. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo jej ex był prosty – jeśli nie prostacki – w obsłudze. I ona zmarnowała na niego tyle lat? Których nikt jej nie odda? Coś ścisnęło ją w gardle. Rzuciła okiem na wyświetlacz komórki – Inga właśnie przysłała jej pokrzepiającego



GIF-a z kotem o wniebowziętym wyrazie pyszczka i w aureoli z tęczowych landrynek. Odpisała jej szybko: I'm in, i nastawiła wodę. Zalewając herbatę i krojąc cytrynę, myślami już była przy momencie, kiedy zamyka za Damianem drzwi. Jej wzrok powędrował w kierunku cukiernicy, a w głowie załęgła się kolejna myśl. Nikt nie powiedział, że jej zemsta nie może być odrobinę słodka.

Kiedy wróciła do salonu z dwoma kubkami, jej już za moment ex intensywnie pisał coś w telefonie. Na jej widok zareagował gwałtownie, tak że aparat wypadł mu z ręki i ślizgiem po panelach dotarł aż pod jej stopy. Damian natychmiast zanurkował za nim i Anka zdążyła jedynie dostrzec fragment zdjęcia na ekranie – w oczy rzuciło jej się złote bikini księżniczki Lei. „Czekaj, czekaj, ty Hanie Solo z marniutkim Sokolem Millennium” – pomyślała. „Już ja ci zaraz urządzę Gwiazdne Wojny”. Jak gdyby nigdy nic odstawiła oba kubki na stolik, usiadła na kanapie i podwinawszy nogi, uśmiechnęła się wdzięcznie do zaczerwienionego Damiana, który właśnie chował telefon do tylnej kieszeni spodni.

– Opowiesz mi, jak było na wakacjach z mamusią? – zapytała słodko.

– Yyy, co? – zająknął się. – A tak, dobrze było. Dobrze, tak. Wiesz, jaka jest mama. Głodnego mnie nie wypuściła. Ciocia też już lepiej. Miło, że pytasz.

Ance żołądek fikał koziołka, ale całą siłę woli skupiła na tym, by po sobie tego nie pokazać. Wyjęła z pokrowca laptop i otworzyła, po czym weszła na Skype'a. Do połączenia z Marianką zostały jeszcze dwie minuty.

– A wiesz – zaszemrała w kierunku Damiana, który właśnie próbował upić odrobinę gorącej herbaty i robił przy tym dziwne miny. – Po rozmowie z Marianką będę miała dla ciebie niespodziankę...

Rzucił jej przelotne spojrzenie.

– Jestem pewna, że będziesz niezmiernie zaskoczony...

Damian się skrzywił.

– Co ty zrobiłaś? – zapytał, kompletnie ignorując jej słowa. – Nie dodałaś cukru do herbaty?

– Och! Musiałam zapomnieć... Chyba nawet miałam w ręce łyżeczkę, ale... Nie wiem, co z nią zrobiłam. Zaraz to naprawię... – Wstała i wyciągnęła w jego kierunku rękę po kubek, lecz w tym samym momencie rozległ się dźwięk przychodzącego połączenia. – O, Marianka już dzwoni! Posłodzisz sobie sam?

Damian westchnął ciężko, by podkreślić, jak bardzo jest niezadowolony, podniósł się z fotela i ruszył powoli w stronę kuchni. Anka natychmiast rzuciła się do laptopa i odebrała połączenie.

– Siostrzyczkooo! – zaszczębiotała Marianka. – Jak dobrze cię... – Nie zdążyła dokończyć, bo z kuchni dobiegł wrzask Damiana Karola Kurskiego, brzmiały mniej więcej jak: „Kurwaaaaa, Anka!”.

Marianka uniosła brwi w wyrazie zdumienia. Ania niedbale machnęła ręką.

– Ach, to nic takiego – wyjaśniła szeptem. – Robiłam naszemu czyścioszkowi herbatkę i w ramach gratysowego punktu naszego planu zostawiłam na blacie totalny syf. No i dodatkowo rozsypałam na podłodze trochę cukru. Przypadkiem oczywiście. Tak, skarbie? – odkrzyknęła. – Wszystko w porządku?

Z kuchni dobiegło średnio zrozumiałe pomrukiwanie.

– No to zaczynamy tę popołudniową herbatkę z księciem Karolem – parsknęła Marianka. – Tylko jeszcze opowiedz mi sztycytka, co tam w sprawie tego znęta. Tak na rozgrzewkę.

Ania skończyła mówić o przełomie w postępowaniu akurat w momencie, kiedy do saloniku wszedł Damian z miną cokolwiek niewyraźną, dzierżąc w dłoniach kubek herbaty.

– O, cześć, szwagierek! – zawołała z ekranu Marianka. – Jak tam nieplanowane wakacje? Fajnie było?

– Hej – odparł Damian, moszcząc się na powrót w fotelu. – Tak, fajnie. Znaczący... Ujdzie. Pewnie już słyssałaś, czemu na nie pojechałem.

– No słyszałam, słyszałam... Ale nie martw się, co ma wisieć, nie utonie. Nie po to moja siostrzyczka kończyła prawo, żeby nie wiedzieć, co się robi w takiej sytuacji... – Zawiesiła głos.

Damian gwałtownie uniósł głowę i spojrział na Ankę.

– Chyba nie zawiadomiłaś policji? Przecież cię...

– Nie, nie – przerwała mu Anka uspokajająco, unosząc dłonie w obronnym geście. – Damian nie chce w to angażować służb – wyjaśniła Mariance takim tonem, jakby jej siostra nie umiała dodać jednego do dwóch. – Mówiłam ci przecież, że wujek Mirek, wiesz, ten komendant... Ten łysy, co trzyma z matką Damianka... – wyszeptwała konspiracyjnie.

– Anka! – Damian prawie oblał się herbatą.

– No co? – Anka zrobiła minę niewiniątka. – Przecież Marianka to rodzina, nikomu nie powie. Prawda, siostrzyczko?

Marianka z zaangażowaniem pokiwała głową.

– Absolutnie! Ode mnie o wszystkim wie tylko Lutek! I ciocia Wiesia, bo wiesz, akurat wpadła na dwa tygodnie, a napisałaś mi o tym, jak siedzieliśmy przy śniadaniu... A, no i ciocia wujkowi Krzyškowi powiedziała przez telefon. Ale to też rodzina, więc...

Damian pobladł, ale nic nie powiedział.

– Na szczęście – ciągnęła radośnie Marianka – nie wszystko ukradli, prawda? Coś tam jeszcze trzymałeś w biurku w pracy, no nie?

Mężczyzna posłał jej pochmurne spojrzenie.

– Taaa. Ręcznie malowaną figurkę Yody. Za niecałe dwieście dolców – dodał, wyraźnie wkurzony. – To tyle co nic.

– Ach, no tak, no tak, no to faktycznie... Nic... – Marianka ze współczuciem pokiwała głową. – Przydałaby się teraz jakaś wygrana w totka, co nie? Albo nieoczekiwany spadek...

– Co ty! Żadnych spadków! – Anka machnęła ręką. – Z tym to więcej ambarasu niż pożytku.

Zakłęła w duchu. „Ambarasu”?! Jakiego, kurwa, ambarasu? Kto tak dzisiaj mówi? Spostrzegła, że Damian spogląda na nią bacznie.

– Niedawno rozmawiałam z taką dziewczyną, Karoliną – dodała szybko, starając się brzmieć możliwie lekko. – Kumpel mnie poprosił, żebym jej pomogła jako prawniczka – dodała już z większym wyczuciem. – No więc wyobraź sobie, siostra, że ta Karolina dostała w spadku kamienicę!

Marianka zagwizdała z uznaniem.

– Nie, nie, nie! – zaprotestowała Anka, unosząc teatralnie palec wskazujący. – Nie przyjęła go, bo kamienica była zadłużona po strych. Dostała w spadku nieruchomość z długami. No daj spokój, kto to widział...

Kątem oka zauważyła, że Damian zastrzygł uszami, ale milczał.

– A powiem ci, że teraz dla tej dziewczyny jakieś dodatkowe pieniądze byłyby jak znalazł – kontynuowała Anka, czując, że jest na fali. – Bo wyobraź sobie, że dopiero co się dowiedziała, że jest w ciąży, a jej facet, jak mu o tym powiedziała, to ją zostawił. Imaginujesz to sobie? Lasce niczego nie brakuje, jest ładna, inteligentna, ma własny domek pod Poznaniem, pracę fajną, bo w kulturze robi... Jakim chujkiem trzeba być, żeby zostawiać taką dziewczynę, i to z brzuchem? No, powiedz sama!

– Oburzające! – zawołała Marianka. – Takich to się powinno za *cojones* powiesić! Jak dobrze, że nam się trafiły niewadliwe egzemplarze... Takich Lutków i Damianów to już niewielu chodzi po świecie...

Damian, kompletnie purpurowy na twarzy, chrząknął znad kubka z herbatą i się rozkaszał.

– Kochanie, co się dzieje? – zatroskała się Ania, marszcząc brwi. – A może ty chory jesteś? – przeraziła się tak profesjonalnie, że Marianka niemal parsknęła śmiechem i musiała szybko stłumić reakcję głębokim ziewnięciem. – Zaraz sprawdzę, czy nie masz czasem gorączki...

Podeszła do Damiana i przyłożyła mu dłoń do czoła. Skrzywił się.

– No już, już... – powiedziała czule Ania. – Mama Irenka mówi, że to najlepszy sposób. Wiesz, jak ona nie ufa tym wszystkim termometrom, a zwłaszcza tym bez rtęci... Ojej, jaki ty jesteś rozpalony! A jak ty jakiegos tężca złapałeś nad tym jeziorem? Albo... O nie... – Przyłożyła dłoń do ust. – Tylko mi nie mów, że się w nim kąpałeś! Kąpałeś się? Boże... Tyle teraz trąbią o tych enterokokach i *Escherichia coli*... – Załamała ręce. Zupełnie jak królowa Irenka.

W tle Marianka dawała koncert ziewania.

– Nic mi nie jest! – burknął Damian wyraźnie zdenerwowany i nieco zdezorientowany nagłą troską ukochanej, chowając się za kubkiem. – Piję gorącą herbatę, to się rozgrzałem... To już człowiek spokojnie zakrzuszyć się nie może we własnym domu?

Ania złożyła dłonie na piersi i westchnęła głęboko.

– Och, no może, może. Ale nie miej mi za złe, że się wystraszyłam... Bo wiesz – zwróciła się do Marianki – Damiana tyle nie było, a ja się stęskniłam i zaplanowałam dla nas dzisiaj cudowny wieczór!

– Uuu! Chcę znać te plany czy nie? – Marianka puściła do nich szelmowskie oko.

Ania uśmiechnęła się tajemniczo i rzuciła powłóczyście spojrzenie Damianowi, który nadal czerwony jak burak powoli siorbał herbatę.

– Na początek film i wino, a potem... Zobaczymy, co przyniesie przyszłość! Prawda, skarbie?

Damian mruknął coś pod nosem, a Anka z satysfakcją stwierdziła, że drżą mu ręce.

– Planowałam, że obejrzymy coś romantycznego, ale teraz widzę, że Damian chyba potrzebuje się rozewać. Więc może jakaś komedia... No sama nie wiem...

– Ooo! – zreflektowała się Marianka. – To ja mam coś dla was! Oglądałam niedawno z Lutkiem taki film z Adamczykiem... Czekaj, jaki to był tytuł... O, już wiem! Och, Karol 2. Uśmieśliśmy się do łez!

– Kojarzę go! – Anka zaklaskała z ekscytacją, a Marianka ziewnęła po raz piąty. – To o tym playboyu, którego żona odkrywa, że...

Marianka z zapalem pokiwała głową.

– Gdzieś czytałam, że świetny! No to mamy idealną – Anka zaakcentowała ostatnie słowo – komedię na ten wieczór.

Marianka zrobiła w jej stronę zabawnego zeza.

– No dobra, siostra, kończymy w takim razie... – zawiesiła głos. – Nie daj księciu czekać!

Po krótkim pożegnaniu i wymianie wirtualnych całusów i uścisków Marianka się rozłączyła, a Anka zamknęła laptop i odwróciła się w kierunku Damiana. „Kolejny punkt odhaczony” – pomyślała.

– To co, skarbie? – zaszczębiotała. – Przygotuję popcorn w mikrofali, otworzę wino i obejrzymy sobie tę komedię, co?



W trakcie filmu Anka skrupulatnie analizowała dalszy ciąg planu, raz po raz z satysfakcją zerkając na Damiana, który wydawał się kompletnie rozstrojony i co chwilę prychał, dając jej w ten sposób znać, że film kompletnie mu się nie podoba. Ona jednak po rozmowie z Marianką i reakcji księcia Kurskiego nieco się uspokoiła. Teraz już nic nie mogło zatrzymać tej fali.

Kiedy na ekranie telewizora pojawiły się napisy końcowe, Anka przełknęła ślinę i niespodziewanie obróciła się w kierunku Damiana, który siedział obok niej na kanapie z miną niepewną i nawet nieco obrażoną.

– Kochanie – szepnęła tonem, który tak lubił na początku ich znajomości, a który stanowił obietnicę miłego spędzenia czasu w sypialni. – Może już się... Hmm... Położymy...? Obiecałam ci niespodziankę i to chyba dobry moment...

– Jakoś nie mam nastroju – burknął.

Szlag!

– Widzę, ale ja cię chętnie w ten nastrój wprawię... – zamruczała. – No, chodź, nie daj się prosić. Bo wiesz, od jakiegoś czasu – zawahała się, by zwrócić jego uwagę – chcę zrobić coś... No... Czego jeszcze nie robiłam...

Spojrzał na nią niedowierzająco.

– Serio? Chcesz...? – Urwał, kompletnie zaskoczony.

– Uhm... – zaszemrała Anka, zastanawiając się, co Damian ubzdurał sobie w tym pustym mózdzku. – O niczym innym nie marzę!

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę i Anka widziała, że się waha. „No, dalej!” – popędziła go w myślach. „Oboje dobrze wiemy, że tego chcesz, ty mały głupi...”

– Okej! – zawołał tak nieoczekiwanie i entuzjastycznie, że w duchu Anka aż podskoczyła. – To ja...

– To ty teraz pójdziesz do sypialni, a ja zaraz się zjawię i zaczniemy zabawę!

– A mam... – Urwał. – Mam się rozebrać sam czy...

Na samo wyobrażenie nagiego Damiana Ance zrobiło się niedobrze.

– Zdejmij tylko koszulkę i połóż się na łóżku – odparła. – A resztę zostaw mnie...

Kiedy Damian zniknął za drzwiami sypialni, Anka wzięła kilka głębokich wdechów i wyjęła z komody niewielkie pudełko prezentowe, wystukała i wysłała krótkiego esemesa, po czym poszła z tym wszystkim do sypialni. Punkt po punkcie, zgodnie z planem.

Kiedy weszła, Damian niczym pan całego wszechświata i okolic, z gołą klatką i w dżinsach, dumnie rozpieął się na łóżku. Żeby nie rzec: prężył.

– Na miły początek – Ania postawiła pudełko na szafce nocnej – prezent numer jeden.

Uniosła pokrywkę i wyjęła z pudełka dwie czarne szarfy. Damian z rozkoszą przymknął powieki, najpewniej oczami wyobraźni już widział siebie zniewolonego i spełnionego.

„Niedoczekanie, tyyyy...” – pomyślała Anka, a na głos powiedziała słodko:

– Mówiłam, że to będzie coś specjalnego...

Kiedy obwiązywała jeden z nadgarstków Damiana i mocowała go przy metalowej ramie łóżka, na szafce nocnej zabrzączał jej służbowy telefon. Niby mimochodem rzuciła na niego okiem.

„W samą porę” – pomyślała.

– Zapomniałam, że mam dzisiaj dyżur, ale... Podzwoni i przestanie.

Telefon wibrował jeszcze przez chwilę, po czym umilkł. Po kilku sekundach jednak rozdzwonił się ponownie. Anka, udając zniecierpliwienie, dokończyła przywiązywanie jednego nadgarstka i spojrzała na Damiana z miną winowajczyni.

– Przepraszam cię, kochanie, już ich spławiam.

Wzięła telefon i odebrała.

– Halo? No... No niby tak... Ale przepraszam... – mówiła, przyciskając aparat do ucha ramieniem i zaczynając obwiązywać szarfą drugi nadgarstek Damiana. – Jestem teraz w takiej sytuacji... No, no... Uhm... Nie mogę rozmawiać. Ale... Ale...? Na minutkę...? – Spojrzała błagalnie na Damiana.

Jego niezadowolona mina mówiła wszystko. Anka uśmiechnęła się w duchu, bo przecież dokładnie o to jej chodziło – by nieco go ostudzić.

– Yhm... Tylko moment, przełączę na głośnomówiący...

Kliknęła na ikonkę głośnika i położyła telefon na szafce.

– Okej, możesz mówić!

Z telefonu popłynął kobiecy głos.

– Bo ja już sama nie wiem, co robić... Chodzi o tego mojego byłego...

– Yhm, yhm... – potwierdziła Anka półgębkiem, wracając do przewiązywania nadgarstka. – To ta Karolina od kamienicy – przekazała bezgłośnie Damianowi, z satysfakcją konstatując, że przez jego twarz przebiegł dziwny grymas.

„Zaczyna się!” – pisała w myślach z zachwytem.

– No bo... – Karolina zrobiła wymowną pauzę. – Ja chyba potrzebuję porady... Może od początku, w skrócie, bo rozumiem, że nie masz czasu, ale... – Wzięła głęboki oddech. – Podczas tamtej wizyty u ginekologa, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, lekarz zlecił mi jeszcze mnóstwo dodatkowych badań. I ja dzisiaj odebrałam wyniki... – Umilkła. – Zasadniczo wszystko dobrze i ze mną, i z maluszkiem – podjęła po chwili –

ale okazało się, że ja... Mam taką chorobę... Czekaj, zapisałam to sobie, bo to strasznie trudna nazwa... – W tle słychać było szelest kartek. – *Dracunculus vulgaris*... Po naszymu lilnica...

Anka wybałuszyła oczy na Damiana, który poruszył się niespokojnie.

– Brzmi okropnie! – zawołała.

– Taaaak... – powiedziała powoli Karolina. – Na szczęście nie ma wpływu na płód. No i nie przynosi żadnych skutków ubocznych... Przynajmniej u kobiet. Nic, zero, po prostu jesteś nosicielką i tyle. Tylko że... – Znów umilkła.

– Tylko że co? – zapytała perfekcyjnie przerażona Ania.

– No... To jest choroba zakaźna. Nieuleczalna. I się przenosi drogą płciową.

Damian poczerwieniał gwałtownie i się rozkaszał. Nie mógł jednak zasłonić sobie ust, bo jedną rękę miał już przywiązaną do ramy łóżka, a drugą, w szarfię, przytrzymywała na kolanach Anka. Rzucił się więc na łóżku, atakowany kolejnymi napadami kaszlu.

– Halo, Ania? – zaniepokoiła się Karolina. – Wszystko w porządku?

Anka zgromiła Damiana wzrokiem, nakazując mu zachować ciszę.

– Tak, tak, kochana. Mów, nie krępuj się.

– No i – ciągnęła Karolina poważnym tonem – u mężczyzn to daje naprawdę widoczne objawy. Najpierw wokół przyrodzenia pojawiają się takie plamy w kształcie kwiatu lilii... No, stąd ta nazwa... I one z takich ma-lutkich, ledwie widocznych, potrafią w ciągu jednej nocy tam wszystko, no wiesz... A potem jest tylko gorzej...

Anka zakryła ręką usta, by ukryć uśmiezek, Damian bowiem jeszcze gwałtowniej zaczął się wiercić.

– Ten mój ginekolog powiedział, że jeśli się w porę nie zareaguje, to ta choroba prowadzi do poważnych problemów zdrowotnych, ostatecznie nawet do zgonu – ciągnęła Karolina. – Bo robi się tam jakaś przetoka. Potem dochodzi do perforacji i dekantacji... Czy dekastracji? Już sama nie pamiętam, bo cała się trzęsłam, jak to mówił. No bo ja przecież Karola tym na sto procent zaraziłam. Wiesz, jak mnie rzucił, to mu życzyłam jak najgorzej, ale wcale nie chciałam, by aż takie coś na niego spadło...

Damian nie krył zdenerwowania, otwierał pospiesznie usta niczym ryba łapiąca bąbłę powietrza. Jego spocona twarz w kolorze wysmażonego buraczka ostro kontrastowała z bielą pościeli.

Anka uniosła brwi w wyrazie zdumienia.

– Przestań! Przecież zaraz kończę! – wysyczała bezgłośnie.

Tymczasem Karolina grała dalej. Elegancko i co do joty, zgodnie z mistrzowskim scenariuszem Barbary Kochańskiej.

– I najważniejsze – podkreśliła. – Mój ginekolog powiedział, że tego nie można się pozbyć, ale da się to zatrzymać, tylko Karol musiałby natychmiast, ale to natychmiast poddać się serii zastrzyków tam, no wiesz, no w okolicy jąder. Powiedziałam lekarzowi, że on na pewno będzie chciał. No bo przecież znam Karola. Lekarz wszedł na jakąś stronę WHO, gdzie monitorują rozprzestrzenianie się tego... *Dracunculus vulgaris*... i zgodnie z ostatnimi wytycznymi WHO chciał wpisać dane Karola do systemu, ale jak się okazało, nikt o takich danych nie istnieje.

– Nie?

– Nie. I nie wiem, jak mam mu to powiedzieć, bo on się ode mnie odciął. Zablokował mnie na wszystkich portalach i komunikatorach. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie mogłam. A ja chcę być fair, mimo że on nie był i... Tak pomyślałam o tobie, że ty masz swoje sposoby namierzania ludzi i na pewno byś go znalazła. Ja niczego od niego nie chcę, tylko powiedzieć mu, że ma poważne problemy i że musi się zgłosić...

W tym samym momencie Damian wyswobodził się z więzów i jak oparzony wystrzelił z łóżka w kierunku łazienki. Anka odprowadziła go wzrokiem, a potem cicho podziękowała Karolinie i się rozłączyła.

Usiadła wygodnie na łóżku, przesunęła dłonią po prześcieradle, a na kolanach położyła sobie pudełko.

„Pora na punkt ostatni, *grande finale* planu. *Finis coronat opus*, czyli Damianku, wypierdalaj”.

Damian wrócił po kilku długich minutach. Twarz nadal miał spoconą i w kolorze głębokiej czerwieni. Najpewniej bardzo dokładnie się oglądał, z głową w dole...

– Wszystko w porządku? – zapytała Anka.

– Tak – mruknął. – Na szczęście.

– Aż tak się przejąłeś? – zdziwiła się, a kiedy spojrzał na nią, nie rozumiejąc, dodała: – No, tą historią Karola.

– Nie. Tylko coś... Coś mi chyba zaszkodziło – odparł, siadając na łóżku. – Nie wiem, w każdym razie straciłem ochotę na to wiązanie i w ogóle. Powiniennem pójść do lekarza. Ostatnio jakoś gorzej się czuję.

„Jasne” – pomyślała Anka. „Ani chybi lilnica dotarła do mózgu”.

– No to ja mam dla ciebie prezent, który na pewno cię zrelaksuje! – Entuzjastycznie zamachała mu pudełkiem przed nosem. – W środku jest coś, co przeniesie nasz związek na zupełnie inny poziom! Absolutnie go odświeży! Czegoś takiego jeszcze nie doświadczyłeś. No, otwórz! – zachęciła, podając mu kartonik.

Damian uniósł wieczko i zajrzał do środka.

– Ale... Co to jest? – zapytał, wyjmując owinięty w papier podłużny, walcowaty kształt. – Czy to... – Spojrzała na nią z niedowierzaniem, a Anka w duchu zachichotała.

– Wiesz... – zaczęła zmysłowym tonem. – Na początku myślałam, że to coś tylko dla ciebie. Ale im dłużej się zastanawiałam, tym większe miałam przeświadczenie, że to prezent również dla mnie. Tak w zasadzie to zrobi dobrze nam obojgu. No, odwiń!

Damian przyglądał jej się jeszcze przez chwilę nieco skołowany, po czym powoli rozwinął papier. Ich oczom ukazał się rulon studwudziestolitrowych czarnych worków na śmieci.

– Yyy... – bąknął Damian. – Nie rozumiem...

– No, pomyśl, skarbie! – zachęciła go Anka. – Przecież umiesz – dodała, on jednak, pozostając jeszcze pod wrażeniem perspektywy nagłej śmierci, nie wychwycił tej złośliwości.

– O jeny! – wykrzyknął po chwili, jakby go olśniło. – Chcesz kupić to wielkie mieszkanie, które ostatnio oglądałaś w necie? Tak? Wyprowadzamy się?

Ania uśmiechnęła się delikatnie.

– Prawie, skarbie, prawie – odparła, a kiedy spojrzał na nią z pytaniem w okrągłych, puściuteńkich oczach, dodała: – Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Ano taki, że jak by to powiedziała Inga, jebnęła ci się końcówka fleksyjna. Nie my się wyprowadzamy, a ty się wyprowadzasz. I to zaraz.

Zaniemówił, a ona wstała gwałtownie.

– Myślisz, że o niczym nie wiem? Że możesz mnie traktować jak niańkę, dmuchaną lalę i Caritas w jednym? Nigdy więcej nie chcę cię widzieć! Masz w tej chwili się wynieść! Wypierdalać! W tej jebaniułkiej chwili! I gównu mnie obchodzi, dokąd pójdziesz! Wiedz tylko, że Karolina na pewno cię nie przyjmie. Być może zrobi to mamusia, choć nie mogę być pewna. Pewnie już czyta esemesa o tym, że za kilka miesięcy zostanie babcią, i cóż, nie mam zielonego pojęcia, jak zareaguje na tak szokującą wiadomość. Ja w każdym razie niczego od ciebie nie chcę, ale nie myśl sobie, palancie, że uciekniesz od odpowiedzialności za dziecko, które machnąłeś Karolinie! Ty mały, tępy chujku!

Nabrała powietrza w płuca i przeniosła spojrzenie na worki na śmieci.

– Pomóc ci, Karolku, czy wyniesiesz się sam?

## Rozdział 14

*Czasami los od ręki potrafi załatwić rzeczy niemożliwe, i to bez specjalnego proszenia, a względem zwykłych, przyjemnych zbiegów okoliczności, które nieraz uratowałyby dzień, oczekuje od nas niemalże pisemnego podania z trzema fotografiami, które laskawie rozpatrzy w trybie trzymiesięcznym bądź wcale. Niby nic, ale w obliczu własnej nieprzewidywalności i tego, z jaką rozkoszą zazwyczaj się nami bawi, od czasu do czasu mógłby wykonać w naszą stronę maleńki gest sympatii. Choćby miało to postać znalezionej na ulicy dwuzłotówki, nieoczekiwanego spotkania z dawnym miłym znajomym czy ominięcia na chodniku niesprzątniętej przez kogoś psiej kupy.*

Przez cały poniedziałkowy wieczór i wtorkowy poranek Inga siedziała jak na szpilkach, czekając na jakąkolwiek informację od Anki, ale telefon uporczywie milczał. Nie dawał się zaczarować ani spojrzeniem, ani szeptami „no dalej, dalej” i pozostał niewzruszony niczym posąg Dawida – do momentu, gdy około dziewiątej zadzwoniła Barbara i okazało się, że ona też nie dostała żadnej wiadomości. Ustaliły więc między sobą, że dadzą pani prokurator jeszcze chwilkę oddechu (bo być może tego właśnie potrzebowała), po czym – jeśli nadal nie odpowiedziałyby na ich wiadomości – koło piętnastej przystąpią do zmasowanego ataku na mieszkanko na ósmym piętrze.

Mimo wyznaczenia sobie tak konkretnego celu trudno im było czekać – i jednej, i drugiej. Inga na początku próbowała jeszcze się skupić na pracy, tym bardziej że książka napisana przez operatora numeru sto dwanaście, którą nadal miała na warsztacie, była nie tylko ciekawa, ale i genialnie napisana, ale litery uciekały jej przed oczami, a herbata z malinami, dotąd tak pysznie słodka, tym razem miała wyjątkowo gorzki smak.

Baśka z kolei, chociaż zapowiadał jej się intensywny tydzień (wypuszczali na rynek absolutną nowinkę farmaceutyczną, czyli kolagen w sprayu z natychmiastowym i piorunującym efektem liftingującym), postanowiła zupełnie nie zwracać sobie głowy nawałem obowiązków ani absolutnie nie biczować się z powodu tego, że nie jest w stanie się skupić na pracy. Poprosiła tylko Jadwigę (asystentka była zachwycona i biżuterią, i podwyżką), by zrobiła jej szatańsko mocne espresso, i opierając stopy na podnóżku, oddała się rozważaniom na temat wyższości bielizny jedwabnej nad bielizną z francuskiej koronki.

W tak zupełnie odmiennych nastrojach dotrwały do chwili, kiedy długa wskazówka zegara znalazła się na dwunastce, a krótką na dwójce. Wtedy Basia wsunęła stopy w szpilki i poczuła lekkie ukłucie niepokoju, Inga zaś przebrała się z ciuchów roboczych w sukienkę i zaczęła się denerwować jeszcze bardziej. Umówiły się na czternastą trzydzieści pod klatką Anki. Inga przybyła na miejsce nieco wcześniej i czekała na Basię przed drzwiami na korytarz, a ta, na niebotycznie wysokich szpilkach, zjawiła się chwilę później, dzierżąc w ręce papierową torebkę z logotypem prestiżowej francuskiej cukierni, której wyroby Inga знаła tylko z nazwy.

– Makaroniki od Ladurée – wyjaśniła Basia. – Są dobre na wszystko. Przywracają do życia nawet umarłego. Kupiłam w Paryżu żelazny zapas.

Wstukały znany na pamięć kod do klatki i po chwili znalazły się w ciasnej i wciąż woniejącej kiszonce windzie. Barbara zapatrzyła się w pęknięte lustro, a Inga spojrzała na znajomą białoniebieską wlepkę Lecha Poznań. Poprzednie hasło o spaghetti zostało zamazane czarnym flamastrem i teraz pod nim biło po oczach nowe: „Legia pierze szaliki na tarze w rzece”.

– Trochę się boję, co tam zastaniemy – wyznała Inga. – A jak on wciąż tam jest?

Baśka ostatni raz zerknęła w lustro i wyduła usta, Inga zaś westchnęła, a po chwili dodała:

– Mimo wszystko mam nadzieję, że jego już nie ma. I że Anka po prostu postanowiła spędzić ten dzień na urlopie na żądanie i pod kocem.

Kiedy dotarły na ósme piętro, Barbara ostatni raz zerknęła na swoje nieskazitelne odbicie, a Inga mimochodem pomyślała o ostatnim razie, kiedy podróżowała tą windą. I o spotkaniu z blondynem z kitką. Mogłaby zapytać Ankę o... Albo jednak nie – szybko odpędziła tę myśl. Teraz najważniejsza była przyjaciółka.

Z westchnieniem ulgi wyszły na korytarz, na którym może i nie pachniało jakoś ożywczo, ale przynajmniej nie śmierdziało kiszonymi ogórkami.

Kiedy znalazły się przed drzwiami mieszkania Ani, ich uszu doszło dudnienie muzyki. Inga spojrzała na Basię.

– Bajm? – wyszeptała.

Basia skinęła głową, a potem nacisnęła dzwonek – najpierw raz, a potem drugi, dla pewności. Po kilku sekundach za drzwiami coś się zakotłowało, zatrzeszczało, aż w końcu usłyszały chrzęst zamka i drzwi się uchyliły, a oczom dziewczyn ukazała się Anka – z nabrzmiałą, opuchniętą od płaczu twarzą, zalana łzami i czymś, co przypominało smarki i najpewniej nimi było. Jednak wcale nie to sprawiło, że Inga i Basia skamieniały, a Inga dodatkowo poczuła, jak robi jej się słabo, bo oto wróciły do niej najczarniejsze wspomnienia z Nowego Jorku. Jej przyjaciółka stała przed nimi boso i caluteńka, od stóp do głów, była ubrudzona karmazynowoczerwoną mazią. W ręce zaciskała metalową szpachlę, z której prosto na podłogę czerwonymi kroplami skapywała... No właśnie. Inga przymknęła oczy. Tylko tyle jej wystarczyło, by demon powrócił, a w nosie załaskotał ją znajomy metaliczny zapach. Gdy uniosła powieki, spostrzegła jeszcze, że tuż za Anią, na panelach, ciągnie się krwisty ślad. Aż straciła dech. Przerażona spojrzała na Barbarę. Błada jak ściana dyrektorka operacyjna na region Europy Środkowo-Wschodniej tkwiła obok niej niczym żona Lota – skamieniała i porażona, z półotwartymi ustami.

– Zaaaa... Zaaabiłaaaam gooo! – zawyła nagle Anka i rozryczała się dokumentnie.



Basia ściszyła muzykę w odtwarzaczu i podeszła do Ani, która skulona na kanapie wyciągała kolejne chusteczki z kartonika trzymanego przez Inę.

– No dobrze, kochana, to ty sobie jeszcze popłacz, ja zaparzę herbaty, a potem trochę tu posprzątamy. Bo jest co – powiedziała spokojnie i jakoś tak nieswojo.

– Tak, ogarniemy to – potwierdziła Inga.

Tuż po przestąpieniu progu mieszkania dziewczyny zastały istny armagedon. Cały przedpokój i duży pokój, pełniący dotąd funkcję salonu, przeistoczyły się za sprawą Anki w rzeźnię jej wściekłości, gniewu i smutku, a mówiąc wprost: w pracownię szalonego malarza, który ewidentnie postradał zmysły. Inga poczuła ogromną ulgę na widok sztalug, farb i werniksów, uzmysłowiwszy sobie, że pani prokurator na szczęście nikogo nie zamordowała, a jedynie przy dudniących dźwiękach zapętlonej piosenki Lola, Lola, a zwłaszcza słowach refrenu: „Zabiłam go całą mocą swą”, wyżywała się na kolejnych płótnach, zbryzgując je wszelkimi odcieniami czerwieni z przewagą karminu i szkarłatu oraz niewielkim odchyłem w kierunku lilaróż. Dziewczyny skonstatowały, że Damian na szczęście wyniósł się całkowicie, zniknęła bowiem z przedpokoju nie tylko jego kolekcja mokasynów w kolorze palonego karmelu, ale i lniane marynarki z garderoby oraz ostatni bastion starwarsowego uniwersum w tym mieszkaniu, czyli płaszcz Lorda Vadera, który zwykle pysznił się dumnie na wieszaczku obok prokuratorowskiej togi Anki, a który nie przedstawiał sobą żadnej wartości materialnej, lecz jedynie sentymentalną, gdyż został uszyty dla synusia przez królową Irenkę.

– Ja... Ja... – próbowała wykrztusić z siebie Anka. – Ja...

– Nie musisz nic mówić – powiedziała łagodnie Inga. – Najtrudniejszy krok masz już za sobą. Zobaczysz, że teraz będzie wyłącznie lepiej. Lżej. Masz więcej przestrzeni, i to nie tylko tej fizycznej.



Ania podniosła na nią zażawiony wzrok.

– No może – sapnęła. – Bo... Ja nie chcę, żebyście myślały, że ja tęsknię czy coś... Albo że, nie wiem, nagle zaczęłam żałować – wyjąkała tonem usprawiedliwienia. – Nie chcę, żebyście myślały, że nagle coś mi się odmieniło, jak zobaczyłam te puste półki... I w ogóle... Nie! Ja... Ja... Po prostu... – Dostała nagłego ataku czkawki i musiała przerwać.

Inga z troską pogłaskała ją po ramieniu.

– Czujesz się oszukana i... się boisz – dokończyła za nią.

Anka pokiwała głową, czkając zawzięcie.

– Chyba mu... hik! ...szę się wyką... hik! wykapać...

– To bardzo dobry pomysł. Idź już do łazienki, a ja ci przyniosę jakąś sukienkę.

Anka stoczyła się z kanapy i szurając nogami, poszła napuścić wody do wanny, a Inga w tym czasie znalazła w jej szafie jasną jedwabną sukienkę. Zanim dała ją Ani, zajrzała jeszcze do kuchni, gdzie Barbara gapiała się w okno, czekając, aż woda na herbatę się zagotuje.

– Anka weźmie teraz kąpiel, więc melisa może poczekać – powiedziała Inga. – Ale my możemy trochę ogarnąć mieszkanie.

Barbara skinęła głową.

– Nie sądziłam, że to nią aż tak wstrząśnie – powiedziała tylko.



Po czterdziestu minutach mieszkanie wyglądało już całkiem znośnie, a Inga kończyła układać tubki farb w pojemniku, kiedy z łazienki wyłoniła się Ania w sukience i z ręcznikiem na głowie.

– Ale malować się nie zamierzam! – ostrzegła dziewczyny, które patrzyły na nią badawczo; Inga ze współczuciem, a Barbara przenikliwie. – Ani grama mascary czy pudru. Nałożyłam krem, wystarczy. – Westchnęła. – I ani myślę iść dzisiaj na jogę. Ta wczorajsza sytuacja tak mnie przetreno-no-no-wa... wałaaa... – Z jej oczu znów popłynęły łzy.

– No teraz to już naprawdę pora na herbatę. I makaroniki – oświadczyła stanowczo Barbara i zwinęła żagle w kierunku kuchni, dając Indze sygnał spojrzeniem, by zajęła się tym, co jej samej przychodziło z trudnością, mianowicie pocieszaniem strapiionych na duchu.

Ona wolała pozostać przy fizycznych oznakach obecności. A francuskie słodczyce i dzban herbaty sprawdziły się w takich okolicznościach znakomicie.

Anka klapnęła na kanapę, a Inga dosiadła się do niej.

– Kurwa, Inga – wybełkotała Anka, połykając łzy. – Czemu to się tak dzieje? Ja wcale nie chcę tak reagować. Nienawidzę płakać. Tylko mnie po tym boli łeb!

– To się chyba nazywa żaloba. – Inga podała jej chusteczki. – I jest potrzebna. Do przerobienia pewnych rzeczy...

– Żaloba? – Anka spojrzała na nią jak na kosmitkę. – Żaloba? Przecież nikt nie umarł! A, kurwa, mógł! Byłam tak blisko, że nie masz pojęcia!

– Wykazałaś się wyjątkowym miłosierdziem, to fakt – przyznała Inga. – Ale chodzi mi raczej o to, że w takich chwilach czuje się żal nie za człowiekiem, ale za czasem, który się w zasadzie, no... Straciło... Bo nagle dochodzi do ciebie, że mogłaś spożytkować te miesiące czy lata na coś zupełnie innego, co dałoby ci satysfakcję i... co by cię nie zraniło... aż tak... – Umilkła.

Anka pociągnęła nosem i spojrzała na nią uważnie.

– Rozumiem... Wiesz, żal mi bardzo, że to aż tyle lat... No bo się jednak przyzwyczaiłam. Myślałam, że tak już będziemy razem do starości... Że na emeryturze pojeździmy po świecie... A teraz dochodzę do wnio-

sku, że byłam naiwna. – Wygięła usta w podkówkę i siąknęła głośno. – Ale wiesz, co jest najgorsze? Że jestem ofiarą, a mimo to czuję się w tym wszystkim taka głupia! Że dałam się wykorzystać... I tak mi wstyd... Że... Że w ogóle sobie na to pozwoliłam! Ja!

– Bo „miłość upokarza cię jak hazard swoją grą” – zanuciła Basia, wchodząc z pełną tacą. – Czasem musimy porządnie dostać po głowie, żeby zrozumieć, w jakim fakapie siedzimy i że nawet zaczęłyśmy się w nim urządzać. Ale spójrz na to z innej strony: rozszyfrowałaś Damianka we właściwym momencie. A co by było, gdybyś dowiedziała się o tym wszystkim, mając z nim dwójkę dzieci i hipotekę?

– I nie musisz się z nikim przepychać na rozprawie rozwodowej – dodała Inga. – Masz przed sobą kawał życia, a w perspektywie całe tryliardy fajerwerków.

Anka siedziała i przez kilka sekund trawiła ich słowa, po czym wyciągnęła rękę po makaronik.

– No! – Baśka mruknęła zadowolona. – Jeszcze pistacjowego spróbuj. Kupiłam je specjalnie dla ciebie w paryskiej manufakturce, a Francuz, który je dla mnie pakował, miał dłonie jak... – Jęknęła wymownie.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi.

– To ja otworzę – zaoferowała się Inga.

Kiedy zbliżała się do drzwi, przeszło jej przez myśl, że to może być Damian. Zerknęła przez wizjer, jednak zobaczyła tylko biel. „Może coś jest nie tak z soczewką?” – pomyślała, uchylając drzwi.

Pierwsze, co zobaczyła, to ogromne płótno malarskie, rozciągnięte na blejtrami, a kiedy skierowała wzrok na dół, spostrzegła, że płótno ma też nogi, a na stopach nosi klasyczne granatowe trampki.

– Z doręczeniem do rąk własnych Anny Krauze – powiedziało pogodnym tonem płótno, a Inga uzmysłowiła sobie, że gdzieś już słyszała ten głos, nie mogła sobie jednak przypomnieć gdzie.

Kiedy tak milczała, próbując dopasować głos do jakiejś twarzy, płótno zaczęło się obniżać i po chwili pojawiła się za nimi para szarostalowych oczu w kolorze burzowego nieba.

Inga oniemiała i poczuła, jak robi jej się słabo.

Płótno najwyraźniej również zasłabło, bo z cichym łoskotem upadło na podłogę.

– O... – powiedzieli jednocześnie.

– O! – powiedziała pani Sierczyńska, wyłaniając się z drzwi naprzeciwno. – Pan Jakubek! I pani... – Przyjrzała się Indze. – A pani to się chyba ostatnio nie przedstawiła, prawda?

– Jestem... Inga – przedstawiła się z trudem Inga, czując, jak przepływa przez nią fala gorąca, tym bardziej że Jakub, posławszy sympatyczny uśmiech starszej sąsiadce, znów patrzył prosto na nią.

– A to pani Anię zna – pokiwała głową Sierczyńska, zamyślając się na moment. – A co to tam się dzieje, że ostatnio ratować trzeba było? A dziś taka głośna muzyka? Jakieś kłopoty z tym, no... Tym w mokasynach? – szepnęła konspiracyjnie, usiłując zajrzeć przez drzwi w głąb mieszkania, ale Jakub zdążył już podnieść płótno i trzymał je w taki sposób, by zasłonić starszej pani wgląd w cudze kąty.

– Ach, przyniosłem tylko płótno dla Ani. Wpada do mnie czasami na lekcje malarstwa – wyjaśnił, a Indze zakręciło się w głowie.

To był ten instruktor malarstwa, którego wizytówkę dostała od Anki, ten, który pachniał jak tykwa od yerba mate?!

– Ach tak, ach tak... A ja tu akurat sąsiadkę odwiedzałam. Napiekłam więcej tych drożdżówek dla waszych dzieciaków – Sierczyńska zwróciła się do Jakuba, poufale kładąc mu dłoń na ramieniu – to pomyślałam, że się z Julitką podzielię, ona taki słodki ząbek, lubi sobie pojeść czasem, a mówi, że takiego drożdżowca jak ja to nikt nie umie, tylko jej świętej pamięci babka nieboszczka... – rozgadała się, aż jej zaschło w gardle. – No, to pan, panie Jakubku, wpadnie do mnie, akurat ciasto zdąży wystygnąć, i weźmie dla tych maluchów, dobra? Tyle ich tam macie...

Jakub uśmiechnął się szeroko.

– Przyjdę na pewno. Dzieciaki się ucieszą.

Pani Sierczyńska z zadowoleniem poklepała go po ramieniu i ruszyła w kierunku windy.

Jakub ponownie spojrzął na Inge, która z rumieńcami na policzkach wgapiała się w niego, straciwszy nagle – po raz kolejny – całą swoją odwagę.

– A więc pani redaktor – raczej stwierdził, niż zapytał, i zrobił to dziwnie miękkim tonem. – Dziewczyna od książek, która marzy o malarstwie... – A dostrzegłszy w jej oczach bezbrzeżne zdumienie, dodał wyjaśniająco: – Anka mi trochę o tobie opowiadała. O tobie i tej... Baśce. Tej od Bajmu.

Uśmiechnął się i wyciągnął ku niej podobrazie malarskie. Złapała je machinalnie, niemal w tym samym miejscu, w którym wcześniej znajdowały się jego dłonie, więc lekko musnęła jego palce i właśnie w tym momencie przeszył ją elektryzujący dreszcz. Poczua ciepło, które przeniosło się z jego ciała na bawełniane płótno.

Kompletnie nie wiedziała, co się z nią dzieje. Te reakcje, zupełnie nastoletnie, jakoś nie pasowały do dorosłej kobiety, która dźwigała na plecach bagaż pełen tyłu trudnych wspomnień, a którą ona, Inga Winter, przecież była.

– Przynajmniej wiem już o tobie nieco więcej. Nie tylko to, że lubisz ratować ludzi. I to wszystko, co już wiem, łączy się w piękną całość – dodał Jakub. – To co? Do zobaczenia?

– Chyba tak – zdołała wydusić.

Mężczyzna uśmiechnął się ciepło, spojrzął jej głęboko w oczy i odwrócił się, by odejść.

– A czy... – odezwała się nagle Inga i urwała.

– Tak?

– Czy... Jakimi technikami uczysz malować?

Jakub popatrzył na nią przenikliwie.

– To zależy – odparł, a ona wyczekująco uniosła brwi. – Od tego, czego mój uczeń akurat potrzebuje.



Inga zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami, próbując uspokoić oddech i myśli, które szturmem atakowały jej głowę.

Zza drzwi do salonu wychynęła Barbara.

– Jezu, co tak długo? Ile można odbierać przesyłkę od kuriera?

– To nie był kurier – odpowiedziała Inga, nieco przytomniejąc. – Tylko nauczyciel malarstwa – dodała, targając podobrazie do salonu.

– Co? Kuba? – Anka podniosła głowę. Miała zaczerwienioną od płaczu twarz, a wilgotne po myciu włosy spływały jej w strąkach na kark. – A, tak... Zapomniałam, że miał mi podrzucić płótno, bo zamawia je w większych ilościach taaaa-haaaa-haaaa-niej... – zająknęła się i znów zaczęła płakać.

„No i widzisz” – przekazała wzrokiem Indze Baśka. „Nic lepiej”. Sugestywnie wskazała na talerzyk z makaronikami, które ostatecznie pozostały nietknięte.

– Opowiesz mi trochę o tych lekcjach i w ogóle? – Inga pomyślała, że może zmiana tematu na chwilę dobrze zrobi Ance, a to było pierwsze, co przyszło jej do głowy po spotkaniu z Jakubem. – No wiesz, od czego się zaczyna i tak dalej.

Ania wytarła nos i wzięła do rąk kubek herbaty. Siedziała przez dłuższą chwilę w milczeniu, po czym nabrała głęboko powietrza.

– Okej, masz rację – powiedziała, natychmiast odczytując intencje przyjaciółki. – Koniec płaczu. Koniec wstydu. To nie ja powinnam się wstydzić, tylko on! Tylko on!

– No! – zawołała Baśka. – Nareszcie! *No more tears*, bejbe! *No more!* Wstyd wymyślili dziadersi, żeby porządkować sobie kobiety. Ale koniec z tym.

Anka potrząsnęła głową na znak, że się zgadza.

- Dobra. Dajcie mi chwilę, umyję twarz, trochę się uczeszę i... Zaraz wrócę.

Po kilku minutach zjawiała się w pokoju już bez śladu łez na policzkach. Usiadła na fotelu, podkuliła kolana i sięgnęła po pistacjowy makaronik. Zjadła go w milczeniu, a potem wymownie spojrzała na Inge.

- Okej. No to z tym malowaniem jest tak, że Kuba ma swój autorski program. - Wzięła kolejne ciasteczko. - On w ogóle jest megafajny. Skończył ASP, przez jakiś czas malował nawet za granicą, dla jakichś portugalskich galerii, i chyba uczył malarstwa na tamtejszej uczelni w Évorze. Miał ambicje, żeby tam osiąść, wiecie, kupić kawałek ziemi, jakiś niewielki dom. Nawet mu się układało. No ale stało się, jak się stało, że musiał wrócić. I teraz niby nadal uczy, robi to, co lubi, ale wiadomo, to już nie ta skala. No i sporo czasu mu zabiera opieka nad dziećmiakami.

Inga poczuła gwałtowne zimno w okolicach piersi. Uzmysłowała sobie, że rzeczywiście - i Jakub, i pani Sierczyńska zarówno podczas pierwszego, jak i drugiego spotkania wspominali coś o dzieciach, ale ona niespecjalnie tę informację przyswoiła, z góry zakładając, że chodzi o dzieciaki, które Jakub przecież uczył malować w osiedlowym domu kultury. Czyli bezczelnie ją podrywał - tak to przynajmniej odebrała - podczas gdy miał dzieci i zapewne żonę?! „Naiwna, głupia Ingusia... Nigdy się nie nauczysz, co?” - odezwał się w jej głowie karcący głosik. „Niby tyle przeszłaś, tyle doświadczyłaś, a nadal...”

- ...i pewnie kiedyś będzie zajebistym tatą - dokończyła Anka.

- Co? - zapytała głupio Inga.

- Co „co”? - Anka nie zrozumiała, zajęta ogryzaniem trzeciego makaronika.

- Czemu tatą? To ta gromada dzieci... One nie są jego?

- Nieee... - Anka zlizywała nadzienie. - To maluchy jego siostry. W sumie nie tylko maluchy, bo jest też dwoje nastolatków. Ona prowadzi rodzinę zastępczą. Po tym, jak dwa lata temu tragicznie zmarł jej mąż, potrzebowała pomocy. No i Jakub porzucił świetną posadę na uczelni, marzenia o *casa* w Portugalii, spakował manatki i wrócił do Poznania. Magda mieszka w mojej klatce, na piątym, a Kuba jest u niej kilka razy w tygodniu, kiedy może. Bo jednak te dzieciaki potrzebują też męskiego wzorca. I tak już mają mocno przejebane w życiu... - Przerwała.

Dziewczyny milczały. Inga próbowała uporządkować natłok rewelacji na temat Jakuba, Ania bezrefleksyjnie, ale już z większym spokojem w duszy, kończyła chrupać ciasteczko. Ciszę przerwała Basia, wyjątkowo głośno siorbiąc herbatę.

- Dziewczyny, miało być o malarstwie, a znowu wyszły jakieś smuty. Ja proponuję odpalić jakiś filmik, zamówić sushi, a po kolacji solidarnie się rozejść. - Zaczęła stukać palcem w telefonie. - Jadwiga mi właśnie przysłała rozpiskę na jutro i pojutrze i powiem wam, że nie wygląda to różowo. To co? Wy wybieracie film, a ja karmę dla naszych boskich powłok?



Kiedy po wepchnięciu w siebie idealnych kawałków sashimi i rolek z łososiem i kilkoma innymi smakowicie brzmiącymi dodatkami w tempurze dziewczyny podniosły się z wygodnych foteli, na zewnątrz zaczynało już szarzyć.

- Dziękuję wam - powiedziała Anka, odprowadzając je do drzwi. - Gdyby nie wy, teraz pewnie nie poznalabym własnego mieszkania. I siebie... I w ogóle...

- Od tego jesteśmy - stwierdziła Barbara. - Takie rzeczy załatwiamy od ręki.

- Zadzwoisz, jakby co? - upewniła się Inga, ściskając Ankę na pożegnanie. - Albo ja zadzwonię po powrocie, przed pójściem spać, dobrze?

Ania skinęła głową.

- Dzięki. I... Naprawdę, jestem wam ogromnie wdzięczna.

Kiedy dziewczyny znalazły się w windzie o zapachu kiszonki, Inga spojrzała na Barbarę.

– A u ciebie – zaczęła – wszystko w porządku?

– Jak najlepszym! – wypaliła natychmiast Baśka.

Zabrzmiało to nieco sztucznie. Inga postanowiła zagrać w otwarte karty.

– Bo na początku zareagowałaś tak...

– Jak?

– Byłaś przerażona.

Barbara przewróciła oczami.

– A dziwisz się? Raczej trudno mi czerpać przyjemność z obcowania z krwią, flakami i...

„...trupem” – dokończyła w myślach. To słowo za każdym razem niebezpiecznie stawało jej w gardle niczym ość.

– A Anka wyglądała tak, jakby bawiła się w Dextera albo przynajmniej mu asystowała.

Inga przyznała jej rację, choć nadal uważała, że Basią całe to spotkanie mocno wstrząsnęło. Obserwowała jej reakcje i czuła, że przyjaciółka wyraźnie coś ukrywa, jednak po jej minie wysnuła wniosek, że teraz już lepiej o to nie pytać. Niemniej po raz pierwszy, odkąd się poznały, poczuła, że choć na pozór są dwoma przeciwnymi biegunami, to jest coś, co naprawdę je łączy. Jakaś cholernie trudna do zdradzenia innym tajemnica.



Tej nocy Inga miała sen. Przyśniła jej się galeria sztuki, którą co dzień widziała ze swojego mieszkania. Ona sama stała na chodniku, tuż przed wejściem, a w oknie witryny widniał sporych rozmiarów plakat. „Inga Winter. Cykl nowojorski. Wystawa czasowa”. W głębi, przez szybę, dostrzegła swoje akwarele. Były tam obrazy z walizki: jej ukochany *Smutek nad rzeką Hudson* i *Manhattan Skyline*... Weszła do środka, a wtedy nad drzwiami zabrzączał cicho miedziany dzwoneczek. Za kontuarem stał starszy pan z przyklejonym do dłoni kubkiem kawy, właściciel galerii. Uśmiechnął się na jej widok i wskazał na kilka pustych miejsc po obrazach.

– Sprzedały się – wyjaśnił rzeczowo. – Na aukcjach online. Szybciutko poszły. Jeden to nawet poleciał do samego Sydney!

Wtedy się obudziła.

Spojrzała na staroświecki budzik przy łóżku, który wskazywał trzecią czterdzieści osiem. Opadła z powrotem na poduszkę i zagapiła się w sufit. To by było coś! Sprzedawać obrazy na cały świat... Co wieczór zasypiać ze świadomością, że jej obraz – jej emocje, doświadczenia i tęsknoty – wisi na czyjejs ścianie w czyimś domu, że co dzień patrzą na niego czyjeś oczy... Wystawa w galerii od zawsze była jej marzeniem, ale może... Może trzeba pójść o krok dalej? I pomyśleć nad stworzeniem własnej galerii – w internecie? Może... To jest naprawdę realne? I spełnialne?

Przymknęła oczy.

Kolejny sen przyszedł nieoczekiwanie i miał zupełnie inny charakter. Inga stała w sali pełnej sztalug i płócien malarskich, która nieco przypominała sale na poznańskiej ASP. Kiedyś miała okazję je zobaczyć, przystępując do egzaminów na uczelnię. W szklanych słoikach pyszniły się posegregowane pędzle i szpatułki, a wokół unosił się zapach farb i terpentyny. Przy jednej ze sztalug, plecami do Ingi, stał mężczyzna. W pewnej chwili odwrócił się i wtedy zobaczyła, że to był Jakub. Nie uśmiechnął się jednak na jej widok. Podeszedł do niej bardzo powoli, poważny i chmurny, a kiedy znalazł się tuż przed nią, tak że czuła jego ciepło, powiedział cicho:

– Długo kazałaś na siebie czekać.

Po tych słowach położył dłoń na jej biodrze. Drgnęła. Jego palce były gorące i tęskne. Czuła się tak, jakby stała przed nim naga. Przełknęła ślinę. A on patrzył na nią. Potem pochylił się i delikatnie, naprawdę delikat-

nie musnął ustami jej wargi. A ona w tym krótkim muśnięciu poczuła wszystko. I delikatność, i namiętność; i spokój, i szaleństwo. Przymknęła powieki, a on jakby tylko na to czekał; pocałował ją znowu, a potem przesunął usta na skraj brody, szyję i ten punkt, przy którym zawsze drżała z rozkoszy. Skąd wiedział, że tam ma pocałować? Że właśnie tam...

Dźwięk budzika rozerwał gęstą ciszę o zapachu terpentyny. Inga otworzyła oczy i odkryła nie tylko to, że na tarczy jest już siódma trzydzieści, ale przede wszystkim – że naprawdę mocno wali jej serce.

## Rozdział 15

*Konfrontacja z prawdą o tym, co przykrego i bolesnego spotkało nas w przeszłości, czego upadającego doświadczyliśmy, bywa trudną lekcją życia, czasami nawet brutalną. Ale jak to lekcja, zawsze kiedyś się kończy, a dzwonek wcześniej czy później oznajmi nam, że oto właśnie przyszedł czas, by wyleźć z jaskini rozczarowań i smutku. Najpierw na korytarz, na którym być może panuje chaos, harmider i jeszcze wiele innych niezbyt przyjemnych okoliczności, ale później to już tylko: słońce, wiatr i wolna głowa.*

Barbara Kochańska jechała swym wygodnym mercedesem, nieznacznie przekraczając dozwoloną prędkość. Gdyby nie obowiązywały żadne ograniczenia ani ona sama nie narzucała sobie przyzwyczajenia na drodze, z pewnością rozwijałaby teraz podświetlną – tak bardzo pragnęła już być w Rzęsinach.

– Nawigacja mówi, że zjawię się u ciebie za pół godziny – powiedziała przez system głośnomówiący do Zosi, którą właśnie miała na linii.

– To i w czas. Gołąbki już dochodzą.

– Pędzę!

– Żadnych takich, Drobinko. Patrzę na zegarek i jeśli ty mi tu przygnasz wcześniej niż za trzydzieści minut, zezłoszczę się na ciebie okropnie. A nie chciałyś tego.

W rzeczy samej by nie chciała. Tylko jeden raz widziała Zosię w złości. Tylko. Jeden. Raz. Było to wówczas, gdy przyjechał do nich z wizytacją pan poseł. Oznajmił wtedy Zosi, że „ta ponura placówka, którą pani zarządza, generuje wyłącznie koszty, żadnych korzyści dla regionu. Czas ją zamknąć albo przekształcić w wesołe przedszkole”. Zosia, słysząc to, spurpurowiała na twarzy i nie zważając na konwenanse, obecność lokalnego dziennikarza rejestrującego każde jej słowo oraz wianuszek pochlebców posła stłoczonych wokół nich, wygarnęła mężczyźnie całą prawdę o tej „ponurej placówce”.

– Zgadzam się z panem, że jest ponura – mówiła przez niemal zaciśnięte wargi. – A jaka niby według pana ma być, skoro trafiają do niej tylko ponure dzieciaki? Tylko takie, które widziały w życiu śmierć, wódę i narkotyki...? Które nie miały żadnych perspektyw, żadnych wzorców? Czy pan uważa, że ja takiemu dzieciakowi z traumą mam nad drzwiami wejściowymi kwiatuszki i baloniki poprzyć? Albo, oooo, transparenck: „Witajcie w naszej bajce”? Pan myśli, że taki poorany dzieciak to łyknie jak pigułkę na ból głowy? Albo jak pan szklaneczkę whisky w ciepłym domu przed telewizorem? – Wycelowwała w niego palcem. – Dziecko tego nie łyknie, proszę pana. I tych pana głupot też nie.

Poseł się zapowietrzył i już chciał coś odpowiedzieć, ale Zosia była jak w transie.

– Piętnastolatka z dwiema próbami samobójczymi – wyszczała – dwunastolatek, którego ojciec na jego oczach zabił matkę, kolejny z problemem alkoholowym, dziesięciolatka z ojczymem sutenerem... Mam wymieniać dalej? Chce pan poznać inne, jak pan to beztrąsko określił, „ponure” historie? A może życzy pan sobie spotkania twarzą w twarz z tymi „ponurymi” dziećmi? – sarknęła. – Gdyby zapytał pan, jakie sukcesy udaje nam się osiągać w tak ponurym, niedofinansowanym przez władze miejscu, powiedziałabym panu, że jedna czwarta naszych podopiecznych idzie na studia. Że wśród naszych dzieci mamy prawników, inżynierów, nawet lekarzy. Takich, którzy osiągają sukcesy, którzy zakładają rodziny i żyją w normalnych, zdrowych związkach. Oczywiście nie wszyscy wychodzą na prostą. Są dzieciaki powielające błędy rodziców, nie zaprzeczam. Ale najważniejsze, szanowny panie, to fakt, że my, w tym „ponurym” miejscu, dajemy im nadzieję na to, że „ponury” świat wysiłkiem i uśmiechem da się przemalować. Że może być inny, lepszy, kolorowy.

Basia widziała tę scenę z bliska i chociaż miała wtedy niespełna dziesięć lat, zapamiętała ją ze szczegółami. I zapamiętała też, że ów poseł do końca swojej kadencji nigdy już nie pojawił się w Rzęsinach. Po la-

tach dowiedziała się jednak i tego, że mimo wszystko o Rząsinach nie zapomniał. A raczej nie zapomniał o Zofii Drawskiej, którą za obrazę wielce szanownego poselskiego majestatu na różne sposoby przez kolejne miesiące próbował usunąć ze stanowiska dyrektorki Domu Dziecka imienia Janusza Korczaka w Rząsinach.



Zgodnie z planem i złożoną Zosi obietnicą Basia pokonała drogę do Rząsin w trzydzieści minut, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę przed skretem do agroturystyki, przy budynku, który знаła aż za dobrze. Wysiadła z samochodu tuż przed wejściem i zadarła głowę. Dom był pusty, ściany popękane, okna pozabijane zbutwiałymi deskami, na których umieszczono żółte tabliczki ostrzegawcze: „Uwaga! Grozi zawaleniem”. Nie zważając na wysokie szpilki i dopasowaną sukienkę, obeszła budynek dookoła. Serce jej waliło, dosłownie tłukło się w piersiach. A dłonie? Potwornie się trzęsły. Poczowała w gardle ucisk, a w ustach okropną suchość. Przetarła wierzchem dłoni mokre od potu czoło. Boże drogi! Nie pamiętała już, kiedy ostatnio była tak zdenerwowana. Nawet przed prezentacją w Paryżu.

Przymknęła powieki i przed oczami stanął jej obraz z interwencji u Anki, który obudził w niej tyle złych wspomnień. Źle się czuła tamtego popołudnia, kompletnie nie była sobą. Ale leżąc już wieczorem w wannie pełnej piany, postanowiła sobie, że musi, zwyczajnie musi skonfrontować się z tym, co stało się jej udziałem, choć w najmniejszym stopniu nie było jej winą. Dlatego tu przyjechała. Dlatego stanęła przed tym budynkiem. Dlatego...

Coś zakłuło ją w piersi.

Oparła się ręką o zimny mur i próbowała uspokoić oddech. Nagle poczuła, jak kręci jej się w głowie i... straciła przytomność.

Ocknęła się, gdy usłyszała szczekanie psa, a po chwili na twarzy poczuła jego ciepły jeżor.

– Jaskier, nie! – krzyczał z daleka jakiś głos. – Jaskier, do pieruna! Krzywdę jeszcze zrobisz, zarazku jeden! Do nogi!

Ale Jaskier był uparciuchem i leżąca na ziemi blondynka stanowiła dla niego znacznie atrakcyjniejszy obiekt niż znany mu doskonale człowiek, który dziwnym trafem rościł sobie prawo do tego, by czegokolwiek jemu, psu nad psami, zakazywać.

Basia otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą uśmiechnięty psi pysk, a po chwili i męską twarz.

– Nic pani...? Ymmm... To znaczy... Nic ci nie jest?

Dopiero teraz rozpoznała w mężczyźnie Zosinego Olgierda. Przyjęła jego wyciągniętą pomocną dłoń i wstała.

– Cholera jasna – sarknęła, patrząc na rozdartą przy kolanie sukienkę.

– Eee tam, sukienka to pryszcz – stwierdził Olgierd, kompletnie nie zrozumiawszy powagi tego incydentu.

– Nie dla mnie! – odparła Baśka. – Przywiozłam ją z Paryża i bardzo polubiłam. Cholera, cholera jasna! – Opuściła bezradnie ramiona, zdając sobie sprawę, że rozdarcie jest nie do naprawienia.

Olgierd chrząknął.

– Sukienka to naprawdę... pryszcz. – Wykonał ręką kolisty ruch wokół twarzy.

– Ale o co chodzi? Coś nie tak z moją twarzą?

Szybko sięgnęła do torebki i wyjęła cieniusieńkie lustro. Spojrzała w nie i z niedowierzaniem pomacała policzek.

– O kur... – Urwała, jakby zawstydzona obecnością Olgierda, po czym rzuciła: – O matenku przenajświętsza! Jezu Chryste! Co tu się...

Policzek Basi od kącika prawego oka po usta był naznaczony krwistą szramą. Barbara spojrzała na Olgierda znad lusterka, potem ponownie w lustro, a następnie rozejrzała się w poszukiwaniu winowajcy.



Szybko się domyśliła, że to najeżona kolcami gałąź dzikiej róży.

– Obejdzie się bez szycia – stwierdził mało empatycznie Olgierd.

– Co? Bez jakiego szycia? – Znowu namacała ranę. – Moja piękna twarz okaleczona! – jęknęła.

– Do wesela się zagoi. – Widząc, że stwierdzenie oczywistości nie przyniosło oczekiwanego rezultatu, Olgierd postanowił wykorzystać stare szlagiery.

– A co, jak wesela nigdy nie będzie? – prychnęła zdenerwowana Barbara.

Olgierd mruknął pod nosem coś o tym, że przysłowia to mądrość narodów i że nie miała baba kłopotu, to se wlaźła w krzaczory, po czym zapiął Jaskra na smycz.

– A tak w ogóle, to co ty tu robiłaś? W takim stroju?

Basia objęła spojrzeniem straszący swym wyglądem budynek, ponownie położyła dłoń na zdartym do ce-gły murze i rzuciła w myślach krótkie: „Żegnaj!”.

– Coś mnie naszło. Nieważne – odparła.

Olgierd popatrzył na nią ze zrozumieniem. On wiedział. On znał jej historię od początku, choć nigdy, ale to przynigdy się z tym nie zdradził.



Po kilku minutach byli u Zosi. Olgierd nie miał serca puścić Basi samej, więc do celu dotarli w duecie i z Jaskrem uziemionym na smyczy.

– Drobinko kochana, a co tobie? – zapytała Zosia na powitanie.

Wydawała się przejęta, a Basia totalnie zmieszana. Nie chciała się przyznać, że zatrzymała się w miejscu, które skrywało jej największy życiowy sekret.

– To przez twojego Jaskra – wtrącił Olgierd. – Znowu mi zwał i Basia się zatrzymała, żeby pomóc go złapać, ale ten miglanc był sprytniejszy i tak się okręcił, tak zamieszał, że nam dziewczynę wywrócił i szkód narobił.

Zosia dokładnie obejrzała policzek Barbary.

– Obędzie się bez szycia, a i do wesela się zagoi, Drobinko – zawyrokowała.

Olgierd zachichotał.

– To samo jej powiedziałem, Zosiaku, wiesz?

– Ale co do joty?

– Aha.

– Mmm...! – Zosia uśmiechnęła się ciepło do mężczyzny, a potem objęła Basię ramieniem i zawyrokowała: – Przemujemy to i położymy moją maść z ziółek, a potem zjemy gołąbki i napijemy się kompotu albo... orzechówki.



Po dwóch godzinach Baśka była już wstępnie pogodzona ze szramą, którą po wnikliwych oględzinach określiła jako możliwą do zutilizowania w Klinice Piękna podczas jednego z tych magicznych zabiegów wykonywanych przez panią Ksenię. Teraz ze spokojem mogła popijać orzechówkę.

Usiadły z Zosią na tarasie, w przytulonych do siebie fotelach, i patrzyły na słońce odbijające się w tafli sennego jeziora. Olgierd zażywał kąpieli – w slipkach, co Basia przyjęła z nieskrywaną ulgą. Jaskier szalał na brzegu, a kilkoro letników zalegało na plaży na kocach i leżakach.

– Jeszcze raz dziękuję ci za ten prezent. Pewnie kosztował fortunę. Nie musiałś, Basiu – powiedziała Zosia, obracając w dłoniach przywiezioną jej przez Baškę z Paryża elegancką papierošnicę.

– Ale chciałam – odparła ciepło Barbara. – Kiedy ją zobaczyłam w witrynie u jubilera, wiedziałam, że muszę ją kupić, bo... Bo jest tak samo wyjątkowa jak ty.

Zosia poklepała Barbarę po dłoni, a Basia ujęła tę dłoń i ucałowała. Z nikim nie wymieniała takich czułości, więc teraz się wzruszyła. Zawstydzona, otarła ukradkiem samotną łezkę, która popłynęła jej po policzku, i wstała pod pretekstem dolania orzechówki. Kiedy wróciła z buteleczką, znowu była taką Barbarą Kochańską, za jaką chciała uchodzić w oczach świata.

– Pięknie tu masz. Sielsko, anielsko – powiedziała mimochodem, siadając na fotelu.

– A żebyś wiedziała – potwierdziła Zosia. – Tu jest raj, Ostateczny dobrze to rozplanował. Niczego więcej nie mogłabym chcieć na emeryturze prócz takiego małego domku, tarasiku z widokiem na jezioro i mądrego faceta, który i do rany przyłóż, i do siekiery w sam raz. No i jeszcze do innych spraw też całkiem... adekwatny – zachichotała.

– Zosiu!

– No co?! Olgierd lepi takie pierogi z jagodami, że palce lizać!

– Pierogi?

– Oczywiście! To mój prywatny masterchef... A ty myślisz, że kto u mnie jutro założy fartucha?



Piły już drugi dzbanek kompotu, kiedy Zosia nagle przerwała opowieść o najszczęśliwszych wakacjach Basi, które spędziły z Zosią w Zakopanem, i powiedziała:

– A wiesz, Karolinka wczoraj wyjechała.

– Tak?

Do Barbary dotarło, że tak się dała ponieść w całym tym zamieszaniu, że zapomniała zapytać o Karolinę. Poczula niemiłe ukłucie w klatce piersiowej, które należałoby uczciwie nazwać wyrzutem sumienia. W wypadku Barbary był to incydent chwilowy, ale jednak.

– Dzisiaj rano miała wizytę kontrolną – ciągnęła Zosia. – Więc musiała.

– A jak ona się czuła?

– Dobrze, z każdym dniem lepiej. Myślę, że sobie poradzi nawet bez tego nic niewartego faceta, chociaż serce mi podpowiada – pokiwała głową – że ona go kocha... I że mimo wszystko chciałaby z nim być.

– Minie jej! – zachnęła się Barbara. – Od takich jak Damianek ona musi się trzymać z daleka. Każda z nas musi.

Zosia popatrzyła na nią łagodnie.

– Drobinko – odparła czule – ja to wiem, ty to wiesz, ale pozwól jej decydować o sobie. Karolinka jest dorosła, samodzielna. I nie nam oceniać cudze wybory, nawet kiedy uważamy je za złe. Ludzie czasami muszą sami się przekonać, doświadczyć czegoś boleśnie, nawet pocierpieć, by wybrać właściwą drogę. Swoją własną. Poza tym to, czego pragniesz ty, niekoniecznie jest tym samym, czego pragnie Karolina.

Baška westchnęła, przypomniawszy sobie własne pragnienia sprzed ponad dwudziestu lat. I jakoś tak mimochodem zanuciła: „Rośniesz jak młody Bóg na moich ramionach...”, a Zosia od razu podjęła melodię.

– A wiesz co? – stwierdziła nagle. – Może byś wrzuciła na ruszt winylik Bajmu? Dawno nie słuchałam.

– Jasne.

Barbara wstała.

– A jak będziesz wracać – rzuciła w stronę pokoju – to przynieś mi te moje śmierzdziele i...

– I mam nie pytać, dlaczego palisz, bo skoro paliłaś przez dwieście lat, to i przez kolejnych czterysta będziesz?

Zosia zaśmiała się i spojrzała na jezioro, czując rozlewające się po jej ciele ciepło, po czym delikatnymi ruchami rozbijała fotel.



Barbara chętnie skorzystałaby z zaproszenia, jakie skierowała do niej Zosia – by następnego dnia dołączyła do niej i Olgierda na powitaniu słońca – lecz w nieco innych okolicznościach, i ostatecznie wymigała się od porannej medytacji na pomoście. Wizja kolejnego krępującego spotkania z Olgierdem w stroju Adama napawała ją może niekoniecznie wstydem, ale – Barbara uświadomiła to sobie nieco boleśnie – autentycznym przerażeniem. Po prostu były rzeczy, których nie powinna widzieć nawet raz, a już trzy razy to w ogóle.

Zamiast medytacji i kąpieli w ciepłej toni jeziora wybrała spacer jego brzegiem. Wzięła też ze sobą szalonego Jaskra, który za nic w świecie nie dał jej się zapiąć na smycz, ale na szczęście całkiem powściągliwie jak na jego wyjątkową psią osobowość szedł przy jej nodze. Wróciła po prawie godzinie, pełna spokoju, z przewietrzoną głową i myślą, że nigdy więcej nie pozwoli na to, by ktokolwiek nią rządził. A już na pewno nie pieprzone demony przeszłości.

Kiedy zjawiała się u Zosi, ta siedziała przy zastawionym do śniadania stole i z kubkiem herbaty w dłoni.

– Karolinka mi napisała, że jest w szpitalu – wypaliła od razu starsza pani.

Basia spojrzała na nią zaskoczona.

– Co? Jak to? Coś się stało?

– No właśnie tak napisała, że nie wiem. Posłuchaj: „Cześć, Zosiu. Wszystko ze mną dobrze, tylko jestem w szpitalu na Polnej. Na obserwacji, bo tak zalecił lekarz. Ale nie martw się, jestem w dobrych rękach. Wróce, jak tylko mi pozwolą”. No i co myślisz? Bo ja uważam, że coś się stało, a ona tak pisze, żeby mnie uspokoić.

Barbara pokiwała głową.

– Dowiemy się. Poproszę dziewczyny, żeby do niej skoczyły.



Anka z Ingą bez wahania zgodziły się na popołudniowy zwiad na Polnej. Szybko ustaliły u pielęgniarki, gdzie leży Karolina, i z owocową wałówką stanęły w progu małej sali. Karolina leżała na łóżku, przy otwartym oknie, i spoglądała w nie ze smutkiem. Wokół niej zwisały kabelki podłączone do pikającej aparatury i rurka od kroplówki, która kończyła się na wenflonie w zgięciu łokcia.

Inga i Ania pewnym krokiem weszły do środka, mijając po drodze dwa puste łóżka oddzielone przepierzniaczkami i stanęły przy łóżku Karoliny, która oderwawszy spojrzenie od okna, wybałuszyła oczy.

– Dziewczyny? Co... Co wy tutaj robicie? Jak to?

– No właśnie! Jak to?

Anka uśmiechnęła się do kobiety, której w nieco innych okolicznościach powinna szczerze i solennie nie znosić. Jej związek z Damianem może i nie należał do wyjątkowych, ale miał tę jedną zaletę, że był. A tymczasem Ania polubiła Karolinę. No i trochę jej współczuła.

– Jak to możliwe – podjęła – że jesteś w szpitalu i nie dałaś nam znać? Nieładnie, Karola, absolutnie nieładnie.

– No ale ja dopiero leżę tu od dzisiaj i... I nie wiedziałam, że wy...

– Że jesteśmy zainteresowane tym, co się z tobą dzieje? Nie żartuj sobie. Przecież mówiłyśmy ci, że w razie potrzeby możesz na nas liczyć. A ty chyba jesteś w potrzebie. Tak to przynajmniej wygląda...

– Tak jakby jestem – wyszeptwała.

W jej oczach stanęły łzy, a dłoń odruchowo powędrowała w kierunku brzucha.

Inga przysunęła sobie metalowe krzeselko i usiadła obok łóżka. Poglądziła Karolinę po ramieniu, a ta spojrzała na nią niczym zбитy pies.

– Bo ja nie chciałam... Ale myślałam o tym, że może łatwiej by było, gdybym nie była w ciąży... – dukała. – Ale kiedy lekarz mi powiedział, że ciąża jest zagrożona i że mogę ją stracić... Że mogę stracić dziecko, to ja... To ja niemal umarłam. I teraz mam wyrzuty sumienia, że tak źle myślałam, że może to przyciągnęłam. A przecież tak naprawdę nie chciałam.

– Jesteś tu w dobrych rękach – odparła łagodnie Inga. – Ten szpital ma fantastyczne opinie.

– Wiem, ale... To takie strasznie głupie uczucie. Jak robimy serial, to zaklinamy pogodę. Żeby lało, bo akurat nam deszcz w scenie jest potrzebny, albo żeby słońce mocno świeciło. Albo na przykład żeby po weekendzie ten czy tamten zjawiał się na planie w formie. I jak tak mocno o tym myślimy, całym zespołem, to tak się dzieje. Ja wierzę w siłę przyciągania... A co, jeśli przyciągnęłam złe rzeczy na siebie? I na dziecko?

– Nie myśl w ten sposób – powiedziała stanowczo Inga. – Nie możesz. Na pewno niczego złego nie przyciągnęłaś. To biologia, a nie twoje myślenie. Tam – wskazała na brzuch – po prostu dużo się dzieje. Gdyby było coś takiego jak siła przyciągania, to byłabym teraz malarką, bo przecież zaklinam rzeczywistość od lat. A nie jestem, bo samo myślenie nie wystarczy, trzeba jeszcze wykonać jakieś kroki, na przykład pierwszy, najtrudniejszy. Ty też niczego nie zrobiłaś przeciw temu maleństwu, które w tobie rośnie. A że pomyślałaś? Wyobraź sobie, że moja mama, będąc w ciąży ze mną, też musiała leżeć. Powiedziała mi kiedyś, że już myślała, że się nie pojawię, i zobacz! Tadam! Jestem! I niczego mi nie brakuje! – dokończyła pogodnie.

Karolina uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Dziękuję. Cieszę się, że przyszyście – wyznała. – Już mi lepiej. No ale... Powiedzcie, co u was. Zajmijcie mnie czymś, czymkolwiek, żebym przestała już o tym myśleć.

Dziewczyny zaczęły opowiadać o pierdołach, zakupach, wakacyjnych planach (nie miały na razie żadnych, więc temat szybko porzuciły). Kiedy zeszły na pracę, za drzwiami na korytarzu nagle podniósł się rumor, huk, brzdęk, a potem powietrze przeszył nieprzyjemnie wysoki, piskliwy i jakby znajomy Ance głos, na którego dźwięk poderwała się na równe nogi. Uciszyła dziewczyny i wyteżyła słuch, a po chwili nabrała pewności, że to nie był tak jakby znany jej głos, a niestety wybitnie dobrze znany głos, który należał do samej królowej Irenki, szanownej rodzicielki Damiana Karola „Hana Solo” Kurskiego.

– A ten skąd się tu wziął, do cholery? – mruknęła Anka pod nosem.

Podeszła do drzwi i najciszej, jak potrafiła, uchyliła je, powoli wysunęła głowę, a potem błyskawicznie się cofnęła.

– O nie! – rzuciła w kierunku dziewczyn teatralnym szeptem. – Damianek się zjawiał. I królowa Irenka też tu jest. To znaczy leży na podłodze i pielęgniarki ją podnoszą, bo chyba w coś wyrznęła, ale jak ją w końcu podniosą, to zapewne wpadnie do ciebie.

– Do mnie? – spytała Karolina, truchlejąc.

– Uhm... – Anka kiwnęła głową.

– Czego oni mogą ode mnie chcieć? Boże drogi... – zaniepokoiła się Karolina. – Po... Po co tu przyszli?

Maszyna, do której była podłączona, zaczęła szybciej pikać. Inga z niepokojem spojrzała na Ankę.

– Nie denerwuj się – dodała błyskawicznie Anka. – Na pewno nie mają złych intencji. Damian ma wielką wiązkę kwiatów, więc...

– Kwiaty? – przerwała jej Karolina.

Podniosła się na łóżku, poprawiła pościel, a potem uładziła włosy.

– Damian z kwiatami? – upewniła się.

– Tak. I zapewne zaraz się zjawi. Tylko skąd on...

– Napisałam do niego – wyznała Karolina ze wstydem. – A raczej oplułam go jadem... Wyrzuciłam z siebie wszystko. Wiedziałam, że mnie zablokował, a on... po tej akcji z lilnicą jednak to odczytał. Nie odpisał, ale przynajmniej odczytał.

Anka skinęła głową.

– Rozumiem, całkiem słusznie. Powinien się zatroszczyć o własne dziecko. I jego matkę – dodała już nieco ciszej.

– Tylko – Karolina z niedowierzaniem pokręciła głową – po co mu te kwiaty...?

– Ach! – Anka machnęła ręką. – To znany numer Hana Solo. Pewnie chce cię nimi udobruchać.

– Myślisz?

Anka zupełnie nie miała ochoty się nad tym zastanawiać. Do niej Damian rzadko przychodził z kwiatami, a w każdym razie nigdy z takim wielkim bukietem. Ile tam mogło być róż? Dwadzieścia? Trzydzieści? Anka dostawała co najwyżej pięć, a i tak się z nich cieszyła, zresztą jak z każdego rzadkiego dowodu czy gestu miłości. Tu zapewne liczba róż była wprost proporcjonalna do poziomu posłuszeństwa Damianka wobec mamusi. Królowa Irenka rzekła, a potulny do bólu, wytresowany synek wykonał. Anka przełknęła tę gorzką pigułkę, nabrała powietrza do płuc i niczym wytrawna strażniczka Barbara natychmiast wymyśliła wyjście z tej niezręcznej sytuacji.

– Słuchaj, Karola. Ja nie chcę, żeby on mnie widział, a na spotkanie z królową Irenką to już tym bardziej nie mam ochoty. Ale nie zostawimy cię samej. Masz tu w pokoju łazienkę, więc schowamy się w niej i w razie czego ruszymy z odsieczą, okej?

Karolina kiwnęła głową na znak, że się zgadza.

Kiedy dziewczyny domykały drzwi, do sali wszedł Damian. Wyglądał perfekcyjnie w wymuskanej fryzurze, zapewne prosto spod ręki stylisty, białej koszuli, dopasowanych granatowych spodniach i lśniących karmelowych mokasynkach. Perfekcyjnie też pachniał – nowym calvinem kleinem, którego woń dotarła również do maleńkiej łazieneczki. Ale jego kroki były inne – niepewne, zgaszone. Próżno było się w nich doszukiwać perfekcji.

– Cześć, Karolcia – powiedział cicho.

– Cześć – odpowiedziała nieśmiało.

Podszedł do jej łóżka, rozglądając się na boki, po czym mało naturalnym gestem, niczym robot, wręczył jej bukiet.

– To dla ciebie. Na przeprosiny, bo... No... Głupio wyszło. Ze wszystkim głupio. Jakby jakaś mgła mi na łeb siadła, ja tak nie chciałem, bo... To wszystko... To wszystko mnie zaskoczyło, skołowany byłem – plótł, nie mogąc sensownie się wysłowić.

– Aha – wydobyla z siebie Karolina i przytuliła kwiaty, co chyba dodało Damianowi odwagi, bo dotknął jej nadgarstka, a potem ścisnął ją za rękę i ukląkł przy łóżku.

– Ja... Ja cię przepraszam, Karolinko – wyjęczał i gdyby nie włączony wiatraczek w łazience, dałoby się słyszeć, jak Anka przewraca oczami. – Bo ja głupio zrobiłem, bardzo głupio. Bo byłem z nią i tobą w tym samym czasie, a przecież nie powinienem. Bo... No... Po co, co nie? Bez sensu. Albo z jedną, albo z drugą, co nie?

„A z trzecią albo czwartą to już luzik?” – pomyślała Anka zza drzwi.

– Ja po prostu kochałem was obie – wyznał nagle Damian, a Anka oniemiała. – Pomyślisz, że to niemożliwe, ale tak było. I... I teraz jestem z tobą naprawdę szczerzy!

Wstał z klęczek, przysiadł na brzegu łóżka i przyłożył sobie jej dłoń do serca.

– Tak na tysiąc procent szczerzy i wyznaję, że Anię po prostu kochałem dłużej, no... Nic na to nie poradzę. Zналиśmy się od lat, ale teraz już wiem, że ona to przeszłość. Ja zrozumiałem, że ty i ja... Że my możemy być razem szczęśliwi. I nasze dziecko z nami, co nie?

Inga pomyślała, że jeśli jeszcze raz usłyszy to nerwowe „co nie”, to choć osobiście brzydziła się rozwiązań siłowych, w tej konkretnej sytuacji chętnie posunie się do rękoczynów.

– Ja kocham dzieci! – ciągnął żarliwie Damian. – Karolinko, przecież ja kocham wszystkie dzieci. – Zaczął wyrzucać z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, bo oto za drzwiami na korytarzu zrobiło się niebezpiecznie cicho, co mogło oznaczać tylko jedno: zmartwychwstanie mamusi. – Ja umiem się z nimi bawić, wszyscy to mówią, że jak są dzieci, to one do mnie lecą. Nie tam do kogoś innego, ale do mnie, co nie?

Inga zacisnęła zęby.

– I my klockami się bawimy, samochodami, kolejką, nawet lalkami. Dziewczynki też lubię. Wszystkie dzieci. Ja kocham się z nimi bawić. Będę dobrym ojcem, przyrzekam ci to!

Anka machinalnie złapała Ingę za rękę.

– I postaram się być dobrym mężem, jeśli mnie zech...

W tym właśnie momencie do sali wtargnęła, już w pełni przywrócona do świata żywych, Irena Kurska, spektakularnie niszcząc atmosferę, którą tak misternie budował przez ostatnie sekundy jej pierworodny. Niczym wichura dopadła do łóżka Karoliny, spojrzała na nią i uśmiechnęła się pogodnie, ukazując idealne, białe zęby, aczkolwiek całkowicie niewłaściwe.

– Witaj, najdroższa! – zaświergotała. – Tak się cieszę, że w końcu mogę poznać kobietę, która dała mi nadzieję na rozwój drzewa genealogicznego rodu Kurskich. Czy Karolek już się ze wszystkiego starannie wyłumaczył, przeprosił i co najważniejsze, poprosił o wybaczenie?

– Mamo! – zawołał oburzony Damian.

Kurska rzuciła synowi gniewne spojrzenie, a potem na powrót przeniosła pełen zachwyty wzrok na Karolinę.

– Karolinko kochana... Mogę się do ciebie zwracać po imieniu, prawda? Bo my już prawie jak rodzina jesteśmy...

Poufale ujęła jej dłoń.

– A więc, Karolinko kochana – ciągnęła, nie dając dziewczynie dojść do głosu. – Jeśli on jeszcze tego nie zrobił, to ja cię proszę, błagam nawet, żebyś mu tę największą głupotę życia wybaczyła. On rozum to po moim ślubnym odziedziczył, więc czasami idiotyczne rzeczy robi, ale jak się go trzyma na krótkim sznurku i blisko, to dobry z niego dzieciak... Chłopak... Mężczyzna znaczy. W każdym razie ja ci powiem, jak trzeba z Kurskimi, i zobaczysz, że Karolek się sprawdzi. Ja to czuję. Bo wiesz, tobie lepiej z oczu patrzy niż tej poprzedniej – dodała z nieskrywaną odrazą.

– Mamo! – ponownie oburzył się Damian, ale Kurska nawet na niego nie spojrzała.

Jeszcze mocniej zacisnęła palce na dłoni Karoliny.

– Jej w głowie była tylko kariera, a nie dzieci. A ostrzegałam Karolka, od początku go ostrzegałam. Zawsze najlepsze oceny na roku miała, nic tylko te książki i książki. Ty to inaczej myślisz. I od dzieci zaczęłaś. A ja to szanuję. W życiu trzeba mieć właściwe priorytety.

Ania patrzyła na tę irracjonalną scenę i cała się w środku gotowała. Miała przemożną ochotę wypaść z łazienki jak pocisk i uderzyć prosto w królową Irenkę, wypluć z siebie całą prawdę, bo jak widać, Irena Kurska jej nie znała, nie chciała jej znać albo po prostu Damian objawił jej swoją i tylko swoją wersję, a matka przyjęła ją za jedyną właściwą. Niczego jednak nie zrobiła, nie zdążyła, bo do sali weszła pielęgniarka.

– Wystarczy na dzisiaj. Zaraz będą badania. Poza tym pacjentka musi odpoczywać. Zapraszam jutro.

Irena pożegnała się z Karoliną tak wylewnie, jakby w wielkiej zażyłości spędziły nie dziesięć minut, a całą dekadę. Karolina zaś milczała tajemniczo.

– To ja was zostawię na chwilę – dodała jeszcze Kurska, patrząc wymownie na syna, po czym wyszła.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Damian złapał Karolinę za rękę.

– Przepraszam cię za mamę. Ona normalnie taka nie jest...

„No jasne, że nie. Tylko gorsza...” – natychmiast pojawiło się w głowie Anki.

– Tylko gorsza – dokończył Damian. – W sensie, no, nie taka słodka. Ale nie martw się, na co dzień nie będzie nam przeszkadzać w życiu, wiesz? Ona ma multum swoich spraw, ojca pod opieką, Róże Różańcowe... A my będziemy mieli swoje sprawy, Karolinko. To jak?

- Ale o co pytasz?

- O to, czy zechciałabyś zostać... - Głośno przełknął ślinę. - Moją żoną. - Gdy wymawiał ostatnie słowo, głos zadrżał mu niepewnie.

Karolina zaczęła kręcić głową i już otwierała usta, by się odezwać, kiedy Damian jej przerwał.

- Nie, nie, kochanie, nic nie mów. Dam ci czas, przemyśl sobie wszystko. Tylko pamiętaj, że ja obiecuję... Obiecuję ci, jak jeszcze nigdy nikomu, że będę dobrym mężem i ojcem. Będę! Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Wiesz, że potrafię, umiem, jak chcę, a teraz chcę. Bardzo! I proszę cię, zapomnij o tym, co zrobiłem, a przypomnij sobie te wszystkie dobre rzeczy. Przecież tyle ich było. A będzie jeszcze więcej!

W pokoju ponownie zjawiała się pielęgniarka. Na widok Damiana skrzywiła się i znacząco uniosła brwi.

- Już, już - odparł pospiesznie, a do Karoliny uśmiechnął się tak zalotnie, jak tylko on potrafił. - Zadzwoń mi wieczorem, dobrze?

Dziewczyna zgodziła się niechętnie, a Damian nachylił się jeszcze nad nią i zapytał niby szeptem, choć nie dość cicho, by Inga i Anka w łazience nie dosłyszały:

- Ej, ale z tą lilnicą to ściema, co nie?



Kiedy wyszły ze szpitala, Anka zatrzymała się gwałtownie tuż obok podjazdu dla karettek.

- Mam nadzieję, że Karolina dobrze sobie wszystko przemyśli i dotrze do niej, że Damian to pieprzony manipulator, a ta cała słodka gadka była na pokaz. Jestem pewna, że matka mu kazała! Bo nie wierzę, że on mógłby się w ogóle zmienić - powiedziała do Ingi. - Ale wiesz co? - Uniosła palec. - Podczas tej wizyty zrozumiałam coś bardzo ważnego.

- No?

- Dzięki tobie w zasadzie.

Inga zrobiła wielkie oczy.

- Dzięki mnie?

- Powiedziałas Karoli, że zaklinasz rzeczywistość. No z tym swoim malowaniem. I że nie wystarczy tylko myśleć, ale trzeba jeszcze zrobić krok w kierunku realizacji. I wiesz... Mnie wtedy olśniło. Bo ja jedyne, co robiłam w tym związku, to czekałam. Na kwiatki, herbatki-sratki, wycieczki, miłe słowa, na bycie zauważoną. I ja na takim pieprzonym czekaniu przepękałam z tym domorosłym Hanem Solo ponad dekadę, imaginiujesz to sobie? A kiedy czasem mnie doceniał, myślałam, że to chyba nie o mnie chodzi... Ale teraz to jest bez znaczenia. Bo właśnie postanowiłam, że nie zamierzam zmarnować już ani jednej jebaniutkiej minuty na czekanie.

Inga skinęła głową.

„I ja też nie powinnam” - pomyślała. „Ogarnę to”.



Dwa dni później Inga wstała jak zawsze wcześniej, by zacząć dzień od porannego rytuału, czyli wklepania w twarz dobrego kremu i wypicia kawy, kawy i jeszcze raz kawy plus sprawdzenia poczty i króciutkiej prasówki. Po wyjściu z łazienki, zarzuciwszy na siebie jedwabny szlafroczek, usiadła z kubkiem przed laptopem i odpaliła pocztę. Poza nieistotną informacją od wydawcy na skrzynce widniała jeszcze tylko jedna wiadomość - od Baški, wysłana przed kwadranssem i zatytułowana: „Do porannej kawy”. Inga otworzyła maila.

Baśka nakreśliła jedynie kilka słów: „Bierzcie i jedzcie z tego, dziewczynki. Zwłaszcza Ty, Aneczko, częstuj się śmiało!”, a pod tą zachętą był wklejony link.

Kliknęła w niego.

Jej oczom ukazał się lokalny portal informacyjny, a konkretnie sekcja „Aktualności”, gdzie na samej górze, tłustym drukiem, krzyczał nagłówek: *Interwencja sanepidu w znanej firmie deweloperskiej. Czy grozi nam epidemia lilnicy?*

Inga prawie opluła się kawą. Niby wiedziała, że macki Barbary sięgają daleko i docierają w najintymniejsze zakątki przestrzeni publicznej, ale nie sądziła, że jej przyjaciółka ma aż taki rozmach.

Na wszelki wypadek odstawiła kubek na bezpieczną odległość i zaczęła czytać:

W jednej z poznańskich firm deweloperskich doszło do interwencji w związku z zagrożeniem epidemiologicznym. Jak poinformował naszą redakcję czytelnik i naoczny świadek zajścia, wczoraj około godziny czternastej pod budynkiem, w którym mieści się biuro firmy, pojawiło się dwóch przedstawicieli sanepidu ubranych w kombinezony ochronne, maseczki i przyłbice. Na miejsce niemal natychmiast pojechał nasz dziennikarz. Z pozyskanych przez niego informacji wynika, że kontrola dotyczyła przypadku wystąpienia u jednego z pracowników wenerycznej choroby zakaźnej *dracunculus vulgaris*, zwanej lilnicą. Właścicielka firmy była zaskoczona rozwojem wypadków. „Nie miałam pojęcia, że pan D.K. [imię i nazwisko do wiadomości redakcji] może stanowić zagrożenie dla otoczenia. Zostaliśmy poinformowani o objawach tej choroby. Kilka moich pracowników natychmiast zgłosiło się na badania” – wyjaśniła. O komentarz w kwestii ewentualnych konsekwencji oraz o to, czy poznaniacy mogą czuć się bezpiecznie, poprosiliśmy jednego z interweniujących pracowników sanepidu, którzy – jak się okazało – zostali specjalnie przeszkoleni pod kątem lilnicy w ukraińskim laboratorium badawczym. Otrzymaliśmy odpowiedź: „Żurnalistka, nie nerwujśja. Wsjo w pariadkie. Sanepid wie najlepsze”.

Inga nie była w stanie czytać dalej, bo najzwyczajniej w świecie popłakała się ze śmiechu.



## Rozdział 16

*Gdybyś miała jednym słowem określić siebie jako kobietę, jak ono by brzmiało? (Odpowiedz sobie teraz, kochana...)*

*Szalona? Wiadomo, ale nie na piętnastocentymetrowych szpilkach. Świadoma? Blisko, choć na pewno nie po butelce wina wypitego z przyjaciółką. Konsekwentna? Jasne, ale która z nas nie lubi czasem zmienić zdania – tak po prostu, bo może? Emocjonalna? Empatyczna? Rozsądna? Sensualna? Lojalna? Wrażliwa? Sporo tego, prawda? A i tak jesteśmy pewne, że zdołałybyś wymieniać jeszcze długo. Ale czy umiesz się opisać jednym, tylko jednym słowem? Wiemy, że to cholernie trudne zadanie. Istnieje jednak takie określenie, które łączy wszystkie kobiety świata i opisuje każdą z nas, niezależnie od tego, z jakimi demonami na co dzień przychodzi nam się mierzyć. Brzmi ono: NIEZATRZYMYWALNA.*

Anna poprawiła na sobie toę i weszła do sali sądowej.

Trzy godziny temu przekroczyła jej próg po raz pierwszy tego dnia, mając przed oczami obraz z korytarza sądowego, na którym spotkała Ewę i Jarosława Haberów. A raczej Jarosława Habera i Ewę (jeszcze) Haber.

Kobieta wyglądała zupełnie inaczej niż podczas rozmowy w prokuraturze dwa miesiące wcześniej. Sińce i rany się wygoiły i teraz na skórze nie został nawet ślad po uderzeniach, które wymierzył swojej pięknej żonie Jarosław Haber, znęta i jeden z tych mężczyzn, którzy za to, co zrobili, nie będą mieli lekko, kiedy trafią za kratki.

Jarosław siedział w towarzystwie swojego adwokata, z miną świadcząca o tym, że jest pewien swego, jednak Proca w głębi ducha czuła, że to tylko dobrze odegrane pozory. Schudł i zmizerniał, a jego vuitton nie leżał już na nim tak dobrze jak wtedy, gdy Anka potraktowała go kawą.

Ewa z kolei wydawała się nieco podenerwowana, lecz najważniejszą rzeczą, jaką Ania zobaczyła w niej oprócz niewątpliwej urody – co ją samą ucieszyło – była ulga w spojrzeniu. Kobieta tym razem nie chowała już oczu za ciemnymi okularami. Anka uśmiechnęła się w duchu, bo choć wyrok miał zapaść dopiero za chwilę, ona już poczuła, że wygrała. Odniosła zawodowy sukces – i chyba po raz pierwszy od początku swojej kariery nie bała się użyć tego słowa. Nie dość, że udało jej się przymknąć Habera w areszcie do czasu rozprawy, to jeszcze teraz przedstawionymi dowodami i dzięki zeznaniom sąsiada od warzywek zmiażdżyła go na sali sądowej – zarówno w trakcie przesłuchania jego i świadków, jak i podczas mowy końcowej.

A kiedy sędzia dodał wisienkę na torcie zwycięstwa Procy, wieńcząc wyrok słowami: „...i wymierza mu karę pięciu lat pozbawienia wolności oraz orzeka zakaz kontaktowania się z pokrzywdzoną, a także zbliżania się do niej na odległość mniejszą niż sto metrów na okres dziesięciu lat”, Anka w głębi duszy wykrzyknęła: Oh yeah! Chciała, by został skazany, bardzo tego chciała. Ale nie dla siebie, a dla Ewy Haber. Kobiety, która w końcu mogła przestać się bać własnego męża.



*Kochana moja Zosieńko!*

*Napisałam już do Ciebie wiele listów, ale ten jest szczególny, wyjątkowy, bo po spotkaniu z Tobą po tylu latach, po spotkaniu jakże przyjemnym i radosnym. I po spotkaniu z demonem, którego nigdy nie chciałam nazywać po imieniu. Bo przecież ja, Kochańska, demonów nie mam. Żadnych. Nigdy. Demony to nie*

u mnie. Zawsze uważałam, że to mnie co najwyżej mogą nazywać demonem! A proszę bardzo, jak im się podoba.

Bałam się Rząsin, wiesz o tym. Ale teraz myślę, że powinnam słuchać Ciebie i Twoich zapewnień, że wszystkiemu podołam, że jestem wystarczająco silna, by stawić czoła nie jakiemuś tam demonowi, ale sobie samej, własnemu strachowi. Bo ten mój strach był jak wielki balon, którego strzegłam niczym jaja Fabergé i za cholerę nie pozwoliłam nikomu, nikomusięńku go przebić. A mogłam, a powinnam.

Ta nasza ostatnia rozmowa... Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem Ci za nią wdzięczna. Nie tylko za ciepło i bliskość. Nie tylko za otwartość i śmiech. Jestem Ci wdzięczna przede wszystkim za to, że gdzieś między słowami, po swojemu, jak tylko Ty potrafisz, przemyciłaś dla mnie wiadomość. Powiedziałaś mi, co powinnam zrobić, przypomniałaś, co jest w życiu najważniejsze. Zrozumiałam Twoje przesłanie i... Tak, wiem, że nie cofnę czasu, że nic nie przywróci mi straconych lat, ale obiecuję Ci, że zrobię wszystko, by naprawić swój błąd i nie stracić już ani minuty. Po tym gdy wrzucę do skrzynki pocztowej list do Ciebie, zacznę pisać list do Niego, a kiedy skończę, wyślę go.

Dziękuję Ci za wszystko.

Twoja Drobinka



Inga stanęła przed zewnętrznymi schodami z lastryka prowadzącymi na piętro osiedlowego domu kultury. Spojrzała w górę i pomyślała, że oto nadszedł moment, by zdobyć kolejny szczyt, który przez tak długi czas wydawał jej się nieosiągalny, i to wcale nie ze względu na brak zasobów finansowych. Całkiem niedawno uświadomiła sobie, że bojkotowała sama siebie na drodze do spełniania marzeń. Marzeń o malarstwie, wystawach, wernisażach... i w ogóle o życiu. Dobrym, szczęśliwym życiu, w którym człowiek robi to, co kocha.

Wzięła głęboki wdech i ruszyła przed siebie, z każdym kolejnym pokonywanym stopniem czując, jak coraz mocniej bije jej serce. Kiedy znalazła się w długim, wymalowanym żółtą farbą olejną korytarzu z rzędem drzwi po obu stronach, serce waliło jej już tak mocno, jakby zaraz miało eksplodować. Spojrzała na numerki na drzwiach – powinna zapukać pod szesnastkę, jak powiedziała Ania. Szła więc, odliczając w myślach: dziewięć, dziesięć, jedenaście... I wtedy do jej uszu dotarła muzyka. To był utwór, który знаła, jego akustyczna wersja, i dobiegał z pomieszczenia tuż za drzwiami z numerem – a jakże – na pewno szesnastym. A więc to tam... *Stay on these roads, we shall meet, I know...*

Sala była pełna sztalgu i płócien malarskich, a w słoikach – tak samo jak we śnie Ingi – pyszniły się posegregowane pędzle i szpatułki. Na samym końcu pomieszczenia, plecami do niej, stał mężczyzna i naciągał płótno na blejtram. Inga chrząknęła cicho. Mężczyzna drgnął, odwrócił się i przez chwilę patrzył na nią tak, że uderzyła w nią fala gorąca, po czym się uśmiechnął. Wyjął ze słoika jeden z pędzli i podszedł bardzo powoli, a ona – nie wiedzieć dlaczego – zawstydziła się i spuściła wzrok. Mężczyzna wyciągnął w jej kierunku pędzel. Zawahała się, ale tylko przez moment. Biorąc narzędzie do ręki, poczuła znajomą chropowatość drewnianego trzonka oraz ciepło, które przekazał temu przedmiotowi mężczyzna. Spłynął na nią spokój. Już wiedziała, miała tę pewność. Była na dobrej – najlepszej – drodze.

Uniosła spojrzenie i doznała olśnienia. Oto odkryła kolejny paradoks wszechświata – że spojrzenie w kolorze burzowego nieba może być tak bardzo pogodne.

– Długo kazałaś na siebie czekać, dziewczyno od książek. – Słowa mężczyzny dotarły do niej ponad dźwiękami piosenki.

I wtedy, wśród woni farb i terpentyny, poczuła jeszcze jeden zapach. Ale nie był to zapach tykwy od yerba mate, o którym wspominała Anka, lecz aromat jabłek – świeżo zerwanych w sadzie.

## Rozdział 17

*„Marzymy, ale jak niedbale, niedokładnie! »Chcę być ptakiem«, powiada ten i ów. Ale gdyby posłuszny los zmienił go w indyka, czułby się zawiedziony. Nie o to mu przecież chodziło” – pisała Wisława Szymborska. Innymi słowy: uważaj na to, czego pragniesz, albo najlepiej zaopatrz się w maść kasztanową na siniaki lub miękki materac na ewentualne lądowanie. Snujemy dalekosiężne plany – na miesiąc, pół roku, trzy lata do przodu. Lubimy sobie wyobrażać, jak to będzie. Zaklinamy los; krzyżujemy palce; śledzimy konstelacje gwiazd i sprawdzamy, które z nich są nam szczególnie przychylnie; wizualizujemy sobie cele.*

*„Co mi, Panie, dasz w ten niepewny czas? Jakie słowa ukołyszają moją duszę, moją przyszłość?” – śpiewa Beata. Nie wiesz, co cię czeka „na tę resztę lat”, więc nie odkładaj marzeń na później. Najlepszym czasem na ich spełnienie jest chwila, która trwa teraz. Tak, właśnie teraz.*

### **Druga połowa października**

Był czwartek, więc Inga siedziała w knajpce i czekała na dziewczyny, by wspólnie z nimi podtrzymać tradycję kolacji czwartkowych. Obracała w dłoniach wysoką szklanke z wodą i plasterkiem cytryny, myśląc o tym, że jeszcze kilka miesięcy temu jej dni upływały niemal jednakowo: rano pobudka, świeża kawa w ukochanym kubku i śniadanie, potem praca, stukanie w klawiaturę, wyszukiwanie informacji, w powietrzu delikatny zapach jabłek z dyfuzora olejków... Wieczorem jakaś książka, spacer wokół rynku z muzyką w uszach, przysnyc, sen... Nie było źle. Ale nie było też dobrze. Tylko tak nijako.

Inga nie pragnęła wtedy niczego więcej ponad święty spokój. I może trochę mniej bołący kręgosłup, dlatego poszła na jogę. Wówczas tak naprawdę się zaczęło – ruszyła lawina zdarzeń i porwała ją ze sobą.

Życzyła sobie świętego spokoju – a zamiast niego dostała w prezencie dwie szalone przyjaciółki. Muszkieterki, suflerki, zewnętrzne mózgi i reżyserki życia, idące przez nie na własnych zasadach; dziewczyny, które równie dobrze czują się na bosaka i w sportowych ciuszkach, co w eleganckich kieckach i na nieziemsko wysokich szpilkach. Babki, z którymi można pić wysokoprocentowe bąbelki lub gorącą czekoladę; jeść bułeczki z domowym wiejskim twarożkiem albo makaroniki prosto z Paryża; wychodzić do miłej knajpy lub zostać w domu, na kanapie i w kokonach z koca.

Potem pomyślała o Jakubie. Tego czynnika ludzkiego w swoim życiu to już kompletnie się nie spodziewała. Po powrocie ze Stanów nie zamierzała wchodzić w związki. Obiecała sobie nawet, że nie pozwoli kolejny raz się oszukać, wykorzystać ani przestraszyć żadnemu facetowi, i uznała, że najlepszą drogą do osiągnięcia tego celu będzie unikanie kontaktów z nimi. Kiedy Olivier ją okradł, wiara w jej pecha do mężczyzny urosła, a przekonanie, że powinna na poważnie rozważyć strój cywilnej zakonniczki, nabrało mocy. Gdyby nie wsparcie dziewczyn... Gdyby nie Kuba... Człowiek, który wydawał się uszyty na miarę dla niej. Zupełnie jakby ktoś przyszedł, przeprowadził z nią wywiad, a potem na podstawie jej odpowiedzi ulepił faceta, na sam koniec dodając mu nieco burzowych chmur do spojrzenia, w którym Inga od razu (tak, tak!) się zakochała. I miała nadzieję, że z wzajemnością, bo na razie oboje ostrożnie stąpali po tym nieznanym lądzie, ale jak się wydawało – w jednym kierunku.

I było oczywiście malarstwo – pasja, w której zawsze tak bardzo wspierała ją mama. Tamtego letniego dnia w pracowni, kiedy Jakub w ramach pierwszej lekcji włączył jej ponownie piosenkę zespołu A-ha i kazał „po prostu malować”, popłynęła. Jak rzeka Hudson. Mocząc wodą papier pod akwarele, a potem patrząc, jak pod naciskiem jej pędzla farby rozlewają się i przybierają nieoczekiwane kształty, miała w głowie tylko jedno: Stay on, my love... You feel so weak, be strong. Stay on, stay on...

„Pieprzyć święty spokój” – pomyślała teraz. „Jest pięknie!”

– Sorry, bejbe! – Baśka dopadła do łoża, cmoknęła Inge na powitanie w policzki i natychmiast przywołała gestem Jasona Momoę. – Dla mnie Józek, może być podwójny – zamówiła bananowego drinka. – No? – Spojrzała uważnie na Inge. – Opowiadaj!

– Ale... o czym? – Inga zarumieniła się na wspomnienie wczorajszej lekcji malarstwa.

– No o wystawie, a o czym! Dopięłaś już wszystko? W czymś ci pomóc? No i najważniejsze: ile wejściówek zorganizujesz dla swoich najbliższych przyjaciółek? Bo – zawiesiła głos – pod koniec listopada do Poznania przylatuje kilka dziewczyn z paryskiej centrali. Mają mi wręczyć dyplom za opracowanie algorytmu postępowania na wypadek zaistnienia sabotażu wewnątrzorganizacyjnego. No wiecie, chodzi o tego Kodrąbka. A tak naprawdę to zwyczajnie chcą się zabawić, więc zabiorę je tu i tam – stwierdziła tajemniczo. – Ale nie byłabym sobą, gdybym nie przemyciła jakiegoś muzeum, koncertu czy... wernisażu. Mogłabym je przecież zachęcić do wsparcia młodej sztuki.

– O rany, serio?! To byłoby wspaniałe! – ucieszyła się Inga. – Bo jednak trochę się boję, że frekwencja będzie niska... Mimo że został jeszcze miesiąc, a to sporo czasu na promocję. Niby wysłałam zaproszenia do mediów, kilka portali na pewno kogoś deleguje... Znajomi i rodzina też pewnie nie zawiodą. Ale wiesz, na debiutantów, zwłaszcza tych w średnim wieku, chyba nie ma popytu... – Barbara na te słowa przewróciła oczami. – Na szczęście mamy już finał – podjęła Inga z entuzjazmem. – Dzisiaj rano odebrałam pierwsze obrazy z oprawami, catering zaklepany, wizytówki kurier przyniesie jutro. Ach, no i jeszcze jedno, chyba najważniejsze... – nie zdążyła dokończyć, bo obok ławy zmaterializowała się Anka.

– Hełoł, dziewczęta! – zawołała. – Ależ mam dla was newsa! Jak stąd do Gwiazdy... A, nieważne! Mam newsa po prostu!

– No to zaraz nam wszystko powiesz! Ale najpierw Inga. No, mów! – zachęciła Barbara.

Inga poruszyła się podekscytowana na kanapie.

– Bo oprócz wystawy w galerii, co już jest dla mnie jak zdobycie *Everestu*, Jakub namówił mnie na... – zawiesiła głos – sprzedaż akwareli przez internet. I ja sobie na początku pomyślałam, że z czym do ludzi, i to na całym świecie, ale... No przecież nie ma na co czekać, prawda? – Szukając potwierdzenia, spojrzała na Ankę, a ta energicznie pokiwała głową. – No i w końcu Kuba mnie przekonał... Zobaczcie. – Zaczęła stukać w ekran telefonu i po chwili pokazała go dziewczynom. – To na razie projekt, ale na wernisażu strona już będzie hulała!

Ania i Baśka pochyliły się nad wyświetlaczem i z zachwytem obejrzały prosto i elegancko zaprojektowaną stronę, na której widniały obrazy i szkice Ingi.

– „Inga Winter Art” to bardzo dobry adres. Prosty, ale dobry – pochwaliła Barbara. – Jest krótki, łatwy do zapamiętania i co najważniejsze: z twoim nazwiskiem!

– Oh *yeah!* Jak dla mnie bomba! – Anka była zachwycona. – Winter, to brzmi dumnie! Jestem z ciebie cholernie, cholernie dumna. – Przytuliła mocno Inge, która wzruszona otarła oczy.

Basia patrzyła na ten obrazek i nagle coś ją tknęło.

– Dobra, to teraz ty! – Inga zerknęła na Ankę.

Anka odetchnęła głęboko.

– Bo wiecie – zaczęła, kładąc płasko dłonie na ławie, by trochę ostudzić emocje – po tym, jak udupiłam znęta, jego adwokat oczywiście złożył apelację od wyroku... A facet jeszcze się odgrażał, że on ma znajomości i takie tam... A tymczasem się okazało, że te swoje znajomości to może sobie wiecie, gdzie wsadzić, bo sąd wyższej instancji się spiał i dzisiaj po dwunastej utrzymał wyrok w mocy! Facet będzie siedział na miliard procent! Niby to wiedziałam, ale teraz mam na piśmie! Oh *yeah!*

– Ekstra! – ucieszyła się Inga. – Gratuluję! Jesteś najlepszą prokuratorką *ever!*

– Łuuu-huuuu! – zawołała Baśka. – No to drinki w górę! Za nas, za bejbesy!

Anka promieniała. Jeszcze żaden finał prowadzonej przez nią sprawy nie napawał jej taką dumą.

Były w doskonałych nastrojach, śmiały się i plotkowały, kiedy Anka coś sobie przypomniała.

– Mam wieści o panu Kurskim.

Dziewczyny spojrzały na nią ze zdumieniem.

– Jesteś pewna, że chcemy ich słuchać? – spytała Barbara.

Anka puściła tę sarkastyczną uwagę mimo uszu.

– Mam kontakt z Karoliną – kontynuowała. – Wyobraźcie sobie, że Damianek Karolek stał się człowiekiem zaangażowanym. Uczynnym. Wielozadaniowym. I co najważniejsze, obecnym. Co prawda funkcjonuje tak pod batutą Irenki, ale działa? Działa! I Karolina nawet mu na to pozwala. Co będzie dalej, tego nie wie nikt, w tym sama Karola, ale ponoć zawarły z Irenką nieformalny pakt. Czujecie?

– Nie wróżę temu sukcesu – stwierdziła kwaśno Baśka. – Ale może po kolejnym drinku mi się odmieni. Choć wątpię. Szczerze wątpię.

Siedziały tak przez jakiś czas, sącząc kolorowe napoje ze słomkowymi parasolkami i pławiąc się w opowieściach, gdy Basia nieoczekiwanie zmieniła temat.

– Skoro jesteśmy w takim euforycznym nastroju, to może jeszcze jedna rzecz.

– Kolejny sukces? – zapytała Inga.

– Tym razem to może być nasz wspólny sukces.

Anka natychmiast weszła w skórę Procy i w geście przyzwolenia machnęła ręką.

– Kontynuuj!

– Pamiętacie, jak w Rząsinach Karolina mówiła o tym, że powinnyśmy wykorzystać swoje moce i pomagać innym babkom rozjechanym przez facetów? Że powinnyśmy założyć jakąś agencję detektywistyczną czy coś. A potem wy wspomniałyście o portalu... I ja sobie tak myślę – Baśka potoczyła ręką dookoła – że Facetom Wstęp Wzbroniony to takie miejsce, które zapewnia nam dyskrecję. Tu się spotykamy w swoim towarzystwie, tu możemy poplotkować, ponarzekać i wiemy, że nic poza te ściany nie wyjdzie. Ale to nadal miejsce, konkretna lokalizacja, dostępna dla wybranych kobiet. A co wy na to, gdybyśmy faktycznie stworzyły taką przestrzeń, tylko że w sieci? Miejsce, w którym babki mogłyby się dzielić swoimi historiami i przestrzegać inne kobiety przed niewiernymi, roszczeniowymi i kłamliwymi koleżkami? Miejsce bezpieczne, do którego dostęp miałyby każda kobieta niezależnie od tego, gdzie mieszka, ile ma lat i który życiowy zakręt bierze? Co wy na to?

– Świetne! – podsumowała Inga. – Wchodzę w to!

– Ja też! – Anka pokiwała głową.

– Zajebicie. – Baśka uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Myślę, że wkręcimy w to jeszcze Jadwigę, bo ona ma niezłe kontakty i łąska z niej dziewczyna, na pewno będzie miała milion pomysłów na to, jak weryfikować nowe członkinie i zapewnić bezpieczeństwo. I może wymyśli jakąś dobrą nazwę!

– Nie musi... – powiedziała powoli Inga. – Bo już ją mam.

– Co? Już?

Inga nabrała powietrza.

– Owszem. Myślę o tym od naszego wyjazdu do Rząsin. A więc... Co myślicie o nazwie: Mój Ex, Twój Next?

– Jezusie Nazareński! – pisnęła Anka. – Genialna! Już widzę te laski... Co ja mówię, już widzę siebie, jak siedzę i czytam opisy palantów!

Barbara zmrużyła oczy.

– Ja tam widzę neony, mobilne reklamy i billboardy. Mój Ex, Twój Next... Dobra nazwa... Smaczna i... – Uniosła kieliszek. – Za to musimy wypić do dna!



Dziewczyny bawiły się w najlepsze, jadły oliwki i melona z szynką parmeńską, a Baśka zamówiła u Jasona Momoy drugą kolejkę. Piły teraz różowe drinki z różowymi parasolkami.

– Czuję się zaróżowiona – stwierdziła Anka.

– No a co ty byś chciała? Drineczki w kolorze opalonego beżu?

– Nigdy w życiu! – Ania udała oburzenie. – Opalony beż to *never forever*, ewentualnie ostateczna ostateczność.

Baśka wybuchnęła śmiechem, Inga zachichotała, a Anka z miną gdzieś pomiędzy jakby zastygła, bo zerknęła się spojrzeniem z Siergiejem, który wykonywał jakieś przedziwne ruchy głową, to w prawo, to w lewo. Anka doprawdy nie rozumiała, o co mu chodziło. Dopiero kiedy wskazał na drzwi pomieszczenia socjalnego, pojęła, że próbował ją do siebie przywołać. Wstała i podeszła do niego.

– Cześć, Siergiej. O co chodzi? – zapytała, a mężczyzna, jak zawsze oszczędny w słowa, mruknął przeciągle, otworzył drzwi pomieszczenia, wpuścił Ankę przodem i sięgnął po torbę z Biedronki.

– Dla ciebie. – Wręczył jej reklamówkę z zawiązanymi uchami. – Załatwione.

– Ale co załatwione?

– Wsjo. Wsjo załatwione.

– Nie rozumiem... – Złapała za ucha reklamówki i podjęła próbę ich rozszeptania. – Siergiej, co to jest?

Ochroniarz szybkim ruchem ręki powstrzymał ją przed otwarciem siatki i rozejrzał się niespokojnie.

– Kasa po Star Warsach, no szto ty! – burknął.

Teraz Ania zupełnie inaczej spojrzała na wypchaną i dość ciężką reklamówkę. Na jej policzkach wykwitły rumieńce ekscytacji.

– Ile tego jest? – zapytała cicho.

Siergiej nie odpowiedział, ale w geście satysfakcji uniośł kciuk i uśmiechnął się trochę kanciasto.

– No ale chociaż mniej więcej?

– Nie mnożka. Duuużo.

– A... A swoją część wzięłeś?

Siergiej zmarszczył brwi, jakby się wahając.

– Kasa dla ciebie? – zapytała na migi.

– Da, ja wsjo dostał – odparł w końcu. – Od Basjuni. Ona wie najlepsze.

– Aha – bąknęła Anka i na odrobinę miękkich nogach powędrowała w stronę łóży, myśląc o tym, że ta niepozorna reklamówka naprawdę sporo waży.

Nie miała pojęcia, ile kasy udało się wyciągnąć Siergiejowi ze sprzedaży kolekcji figurek, ale odnosiła dziwne wrażenie, że jeszcze w życiu tyle nie widziała.

Kiedy opadła na kanapę, Inga i Basia spojrzały na nią wyczekująco.

– Noo? – zagaiła Inga, gdy Anka uporczywie milczała.

Ania popatrzyła na nie półprzymtomnie.

– Siergiej dał mi kasę. Dużo kasy. Za ten plastik z półki chwały Damianka.

Baśka cmoknęła z uznaniem.

– No tak! Coś mi ostatnio wspominał... – Zerknęła z zadowoleniem w kierunku zaplecza. – Sporo tego wyszło, prawda?

– Nie wiem. Nie zaglądałam do środka.

– A chcesz wiedzieć ile? Chcesz?

– Pewnie.

Basia poprawiła się na siedzeniu.

– No to, moja droga, te całe mieczyki świetlne i figurki były warte całkiem sporo. Damianek miał rację. Wyobraź sobie, że za jeden głupiutki hełmik z limitowanej edycji Siergiej wyduśił dziesięć koła z lekkim ha-kkiem. A resztę sprzedał za sześćdziesiąt pięć tysięcy dwieście. Dolców oczywiście. Więc razem ile mamy?

– Siedemdziesiąt pięć dwieście. Z lekkim hakiem – odparła Inga.

Ance opadła szczęką. Spojrzała na Inge, która zapiszczała uradowana.

– Bosko, Anka! – Szturchnęła ją w ramię. – No, nie cieszysz się?

– Cieszę... – wyjąkała Anka. – Tylko to są naprawdę spore pieniądze.

– Ludzie od Hermesa twierdzą inaczej – odparła Baśka. – Ale jak na nasze rodzime warunki to naprawdę godziwa sumka!

Anka kiwnęła głową.

– Tak, macie rację – zgodziła się. – Ale wiecie co? To nie są tylko moje pieniądze.

– Jak to nie twoje? – obruszyła się Inga. – A niby czyje? Bo przecież nie Damianka, który ciągnął z ciebie jak z kasy zapomogowo-pożyczkowej. Chyba nie zamierzasz się z nim dzielić, co?

– Nie! Daj spokój, nie mam najmniejszego zamiaru oddawać chujkowi nawet złotówki – stwierdziła Anka. – Ale czuję, że spożytkować je powinnyśmy wspólnie, we trzy. Weszliśmy w to razem i zwyczajnie nam się należy.

Baśka i Inga spojrzały na siebie zdziwione.

– A co dokładnie masz na myśli, mówiąc „spożytkować”? – zapytała Baśka. – Bo wiesz, na zakupy to dwa razy namawiać mnie nie musisz.

– Zakupy swoją drogą. – Ania się zamyśliła. – Ale mam inny pomysł. Lepszy. Bo wiecie, że ja zawsze chciałam podróżować. Marzyłam sobie, że na emeryturze będziemy z Damianem jeździć. Ale od jakiegoś czasu już wiem, że nie warto czekać. Więc – wzięła głęboki oddech – pieprzyć podróżę na emeryturze! W grudniu lecimy do Marianki! Już dawno nas zapraszała! Ja płacę za wszystko! Tymi tu – wskazała głową na reklamówkę – reparacjami po Gwiezdnym Wojnach! I jeszcze na portal wystarczy, a co!

– Ulala! – Baśka się zaśmiała. – Czyli możemy się od dziś do siebie zwracać per oligarszki...? Czy... oligarszynie? Inga, jak to będzie?

– Bardzo prosto – odparła Inga, nonszalancko sącząc róż w płynie. – Cholernie bogate baby!

Po jakiejś godzinie na środku klubu pojawił się niewielki podest, a na ścianie rozwinięto ekran do karaoke. Szybko znalazło się kilka kobiet chętnych na wyśpiewywanie na cały głos piosenek Bajmu. Baśka spojrzała znacząco na Inge i Ankę.

– O nie, na mnie nie licz! – zaprotestowała Anka. – Te Nagie Skały wypaliły mi gardło! Nigdy więcej drinka z tabasco, *no more!*

– Bez ciebie nawet nie idziemy – zaoponowała Inga. – Albo wszystkie, albo wcale.

– Poza tym zaśpiewamy twoją ulubioną piosenkę – dodała chytrze Barbara.

Anka popatrzyła na nie, mrużąc oczy.

– No dobra. Ale będę miała solówkę w drugiej zwrotce, bo tekst bardziej mi leży.

– Jak sobie życzysz, bejbe!

Po kilku wykonaniach, mniej lub bardziej rzewnych, nadszedł czas i na nie. Inga zaczęła, ciepłym głosem ciągnąc pierwszą zwrotkę, a potem we trzy zanuciły do jednego mikrofonu refren Rzeki marzeń: „Wyciągnij dłonie i chwyć marzenie...”, kołysząc się w rytm muzyki, a Barbara dodatkowo dyrygowała pozostałymi dziewczynami, które siedząc w łóżkach, im wtórowały. Za chwilę miała się rozpocząć obiecana partia solowa Anki.

Ania wzięła od Ingi mikrofon i już miała otworzyć usta, kiedy przy drzwiach zrobiło się jakieś zamieszanie. Spojrzała w tamtym kierunku – pod jasnym neonem z napisem „Facetom Wstęp Wzbroniony” pojawiła się zjawiskowa blondynka. Ania najpierw ujrzała burzę jasnych włosów, a potem czarny gorset z głębokim dekoltem, czarną ramoneskę, ciemne skórzane spodnie i czerwone szpilki. I zamiast słów piosenki, prosto do mikrofonu z jej ust wyrwało się bezbrzeżnie zdumione:

– Pani Beata...?

## Epilog

Żadna kobieta nigdy nie poda w wątpliwość, że istnieje osobny krąg piekła dla wszystkich zdradzających, oszukujących i fałszywych facetów. Mniej oczywisty jest już jednak fakt, że istnieje również specjalna niebiańska miejscówka (czyli bardzo luksusowe spa) dla zdradzonych i oszukanych kobiet. Taka, w której znajduje się specjalne okienko z widokiem na piekielne kociołki, w których bulgoczą zdrajcy i oszuści – przyłapani przez nas na gorącym uczynku.

Nasza kobieca intuicja wielokrotnie może nam podpowiadać, że coś jest nie tak, lecz nie zawsze jesteśmy na nią odpowiednio wyczulone i raz na jakiś czas w naszym życiu przydarza się związkowy – większy lub mniejszy – faka. No cóż, *shit happens*, nie ma co się biczować. Na szczęście oprócz intuicji własnej mamy jeszcze intuicję zewnętrzną – w postaci naszych przyjaciółek, dziewczyn, którymi się otaczamy i które na nasz znak przybiegną z odsieczą nawet na niebotycznie wysokich szpilkach. Pomogą, podpowiedzą, przytulą, a czasami pokonspirują niczym Virginia Hall, by uchronić nas od porażki czyhającej na damsko-męskim froncie.

Niektóre z nich są jak mama Ingi – wspierają nas całym sercem, ale nagle i zupełnie niespodziewanie znikają z naszego życia, pozostawiając po sobie tęsknotę i wdzięczność za to, że w ogóle się w nim pojawiły. Inne przypominają Zosię – porzucone przez nas z różnych powodów, czekają cierpliwie niczym matka na córkę marnotrawną, a kiedy ze spuszczoną głową zjawiamy się po latach, po prostu przytulają nas bez słowa do swej obfitej, pachnącej papierosami piersi. Jeszcze inne to typowe Marianki – nasz życiowy constans. Matki, ciotki, siostry. Przyjaciółki. Bystrzejsze niż orły. Silniejsze niż lwice. Drapieżne jak Barbara, empatyczne jak Inga, zadaniowe jak Anka. Superkobiety.

Historia wielokrotnie i w dosadny sposób pokazała nam, że dobrze dobrana załoga ma wpływ na losy świata – w mikro- i makroskali. Słusznie! Ale z jakiego powodu w tych doborowych załogach stanowiska kluczowe, prestiżowe i te, na które spływają pochwały, obejmują głównie faceci? Wiecie dlaczego? Bo nam, kobietom, wpojono... Wróć! Bo faceci wpoili nam, kobietom, że jesteśmy słabsze, gorzej zorganizowane, mniej stanowcze i tak dalej. Pitu, pitu. To kobietom wiele rzeczy udaje się zrealizować znacznie szybciej niż facetom. Jesteśmy mistrzyniami organizacji i empatii, potrafimy robić kilka rzeczy naraz, idziemy do boju mimo bólu i wstawamy skoro świt, by ogarnąć chatę, choć jedyne, o czym marzymy, to jeszcze jeden przytulas do miękkiej poduszki. Zastanówcie się, ile czasu zajęłyby wyprawa Drużyny Pierścienia, powrót z Troi do Itaki i dotarcie do Ziemi Obiecanej, gdyby uczestniczyły w nich wyłącznie kobiety. No cóż, na pewno nie pół roku, dziesięć lat ani tym bardziej czterdzieści. My nie traciłybyśmy czasu na wakacje u elfów, imprezy z syrenami czy tańce wokół złotego byczka. My po szybkim osiągnięciu celu urządziłybyśmy po prostu najlepszy after w historii.

Z przyjaciółkami skręcisz szafę z Ikei i nawet przez sekundę nie otrzecie się wtedy o rozwód.

Przyjaciółki nie wzbudzą w tobie chęci mordu, porzucając na środku salonu skarpetki (a co najwyżej pończochy).

Przyjaciółki są jak bezpieczna przystań, dacza w lesie nad jeziorem i luksusowy jacht na Majorce w jednym.

A jak trzeba będzie zrobić remont generalny – w domu lub w życiu – podadzą ci młotek albo numer telefonu do Siergieja. Niezatrzymywalne kobiety.

Tak jak Inga powiedzą miękko: „Ogarniemy to!”. Jak Barbara rzucą nonszalancko: „Wbijaj się w pończochy, bejbe!”. I jak Anka wykrzykną z triumfem: Oh yeah! – w momencie, kiedy najbardziej będziesz tego potrzebowała.



Kobiety rządzą!

Amen.

PS Ale wiecie, że to jeszcze nie koniec tej historii, prawda?